

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 21 (1172) ROK XXIII

25 MAJA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: Zyciorys pisany na tkaninie ■ W kolejce po książkę ■ Powieść — życiem? ■ Zbawcy świata w podartych butach ■ Uczonym in spe ku przestrodze... ■ „Polen-80” w Dusseldorfie ■ Recenzje ■ Felietony ■ Załącznik

SMIERĆ WITKACEGO

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Stanisław Ignacy Witkiewicz, Autoportret wielokrotny.

Gerard Puciato powiedział, że zna leśnika, który był świadkiem śmierci Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Nie uwierzyłem. Pojechałem jednak do Głowny z fotoreporterem, aby sprawdzić trop.

W byłym Nadleśnictwie usłyszałem, iż poszukiwany przeze mnie Roman Chudzik osiągnął przed rokiem wiek emerytalny i wyprowadził się do Łodzi.

Wróciliśmy zatem i zapukaliśmy do drzwi w jednym z tych wysokich, białych domów przy ul. Sienkiewicza.

Inżynier, który spędził w lasach całe swoje pracowite życie, nie okazał nam nieufności.

Nie było także kłopotów z nakłonieniem gościnnego inżyniera do wspomnień na temat Witkacego. Jeśli bronił się przed czymś, podobnie zresztą jak jego żona, to przed zagłębieniem się w historię własnego losu. Wypływało to z nieuzasadnionej skromności.

— Dlaczego interesuje pana akurat, gdzie się urodziłem, gdzie studiowałem, gdzie poznałem żonę?

Przecież nie przyjechał pan w tej sprawie.

Przytaknąłem. Niby prawda. A jednak... Tam, w Głownie, dyrektorem państwowego Domu Dziecka Mieczysław Wołodzki pokazał mi portret patrona tej placówki, Kornela Makuszyńskiego oraz szereg innych obrazów wykonanych przez żonę Romana Chudzika. Tu, w łódzkim mieszkaniu inżyniera, też widzę wiele pejzaży leśnych, malowanych przez panią Chudzikową. Nie sposób pominąć tego milczenia. Ciekawość drąży. Jak to się na przykład stało, że emerytowany leśnik postanawia spędzić jesień swego życia w wielkim mieście?

— Po prostu urodziłem się tutaj, w Łodzi.

— A gdzie kończył pan studia?

— W Warszawie, na SGGW — odpowiada inżynier. I broni się jeszcze: — Czy naprawdę potrzebne to wszystkim?

Udaje mi się przecież wyciągnąć garść najistotniejszych informacji... Promowany w stolicy zawodową służbę leśnika rozpoczyna w Puszczy Białowieskiej, po czym wyjeżdża do Iwawic w województwie poleskim. Jakis czas pracuje na Wołyniu, we wsi Trojanówka,

żonę natomiast poznaje w białoruskiej miejscowości Chodaki. Była wówczas młodą dziewczyną, kierowniczką tamtejszej szkoły powszechnej. Wśród uczniów wiele dzieci nie znało w ogóle polskiego. Aby porozumieć się z uczniami, zaczęła rysować — zwierzęta, ptaki, ludzi, drzewa, domy i martwe przedmioty. Nauczycielka z wykształcenia, stawiała się powoli malarką z pasji, aczkolwiek — jak wspomina — pierwsze tęsknoty artystyczne nurtowały ją już podczas studiów w seminarium nauczycielskim w Jaworowie, podwolskiej miejscowości, znanej ze starej kuźni i z tego, że Sobieski tańczył tam podobno z piękną kowalową.

Państwo młodzi osiedlają się w cerkiewnej wsi Jezioro, na pograniczu Polesia i Wołynia, gdzie była siedziba wielkiego Nadleśnictwa Jedlno — 35 tysięcy hektarów lasu. Inżynier Chudzik sprawował z początku obowiązki leśniczego i jednocześnie zastępcę nadleśniczego Romana Proskomiczkiego, a później, kiedy już przed wybuchem drugiej wojny światowej szefa powołano do wojska, został nadleśniczym.

W latach wojny Roman Chudzik spotykał się i współpracował z wieloma antyhitlerowskimi oddziałami partyzantów: z „Maksem” Sobiesiakiem, Z. Burzyńskim, Kowpakiem, Werszyhorą i innymi, mieszkał bowiem na tzw. małej ziemi partyzanckiej. Dowódcy tych oddziałów (np. znany poznański dyrygent, Robert Satanowski czy autor książek wspomnieniowych, gen. Józef Sobiesiak) do dziś zachowali go we wdzięcznym sercu.

W roku czterdziestym piątym, w mundurze żołnierza, walczył bowiem także przez kilka miesięcy na froncie, wraca do Polski centralnej, gdzie zaciąga się znowu do umiłowanej służby leśnej. Jest, kolejno, nadleśniczym w Głownie, następnie awansuje do stopnia dyrektora rejonu lasów w Bedoniu, po czym na powrót osiada w Głownie, aby doczekać tam emerytury.

Cofniemy się jednak do pierwszych dni wojny, kiedy to inne rejonu kraju krwawiły już od hitlerowskich bomb i broniła się jeszcze bohaterska Warszawa.

Dalszy ciąg na str. 6-7

WSTĘP DO REWOLUCJI

DANUTA TOMASZEWSKA

CZYM INTERESOWAŁA SIĘ MŁODZIEŻ POD KONIEC XIX WIEKU

Wybitny polski socjolog, Stanisław Ossowski, powiedział niegdyś, iż rzeczywistość społeczna nie znajduje się poza sferą myślenia o rzeczywistości. Napisał też: marksowska teoria o istocie i roli dziejowej proletariatu jest pod tym względem jednym z najefektywniejszych przykładów. Wbrew ciastym interpretacjom tezy Marksa, że był warunkuje świadomość, teoria ta w potężny sposób przyczyniła się do ukształtowania nowoczesnego proletariatu jako świadomej klasy społecznej. Nie wiemy, czym byłby dzisiaj proletariatus fabryczny, gdyby teoria owa nie nauczyła robotnika patrzeć na sie-

bie i na swych towarzyszy w pewien specyficzny sposób.

Dlatego w badaniach nad dziejami ruchu rewolucyjnego i robotniczego w Polsce nauka historyczna przywiązuje coraz większą wagę do możliwie dokładnego poznania roli, jaką odegrały w nim różnorodne inspiracje marksistowskie, zmierzające do ukazania znaczenia, jakie miało przyjmowanie przez ten ruch idei marksizmu i ich rozwijanie.

Jeżeli pod koniec XIX stulecia młody człowiek dokonywał życiowego wyboru i zamiast do nacjonalistów, czy jakiegoś innego ugrupowania

szedł do socjalistów czy socjaldemokratów, działo się tak dlatego, iż widocznie ten właśnie ruch przedstawiał w jego oczach najwyższe wartości. Ów młody człowiek musiał więc już coś wiedzieć zarówno o nim i jego ideologii, jak i o innych ruchach i ich ideowych propozycjach. Dowiadywał się o tym najczęściej — jeszcze zanim wiedział o istnieniu takich czy innych, nieraz przecież tajnych, politycznych organizacji — w dyskusjach, jakie toczyły się w młodzieżowych kółkach. Kółka były dla paru pokoleń polskich działaczy politycznych — w tym również wybitnych przedstawicieli polskiej lewicy — pierwszą szkołą ideową; dla wielu z nich były też pierwszą szkołą marksizmu.

Kółka młodzieżowe na ziemiach polskich powstały w okresie popowstaniowym, w drugiej połowie XIX wieku. Spełniły nader istotną rolę w kształtowaniu się światopoglądu młodzieży. Nie były zjawiskiem wyłącznie polskim, gdyż z podobną formą organizacji i konspiracji, czy też legalną formą działania spotykamy się w XIX wieku w innych krajach, między innymi w Niemczech i Rosji.

Podstawową formą było koło samokształceniowe, którego członkowie uzupełniali wiedzę przede wszystkim z języka polskiego, literatury i historii polskiej, nauk przyrodniczych

Dalszy ciąg na str. 8

NAUKA I MIASTO

„Uniwersytet należy traktować jako instytucję kultury narodowej” — pisał przed laty Józef Chałasiński, wybitny socjolog, rektor Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1949-52. Idea uniwersytetu jako instytucji współczesnej kultury narodowej, jako oparcia dla całego systemu oświaty, inspiracji twórczej i wspólnoty intelektualnej jest nadal żywa. Idea ta niesie za sobą trudne, złożone problemy dla uniwersytetu zarówno jako placówki naukowo-badawczej, jak i instytucji kulturalnej. Obie spełniane przez uczelnię funkcje wywierają ogromny wpływ na przemiany społeczne i kulturowe.

Podobne, zbliżone w treści zadania, wykonują dziś obok uniwersytetów — politechniki, które nie bez powodu zmieniają się coraz częściej w uniwersytety techniczne.

W 35 rocznicę powołania Uniwersytetu i Politechniki w Łodzi spróbujemy spojrzeć na te uczelnie poprzez pryzmat ich działalności jako instytucji tworzących szeroko pojętą kulturę, spróbujemy dostrzec przemiany, jakie nastąpiły w mieście pod wpływem ich działalności.

W redakcyjnej dyskusji udział wzięli: rektor Uniwersytetu Łódzkiego, prof. dr ROMUALD SKOWRONSKI oraz profesorowie z Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki Łódzkiej: prof. dr ANNA DYLIKOWA, prof. dr WŁADYSŁAW GUNDLACH, prof. dr JADWIGA JAKUBOWSKA, prof. dr STANISŁAW KASZYŃSKI, prof. dr WACŁAW PIOTROWSKI i prof. dr JERZY WRÓBLEWSKI.

(czytaj str. 4-5)

PRZYJACIÓŁKA Z GRANADY

W hiszpańskich autobusach najlepsze miejsca daje się zwykle obok kierowcy, tak aby mogli w pełni podziwiać uroki krajobrazu. Siedzieliśmy więc tuż za plecami kierowcy, a obok nas, po prawej stronie, jechała jakaś angielszczyzna para starszuchów. Pozostali pasażerowie byli już bez wyjątku Andaluzyjczykami.

Pomijając dumę i wielką godność osobistą, Andaluzyjczycy są tak skromni, jak ich ubrania. Nie znaczy to jednak, że nie mają swoich słabości. Zatem, kobiety i mężczyźni o wieśniaczych, poradliwych, wypalonych słońcem twarzach wsluchiwali się z widoczną satysfakcją w nasze polskie jęki zachwytu, kiedyś mijali wąwozy, przełęcze i małe białe puebla uciepione strumych wzgórz. Z kolei Anglitcy zachowywali się zgodnie z ojczystym obyczajem — nie patrząc na boki, nie komentując, nie krzycząc, nie zdradzając jednym słowem najmniejszych oznak zainteresowania, nawet wtedy (zaczęli akurat żuć bez apetytu swoje sandwiche), kiedy w oddali, gdzieś tam hen! za Granadą, ukazała się nam Sierra Nevada.

Andaluzyjczycy są nad wyraz życzliwi i nim jeszcze opuściliśmy autobus, już zdążyli nas poinformować, że dziś, w niedzielę, można zwiedzić za darmo Alhambrę, a normalnie, to trzeba płacić 180 peset (3 dolary) per capita (od łebka). Była to wiadomość cenna, którą zresztą potwierdził niebawem właściciel niewielkiego pensjonatu „San Francisco”.

Dalszy ciąg na str. 12

KRONIKA KULTURALNA

W sobotę zakończył się I Ogólnopolski Przegląd Filmów Przyrodniczych. Tematyka pokazywanych filmów związana była z ochroną naturalnego środowiska człowieka.

Przeładowi towarzyszyły także inne imprezy: wystawa plakatów dziecięcych do filmów przyrodniczych i kiermasz książek o tej tematyce.

Organizatorzy przeglądu uccili pamięć zmarłego niedawno patrona tej imprezy Włodzimierza Puchalskiego. Zorganizowano wystawę jego fotografii. Jeden dzień przeglądu (sobota) poświęcony był dorobkowi filmowemu tego twórcy — odbył się retrospektywny przegląd jego filmów i seminarium pt. „Włodzimierz Puchalski — przyrodnik i artysta”. Gościem przeglądu były żona i córka tego wybitnego filmowca i fotografa.

Na przeglądzie duży sukces odniosła łódzka WFO. Jury, której przewodniczył red. Andrzej Kolodziej, najwyższej oceny („Raport w sprawie bohra”) przyznając nagrodę im. W. Puchalskiego Barbarze i Januszowi Czeczom z WFO. Fundatorem nagrody, która przyznawana będzie co trzy lata, jest Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi. Pierwszą nagrodę za cykl filmów „Życie i odżywianie” otrzymali: Józef Arkusz, Witold Powada i Wincenty Wcisło (WFO). Drugą nagrodę Mieczysław Lewandowski za „Dziecko dielady” (WFO). Wyróżnienia otrzymali: Joanna Wierzbicka (Poltel), Bolesław Bączyski (WFO), Jerzy Bączyski (WFO), Anna Górna (WFO). Puchar rektora UŁ przyznano Andrzejowi Kosteńce za film pt. „Powrót” (Interpress).

W gmachu KC PZPR odbyło się wręczenie dorocznych nagród w konkursie publicystycznym miesięcznika „Życie Partii”. W konkursie indywidualnym, w którym udział wzięło ponad 100 dziennikarzy z całego kraju, wyróżnienie otrzymał Tomasz Jaworski z „Głosu Robotniczego”. W konkursie wyróżniono także cały zespół „GR”.

W kategorii publicystyki radio-wo-telewizyjnej trzecie miejsce zajął red. Krzysztof Turowski z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

Chór Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego pod dyr. Henryka Blachy został laureatem międzywojewódzkiego przeglądu słodkiej edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Społecznych Ogólnopolskich, który odbywał się niedawno w Skierniewicach.

W konkursie brała udział kilkadziesiąt zespołów reprezentujących stowarzyszenia artystyczne i towarzystwa muzyczne z Warszawy, Łodzi, Sieradza, Radomia, Włocławka, Koniń, Płocka i Skierniewic.

Obok chóru Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, w konkursie udział wzięły także dwa zespoły kameralnych otrzymali je zespoły akordeonowy pod dyr. B. Graczyka i duet fortepianowy.

Na odbywających się w Łodzi konferencjach studentów szkół artystycznych zorganizowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i Zarząd Główny SZSP duży sukces odnieśli przedstawiciele Łodzi.

Pierwsze miejsce i nagrodę wojewody łódzkiego zdobyła Rada Uczelniana SZSP Łódzkiej PWSSP, a drugie miejsce i nagrodę przewodniczącego ZG SZSP — RU SZSP PWSFTiW.

15 maja zakończył się w Piotrkowie Trybunalskim Targi Sztuki. Organizatorem targów są Pracownice Sztuk Plastycznych w Łodzi oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, ZPAF — Okręg Łódzki, BWA w Piotrkowie. Na targach można było obejrzeć i nabyć obrazy, tkaniny artystyczne, grafiki i szkło. Autorami prac byli: K. Kędzia, J. Wasiolek, M. Strumillo, R. Porębski, J. Ziółkowski, A. i R. Rybicki oraz E. Kozanecki.

W Klubie Dziennikarza czynna jest wystawa Krystyny Szczygłowskiej „Portrety — Pejzaże — Kwiaty”.

Z kolejną premierą wystąpił Teatr Nowy. W Malej Galii, w najnowszej sztuce znanego radzieckiego dramaturga Aleksandra Gelmana oglądamy m.in. Piotra Krukowskiego i Lucję Zarnecką. Spektakl reżyserował Andrzej Wana, a scenografię przygotował Marek Tomasiński.

Kilka dni temu zaproszono mnie na spotkanie z czytelnikami do Biblioteki Miejsko-Gminnej w Pajęcznie. Czytelnikami okazały się dzieci klas siódmych i ósmych szkoły podstawowej. Spotkanie odbyło się w przyjemnej atmosferze. Pokwitowałem to odpowiednim wpisem do Księgi Pamiętkowej. Stwierdziłem, że rozmowa z młodymi słuchaczami dostarcza mi wiele wrażeń „realnych i poetyckich”, które zachowam długo w pamięci i w sercu. Uwagi i pytania, jakie mi zadawało, świadczyły o sporym odczuciu ucznia. Oto poproszono mnie o wypowiedź, jaki jest mój stosunek do pisarstwa Hemingwaya, ktoś inny zapytał o Parandowskiego, a jedna z młodych dyskutantek zapytała, czy na początku mojej drogi pisarskiej miałem jakieś utwory, których nie opublikowałem, bo, jak się wyraziła, należały tylko do mnie, były pierwszymi moimi próbami, pisany mi w tajemnicy. Podejrzewam, że to pytanie zadawała młodzieńka adeptka sztuki pisarskiej.

Może ktoś powie, że te pytania ułożyła do mnie nauczycielka albo bibliotekarka. Nie umniejsza to w niczym mojej opinii. Moje uczennice wypowiadały swoje kwestie swobodnie, można rzec, z pełnym poletem. Widać było, jeśli nawet pomagała im bibliotekarka, że orientują się w przedmiocie i że odwołują się do biblioteki. A jeśli nawet była tu reżyseria kogoś starszego, to tym lepiej, bo świadczy to również o tym, że organizatorka spotkania, kierowniczka biblioteki pani Warzechowa, rozumie wagę takich spotkań. Padło już tyle uwag krytycznych na temat imprez majowych, że warto ten fakt odnotować.

Byłem, jako się rzekło, naprawdę wzruszony. Bo oto naszy młodzi wspomnienia sprzed wielu lat, dzieciństwa i młodzieńczości, kiedy uczestniczyłem w zebrań organizowanych na wsi. Te rozmowy odbywały się w latach, które mi słuchacze znają tylko z książek albo z opowieści starszych. Zaraz po wojnie napisałem rzecz, która nosiła tytuł „Gmina Kamień”. Pod tą nazwą ukryłem moją rodzinną gminę. Zwróciłem tam między innymi uwagę na rolę wiciowców w naszej gminie, którzy przenieśli swoje pismo, dużo czytali, urządzali przedstawienia. Największą bolączką kół „Wici” był brak książek. Do książki podchodziło się z prawdziwym nabożeństwem. Dawała ona okazję do długich rozmów. Szukano takich okazji.

Prawie we wszystkich moich książkach staram się pokazywać miłośników dobrej literatury, od dawna atmosferę rozmów, które ciągnęły się nie raz długo w noc. Miejscem spotkań była prosta chałupa wiejska, izba szkolna, nawet gmina. We wstępie do książki Władysława Gebika „Prawo i pieśń” pisałem, że w domu rodzinnym Gebika, którego ojciec pracował w gminie, schodzili się chłopcy, którzy radzili nie tylko o potrzebach swojej wsi. Kiedy w gminie pracował chłop światły, stawała się ona szkołą społecznosci ludzi, była miejscem ciągłych dyskusji, spór, przetrząsanie, nowych pomysłów i projektów, ulepszenia życia przez miejscowych działaczy; była doskonałym polem obserwacji dla młodego człowieka, wrażliwego na wszelkie przejawy życia.

Otóż ta wrażliwość. Pod wpływem takich rozmów, gdzie książka odgrywała dużą rolę, młody Gebik organizuje pierwsze w powiecie koła młodzieży wiejskiej oraz amatorskie koło teatralne.

Muszę się na wstępie przyznać, że od tych spraw w zasadzie odstąpiłem, choćby dlatego, że w Łodzi nie ma zapotrzebowania na ambitniejszą twórczość satyryczno-humorystyczną. Dotyczy to nie tylko sytuacji piszącego, ale i słów. W naszym mieście od dawna źle gospodarzy się talentami literackimi, by zostać przykładem na tym jednym podwórku.

Mimo to, okoliczności sprawiają niekiedy, że człowiek na krótko wraca do tak ongi bardzo go absorbującej sprawy humoru i satyry.

Krótkotko w ub. roku bawił w naszym mieście mój stary znajomy, Leonid Lencz, jeden z najpopularniejszych humorystów radzieckich (scenariusze komedii „Krokodyl”) w towarzystwie

młodego krytyka, p. Nikołajewa. Pobyt tego drugiego był związany z przygotowaniem książki, poświęconej polskiej satyrze dwu dziesięciolecie, od Boya. Nie

probie antologii. Potem jednak doszedłem do wniosku, że nie byłoby to lojalne, gdyż jest to coś między zarysem antologii a książką do czytania, złożoną z

krótkich tekstów autorów polskich różnego autoramentu, b. nawet różnego autoramentu.

Znalazło się w niej 55 nazwisk, w tym siedem łódzkich, jak np. T. Giegler, I. Sikirski, Z. Fijał. Najwięcej tekstów przełożył redaktor tomu, Piotr Stefanowicz. Inne wyszły spod pióra aż kilku tłumaczy i tłumaczek.

Gdyby jednak przez chwilę potraktować książkę jako próbę

próbie antologii. Potem jednak doszedłem do wniosku, że nie byłoby to lojalne, gdyż jest to coś między zarysem antologii a książką do czytania, złożoną z

krótkich tekstów autorów polskich różnego autoramentu, b. nawet różnego autoramentu.

Znalazło się w niej 55 nazwisk, w tym siedem łódzkich, jak np. T. Giegler, I. Sikirski, Z. Fijał. Najwięcej tekstów przełożył redaktor tomu, Piotr Stefanowicz. Inne wyszły spod pióra aż kilku tłumaczy i tłumaczek.

Gdyby jednak przez chwilę potraktować książkę jako próbę

Mamy tu przykład, kiedy książka inspirowała do szerszej działalności społecznej. Ale przecież ważną rolę spełniały rozmowy o książce w domach prywatnych, w gronie rodzinnym lub sąsiedzkim. W „Dziadku i Róży” opisuje te wieczory. Bohater książki wspomina: „Jest wieczór. Właściwie już noc. Małe okienko, przysłonięte kwiatami, utonęło w ciemności. A my wciąż słuchamy opowiadania, które dziadek czyta. Przed samym zakończeniem, kiedy człowiek umiera z ciekawości, dziadek przerywa czytanie, zdejmując z nosa okulary i czyści je szmatką. „Dziadku! — krzyknęmy — kończcie!” Ale dziadek nie zważa na nasze krzyki. Umyślnie przeciąga tę chwilę. Wreszcie ulitował się, zakłada okulary i odczytuje zdania, na które tak czekaliśmy.

Na jednym opowiadaniu się nie kończy. Dziadek snuje dalsze opowieści z pamięci. Zna ich mnóstwo... Lampa zaczyna filować, nafta się dopala, dziadek nie pozwala dolać naftę (...). Kończymy więc ten wieczór w zupełnej ciemności, Mała izba wypełniona dymem machorki, którą pali dziadek, tonie w mroku. Dochodzi do nas spod pieca jednostajny, chrapliwy głos opowiadającego. „Dziadku — wołamy — teraz o tym jak sługa przemyślił panu”. Ogromnie lubimy te przypowieści, w których pan, dziadek lub dziadeczek, zostają wykpieni przez sługi.”

Skończył wreszcie na ścieżkę liryczną, nlechnie wolno mi będzie przytoczyć i osobiste wspomnienie z pierwszego zetknięcia się z książką. Było to w klasie trzeciej czy czwartej szkoły powszechnej. U jednego z sąsiadów natknąłem się na mały skisgobór. Między innymi znalazłem tam wypisy

szkolne „Surzcha rodzinna”, które zawierały wiele powiastek historycznych. Wykradałem się do tego sąsiada prawie co wieczór i przy lampce naftowej czytałem głośno aż do północy. Bałem się wracać do domu, więc odprowadzał mnie starszy syn sąsiadów. Musiałem mu za to płacić resztytami, które mi ojciec kupował do szkoły. Nadszedł dzień, kiedy zapas resztytów wyczerpał się i przyszedłem do szkoły z pustą teczką. Nauczyciel za karę odmierzył mi kilka pasów. Był to czas, kiedy nauczyciele stosowali jeszcze w szkole kary cielesne. Na szczęście ojciec ujął się za mną i zrobił nauczycielowi awanturę. A więc (przepraszając za tę wstawkę) można rzec, że było to moje pierwsze cierpienie za „wyższe cele”.

Ot, przypomniałem sobie i tę scenę na spotkaniu w Pajęcznie. Bo tam w bibliotece, w czasie rozmowy z dziećmi zauważyłem owo przejęcie i żarliwość, z którą spotykałem się w młodości i która dzisiaj można znaleźć w niektórych bibliotekach, szkołach czy klubach. To było takie odzucie, jakim nagle odnalazł melodię, słyszana dawno, a zapomniana. Spotkałem żarliwość i przejęcie i słuchaczy i organizatorów. Jeszcze i dzisiaj spotykamy Słazki Żeromskiego. Warto te cnoty społeczne wskrzeszać i pielęgnować, kiedy mimo różnych niedociągnięć możemy pracować w warunkach lepszych niż dawne. Nie można pozwolić, aby na tym ważnym, a właściwie najważniejszym odcinku naszej działalności edukacyjnej, górnym wieżem biurokracji, Bo metetw, PZ takimi przypadkami, może zbyt często, również się spotykamy.

Na spotkaniu z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Referat o twórczości Władysława Rymkiewicza wygłosił dr Jerzy Rzymowski, wysoko oceniając dorobek Jubilata. Władysław Rymkiewicz jest autorem 21 książek, wielu artykułów i felietonów. Wiele słów uznania dla twórczości Jubilata wyrazili również łódzcy pisarze, którzy zabierali głos w czasie uroczystości.

Następnie aktor Janusz Dziubiński odczytał fragmenty najnowszej prozy Władysława Rymkiewicza (drukujemy je na str. 8).

Na zakończenie uroczystości głos zabrał Jubilat. Przedstawił on zebrany swoją rozprawę o zadaniach i charakterze „nowej powieści” we współczesnym świecie.

Jubilat otrzymał wiele kwiatów, depesz z życzeniami i gratulacjami. Do tych życzeń dołączyli się też zebrani. Była to piękna i wzruszająca uroczystość.

Do życzeń tych i gratulacji dołącza się też zespół redakcji tygodnika „Odgłosy”.

Następnego dnia, w dniu urodzin Władysława Rymkiewicza, Jubilata przyjął i sekretarz KC PZPR — Bolesław Koperski. W imieniu władz partyjnych i administracyjnych miasta oraz w imieniu własnym Bolesław Koperski złożył Jubilatowi serdeczne życzenia zdrowia, pomyślności i dalszej owocnej pracy. W spotkaniu wzięła udział sekretarz KC Genowefa Adamczewska.

Na spotkaniu z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Referat o twórczości Władysława Rymkiewicza wygłosił dr Jerzy Rzymowski, wysoko oceniając dorobek Jubilata. Władysław Rymkiewicz jest autorem 21 książek, wielu artykułów i felietonów. Wiele słów uznania dla twórczości Jubilata wyrazili również łódzcy pisarze, którzy zabierali głos w czasie uroczystości.

Następnie aktor Janusz Dziubiński odczytał fragmenty najnowszej prozy Władysława Rymkiewicza (drukujemy je na str. 8).

Na zakończenie uroczystości głos zabrał Jubilat. Przedstawił on zebrany swoją rozprawę o zadaniach i charakterze „nowej powieści” we współczesnym świecie.

Jubilat otrzymał wiele kwiatów, depesz z życzeniami i gratulacjami. Do tych życzeń dołączyli się też zebrani. Była to piękna i wzruszająca uroczystość.

Do życzeń tych i gratulacji dołącza się też zespół redakcji tygodnika „Odgłosy”.

JUBILEUSZ WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA

W piątek, 16 maja 1980 roku, w siedzibie zarządu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich odbyła się uroczystość poświęcona jubileuszowi pisarza — WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA. Czytelnicy „Odgłosów” wielokrotnie mieli okazję zapoznać się z prozą tego pisarza, a także z wypowiedziami krytyków na temat jego twórczości. Władysław Rymkiewicz trwale związany jest z Łodzią i wiele jego książek poświęconych jest przeszłości i teraźniejszości miasta. Wyrazem uznania społeczeństwa Łodzi dla twórczości Jubilata było przyznanie mu nagrody miasta Łodzi oraz odznaczenie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Na spotkanie z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Referat o twórczości Władysława Rymkiewicza wygłosił dr Jerzy Rzymowski, wysoko oceniając dorobek Jubilata. Władysław Rymkiewicz jest autorem 21 książek, wielu artykułów i felietonów. Wiele słów uznania dla twórczości Jubilata wyrazili również łódzcy pisarze, którzy zabierali głos w czasie uroczystości.

Następnie aktor Janusz Dziubiński odczytał fragmenty najnowszej prozy Władysława Rymkiewicza (drukujemy je na str. 8).

Na zakończenie uroczystości głos zabrał Jubilat. Przedstawił on zebrany swoją rozprawę o zadaniach i charakterze „nowej powieści” we współczesnym świecie.

Jubilat otrzymał wiele kwiatów, depesz z życzeniami i gratulacjami. Do tych życzeń dołączyli się też zebrani. Była to piękna i wzruszająca uroczystość.

Do życzeń tych i gratulacji dołącza się też zespół redakcji tygodnika „Odgłosy”.

Następnego dnia, w dniu urodzin Władysława Rymkiewicza, Jubilata przyjął i sekretarz KC PZPR — Bolesław Koperski. W imieniu władz partyjnych i administracyjnych miasta oraz w imieniu własnym Bolesław Koperski złożył Jubilatowi serdeczne życzenia zdrowia, pomyślności i dalszej owocnej pracy. W spotkaniu wzięła udział sekretarz KC Genowefa Adamczewska.

Na spotkaniu z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Referat o twórczości Władysława Rymkiewicza wygłosił dr Jerzy Rzymowski, wysoko oceniając dorobek Jubilata. Władysław Rymkiewicz jest autorem 21 książek, wielu artykułów i felietonów. Wiele słów uznania dla twórczości Jubilata wyrazili również łódzcy pisarze, którzy zabierali głos w czasie uroczystości.

Następnie aktor Janusz Dziubiński odczytał fragmenty najnowszej prozy Władysława Rymkiewicza (drukujemy je na str. 8).

Na zakończenie uroczystości głos zabrał Jubilat. Przedstawił on zebrany swoją rozprawę o zadaniach i charakterze „nowej powieści” we współczesnym świecie.

Jubilat otrzymał wiele kwiatów, depesz z życzeniami i gratulacjami. Do tych życzeń dołączyli się też zebrani. Była to piękna i wzruszająca uroczystość.

Do życzeń tych i gratulacji dołącza się też zespół redakcji tygodnika „Odgłosy”.

Następnego dnia, w dniu urodzin Władysława Rymkiewicza, Jubilata przyjął i sekretarz KC PZPR — Bolesław Koperski. W imieniu władz partyjnych i administracyjnych miasta oraz w imieniu własnym Bolesław Koperski złożył Jubilatowi serdeczne życzenia zdrowia, pomyślności i dalszej owocnej pracy. W spotkaniu wzięła udział sekretarz KC Genowefa Adamczewska.

Na spotkaniu z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

W piątek, 16 maja 1980 roku, w siedzibie zarządu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich odbyła się uroczystość poświęcona jubileuszowi pisarza — WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA. Czytelnicy „Odgłosów” wielokrotnie mieli okazję zapoznać się z prozą tego pisarza, a także z wypowiedziami krytyków na temat jego twórczości. Władysław Rymkiewicz trwale związany jest z Łodzią i wiele jego książek poświęconych jest przeszłości i teraźniejszości miasta. Wyrazem uznania społeczeństwa Łodzi dla twórczości Jubilata było przyznanie mu nagrody miasta Łodzi oraz odznaczenie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Na spotkanie z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Referat o twórczości Władysława Rymkiewicza wygłosił dr Jerzy Rzymowski, wysoko oceniając dorobek Jubilata. Władysław Rymkiewicz jest autorem 21 książek, wielu artykułów i felietonów. Wiele słów uznania dla twórczości Jubilata wyrazili również łódzcy pisarze, którzy zabierali głos w czasie uroczystości.

Następnie aktor Janusz Dziubiński odczytał fragmenty najnowszej prozy Władysława Rymkiewicza (drukujemy je na str. 8).

Na zakończenie uroczystości głos zabrał Jubilat. Przedstawił on zebrany swoją rozprawę o zadaniach i charakterze „nowej powieści” we współczesnym świecie.

Jubilat otrzymał wiele kwiatów, depesz z życzeniami i gratulacjami. Do tych życzeń dołączyli się też zebrani. Była to piękna i wzruszająca uroczystość.

Do życzeń tych i gratulacji dołącza się też zespół redakcji tygodnika „Odgłosy”.

Następnego dnia, w dniu urodzin Władysława Rymkiewicza, Jubilata przyjął i sekretarz KC PZPR — Bolesław Koperski. W imieniu władz partyjnych i administracyjnych miasta oraz w imieniu własnym Bolesław Koperski złożył Jubilatowi serdeczne życzenia zdrowia, pomyślności i dalszej owocnej pracy. W spotkaniu wzięła udział sekretarz KC Genowefa Adamczewska.

Na spotkaniu z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Referat o twórczości Władysława Rymkiewicza wygłosił dr Jerzy Rzymowski, wysoko oceniając dorobek Jubilata. Władysław Rymkiewicz jest autorem 21 książek, wielu artykułów i felietonów. Wiele słów uznania dla twórczości Jubilata wyrazili również łódzcy pisarze, którzy zabierali głos w czasie uroczystości.

Następnie aktor Janusz Dziubiński odczytał fragmenty najnowszej prozy Władysława Rymkiewicza (drukujemy je na str. 8).

Na zakończenie uroczystości głos zabrał Jubilat. Przedstawił on zebrany swoją rozprawę o zadaniach i charakterze „nowej powieści” we współczesnym świecie.

Jubilat otrzymał wiele kwiatów, depesz z życzeniami i gratulacjami. Do tych życzeń dołączyli się też zebrani. Była to piękna i wzruszająca uroczystość.

Do życzeń tych i gratulacji dołącza się też zespół redakcji tygodnika „Odgłosy”.

Następnego dnia, w dniu urodzin Władysława Rymkiewicza, Jubilata przyjął i sekretarz KC PZPR — Bolesław Koperski. W imieniu władz partyjnych i administracyjnych miasta oraz w imieniu własnym Bolesław Koperski złożył Jubilatowi serdeczne życzenia zdrowia, pomyślności i dalszej owocnej pracy. W spotkaniu wzięła udział sekretarz KC Genowefa Adamczewska.

Na spotkaniu z Jubilatami do siedziby ZLP w Łodzi przybyli: przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Wojciech Nosko, kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Józef Olbryk, wiceprezydent m. Łodzi — Zbigniew Polt oraz koledzy pisarze, czytelnicy, przyjaciele. Zebranych gości powitał prezes łódzkiego oddziału ZLP — Jerzy Wawrzak, który też w imieniu zgromadzonych złożył Jubilatowi serdeczne życzenia. Władysław Rymkiewicz otrzymał też listy gratulacyjne od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdana Gawrońskiego, ministra kultury i sztuki — Zygmunta Naidowskiego i od Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. W listach tych gratulowano Jubilatowi z okazji ukończenia 80 lat, wysoce oceniono jego twórczość i składano ser-

deczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Referat o twórczości Władysława Rymkiewicza wygłosił dr Jerzy Rzymowski, wysoko oceniając dorobek Jubilata. Władysław Rymkiewicz jest autorem 21 książek, wielu artykułów i felietonów. Wiele słów uznania dla twórczości Jubilata wyrazili również łódzcy pisarze, którzy zabierali głos w czasie uroczystości.

Następnie aktor Janusz Dziubiński odczytał fragmenty najnowszej prozy Władysława Rymkiewicza (drukujemy je na str. 8).

Na zakończenie uroczystości głos zabrał Jubilat. Przedstawił on zebrany swoją rozprawę o zadaniach i charakterze „nowej powieści” we współczesnym świecie.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, MAŁGORZATA GOŁICKA, JACEK INDEIAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYNSKI (futureporter), BOGDAN MADEJ, ANDRZEJ MAKOWICKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOJENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), Stale współpracują: ANDRZEJ BIAŁY, TADUSZ BIAŁEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

społecznych, walczyli o polską szkołę. W dyskusjach kształtowały się systemy wartościowania różnych zjawisk. Kola młodzieżowe miały bardzo zróżnicowany charakter i można je podzielić na oświatowe, społeczno-oświatowe i społeczno-polityczne. Obejmowały one różne środowiska: uczniowskie i studenckie, kobiece oraz robotnicze.

Kola społeczno-polityczne stanowiły najwyższą formę działania. Z uwagi na cel, kierunek i treść samokształcenia, można je podzielić na patriotyczno-radykalne oraz socjalistyczne; te drugie zaś na socjalistyczno-niepodległościowe i socjalistyczno-międzynarodowe.

W końcu XIX i na początku XX wieku ruch kółkowy przybrał postać scentralizowaną. Obejmował on ziemie polskie we wszystkich zabiorach: rosyjskim, austriackim i pruskim oraz młodzież polską, głównie studiującą poza krajem, zarówno w państwach zaborskich, jak i w Europie Zachodniej. Ruch ten rozwinął się szerzej w Królestwie Polskim, obejmując takie ośrodki, jak: Warszawa, Łódź, Siedlce, Łomża, Ostrołęka, Białą, Puław, Lublin, Radom, Kielce, Częstochowa, Dąbrowa Górnicza, Piotrków, Łódź, Kalisz, Płock i inne. Na ziemiach zaboru pruskiego rozwinął się w Poznaniu, Gnieźnie, Lesznie, Inowrocławiu, na Pomorzu Gdańskim, we Wrocławiu i Raciborzu. W Galicji funkcjonował w Krakowie, Tarnobrozie, Nowym Sączu, Rzeszowie, Lublinie, Lwowie i innych miastach, zaś w Księstwie Cieszyńskim — między innymi w Bielsku i Wiśle. Centralne ośrodki ruchu kółkowego znajdowały się w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu.

Młodzieżowe kółka na ziemiach polskich przeszły trzy fazy rozwoju. Pierwszą z nich stanowią lata 1871—1882, drugą — 1883—1897, zaś trzecią — lata 1898—1905. Pierwsza faza rozwoju tego ruchu poprzedziła powstanie zorganizowanego ruchu robotniczego.

Działalność w kółkach przybierała zróżnicowane formy, uwarunkowane ich rozwojem, strukturą organizacyjno-programową. W różnych formach aktywności, dostosowanych do zmiennych sytuacji i warunków konspiracji koniecznej w zabiorze rosyjskim i pruskim, a tylko częściowo w austriackim, wytworzało się wśród młodzieży poczucie solidarności. Przygotowywała się ona do przyszłej działalności w najróżniejszych dziedzinach życia społecznego i politycznego.

Młodzież działająca w kółkach świadomie podejmowała się samodzielnego zdobywania wiedzy, kształtowania światopoglądu, poddawania się autokontroli, dążąc do osiągnięcia uświadomionego wzoru osobowości. Miał być nim Polak, aktywny uczestnik życia społeczno-politycznego. Najbardziej radykalna młodzież zwracała się do poznania idei socjalizmu, marksizmu i z tym wyborem ideowo-politycznym wiązała swoją działalność.

Młodzi członkowie kółek kształcili się w oparciu o określone kręgi lektur społeczno-ekonomicznych i historycznych, literatury pięknej oraz prasy. Pierwszy krąg lektur obejmował piśmiennictwo społeczno-naukowe pozytywizmu, drugi — przedmarksistowską literaturę światopoglądową i dzieła dotyczące problematyki socjalizmu utopijnego, wreszcie trzeci — literaturę so-

cialistyczną, w tym również marksistowską. Czwarty krąg wskazywał na twórców i dzieła podejmujące problemy narodowej tradycji, patriotyzmu, walki narodowowyzwoleńczej Polaków i innych narodów i obejmuje zarówno literaturę polską, jak rosyjską i zachodnioeuropejską.

Kółka zajmowały się wydawaniem wybranych lektur, nierzadko korzystały z wydawnictw partii politycznych, niekiedy i same organizowały publikowanie tekstów, również pisanych gazetek lub odbijanych na hektografie.

Samodzielna praca, oparta o lekturę, mogła się stawać punktem wyjścia do różnorodnej aktywności, wyrażającej się nie tylko w zebrań, manifestacjach, uczestnictwie w bojkotach, itd., ale i np. w strajku szkolnym 1905 roku. Wszystko to stanowiło o wyborach ideowych, które znajdowały wyraz w aktywnym uczestnictwie w ruchach politycznych tych czasów, głównie socjalistycznym, narodowo-demokratycznym i ludowym. Spośród członków kółek wyszli, między innymi, wybitni przedstawiciele polskiej lewicy, jak Ludwik Krzywicki, Ludwik Waryński, Julian Marchlewski, Feliks Dzierżyński, Adolf Warski, Maria Koszutska, Maria Skłodowska, Wacław Sieroszewski, Stanisław Wojciechowski.

W pierwszej fazie rozwoju, w latach 1872—1882, gdy w ruchu tym przeważały inspiracje pozytywistyczne, pojawiły się również i inne — o charakterze socjalistycznym, jednakże tylko w niewielkim stopniu marksistowskie. Jedną z pierwszych prób upowszechnienia idei Karola Marksa był projekt tłumaczenia „Kapitału” w studenckim kółku w Warszawie, około 1878 roku — w powołanym wówczas do życia kółku literacko-wydawniczym. Idee socjalizmu, w tym i marksizmu, nadchodziły wówczas w pierwszej kolejności ze Wschodu — z Rosji, a następnie z Zachodu — przede wszystkim z Niemiec. Polacy studiujący w Rosji zapoznawali się z dziełami o treściach socjalistycznych, a nierzadko i marksistowskich, w języku rosyjskim. Ludwik Krzywicki pisał w swoich wspomnieniach:

Odessa, Kijów, Petersburg, Moskwa były na ówczesną dla młodzieży polskiej, rwącej się do pracy społecznej, czymś w rodzaju Mekki wśród młodych. Socjalizm już się dostawał do nas w przetłumaczeniu przez umysłowość rosyjską.

Ludwik Waryński wspominał również w dyskusjach, jakie toczyły się w kółkach studenckich w 1878 roku:

Idea socjalizmu, obca dotąd młodzieży warszawskiej, znalazła wśród niej szerszych wyznawców. Toczyły się gorące rozprawy w rozmaitych teoretycznych i praktycznych kwestiach. Roztrząsano teorie Marksa, działalność Lassalle'a, mówiono z radością o wzroście socjalnej demokracji w Niemczech i o niedawnych procesach nihilistów rosyjskich, zastanawiano się wreszcie nad środkami skutecznej propagandy wśród uczącej się młodzieży i robotników. Zapal niezwykły wszystkich ogarniał. Na rozjaśnionych twarzach widać było żywe przejście się idea, która również wszystkich podniecała... Któż z nas wówczas pozwoliłby sobie wątpić, iż za trzy lub najdalej cztery lata nie nastąpi gwałtowna rewolucja społeczna, która zmiecie z

oblicza ziemi stary porządek rzeczy i na ruinach jego zaprowadzi nowy ustrój równości, wolności i braterstwa.

Teksty marksistowskie, zarówno klasyków jak i popularyzatorów, docierały do kółek w określonym wyborze. Ponadto funkcjonowały one niejako w blokach z innymi o cha-

czym interese — sowała się młodzież pod koniec XIX wieku

rakterze niemarksistowskim: początkowo przede wszystkim z tekstami pozytywistycznymi.

W latach siedemdziesiątych i w początkach osiemdziesiątych XIX w. marksistowskie teksty ekonomiczne występowały w bloku z pracami o charakterze pozytywistycznym i lekturami z kręgu przedmarksistowskich kierunków rewolucyjnych. I tak, dyskutowano wówczas zarówno nad pracami H. T. Buckle'a („Historia cywilizacji w Anglii”), K. Darwina, Ch. Fouriera, Saint-Simona i P. Kropotkina, a także F. Lassalle'a, jak i nad dziełami marksistowskimi. Po części więc interesować się „Kapitałem” K. Marksa, który pierwszy raz został wydany po polsku w tłumaczeniu L. Krzywickiego w 1884 r. a to głównie ze względu na ekonomiczne treści tego dzieła (teoria wartości dodatkowej i wyzysku). Tezy Marksa poznawano jednak najczęściej za pośrednictwem Szymona Dikszajna, właściwie z jego broszurki: „Kto z czego żyje?”. Praca ta została przez Lenina oceniona jako wzór popularnej literatury socjalistycznej. Bro-

szura ta, której pierwsze wydanie ukazało się w 1880 roku, informowała o położeniu i organizacji klasy robotniczej oraz o historii I Międzynarodówki. W centrum uwagi autora znalazły się ekonomiczne zadania rewolucji proletariackiej (uspolecanie środków produkcji) oraz polityczne walki, przedstawione na przykładzie Komuny Paryskiej.

Jako inspiracja o bardziej istotnym niż do tej pory znaczeniu, marksizm wystąpił w ruchu kółkowym w drugiej fazie jego rozwoju, mianowicie w latach 1883—1897, przede wszystkim w zaborach: rosyjskim i austriackim. Wówczas to, wśród lektur kółkowych krążyły takie pisma klasyków marksizmu, jak „Kapitał”, t. I, K. Marksa i F. Engelsa. Jednocześnie znaczną popularność uzyskiwały teksty, które można uznać za popularyzujące idee marksizmu, takie jak: A. Bebla „Kobieta i socjalizm”, K. Kautsky'ego „Program Erfurcki”, tegóż — „Teoria wartości”, także „Karola Marksa nauki ekonomiczne”, L. Lafargue'a „Praca umysłowa wobec maszyny” oraz „Religia kapitału”, W. Liebmachta „W obronę prawdy” i „Wiedza to potęga, potęgą to wiedza”, Sz. Dikszajna „Kto z czego żyje?”, czapismat: „Przedświt”, „Walka klas”.

Analiza toczonych w kółkach dyskusji i wygłaszanych referatów pozwala nam stwierdzić, że treści niefosne przez literaturę marksistowską były poważnym stimulatorem życia ideowego młodzieży. Dyskutowała ona o takich wielkich problemach, jak:

— rewolucja europejska w ujęciu Marksa, w tym — nad tezą marksistowską, że rewolucja społeczna nastąpi wtedy, gdy ustrój kapitalistyczny dojdzie do przewrotu, historyczna misja klasy robotniczej, — założenia pracy F. Engelsa: Początki cywilizacji. Na zasadzie i jako uzupełnienie badań Lewisa H. Morgana (spolszczona przez L. Krzywickiego — obecny tytuł: „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa”).

— o „Kapitał” K. Marksa — w ogóle teoria ekonomiczna (teoria wartości dodatkowej).

W drugiej fazie rozwoju ruchu kółkowego (1883—1897) w lekturach członków kółek w ogóle przeważały teksty o charakterze ekonomicznym, przy ubóstwie dotyczących problematyki filozoficznej, a także politycznej. Jednocześnie można zauważyć, że szeroka problematyka społeczna jest wówczas rozpatrywana częściej w kategoriach marksistowskich, aniżeli pozytywistycznych, że rysuje się więc świadomość opozycyjności światopoglądu opartego o inspiracje marksistowskie wobec mieszczańskiego światopoglądu pozytywistycznego.

Względne osłabienie zainteresowań socjalizmem i marksizmem następuje w trzeciej fazie rozwoju kółek, w latach 1898—1905, kiedy na czoło zainteresowań młodzieży wysuwa się problematyka niepodległości Polski. Nadal jednak oddziaływują na młodzież inspiracje płynące z lektur marksistowskich, których katalog powoli się poszerza o myśl leninowską.

Pewnych wiadomości w tej sprawie dostarczyć wspomnienia i pamiętniki. Zarówno ze wspomnień, jak i literatury dotyczącej dzieł organizacji robotniczych wynika, że znane wówczas były w kółkach robotniczych i studenckich w Warszawie, pod koniec XIX wieku, niektóre prace Lenina, a przede wszystkim „Treść ekonomiczna narodnictwa i jego krytyka w książce p. Struvego”.

Czy powyższe dane są wyczerpujące? Zapewne, nie, sugerują jednak, że i te treści mogły już wtedy docierać do członków kółek.

Dzielenie skupiającą uwagę członków kółek pozostaje nadal „Kapitał” K. Marksa. Dyskusje i spory poczynają przybierać charakter bardziej związanych z życiem politycznym. Dotyczyły one takich zagadnień, jak: rola partii robotniczej w ruchu rewolucyjnym, rozwój ruchu rewolucyjnego na Wschodzie i Zachodzie oraz problem rewolucji społecznej a kwestia niepodległości Polski.

Literatura marksistowska w trzeciej fazie rozwoju (1898—1905) napływa z różnych ośrodków europejskich, głównie z Genewy i Paryża, w tym i z polskich zagranicznych ośrodków wydawniczych, a ponadto jest również wydawana w kraju. W tej fazie problematyka ekonomiczna zostaje zmagazynowana przez zagadnienia polityczne — głównie: stosunek do sprawy niepodległości Polski. Jest to zupełnie zrozumiałe, że argumentacja czerpana z myśli marksistowskiej jest w szerszym zakresie wykorzystywana dla uzasadnienia konieczności, bądź niemożności wyusowania programu niepodległościowego. Problem niepodległości determinuje to, w jakich szerszych blokach będą funkcjonować inspiracje marksistowskie — dla jednych jest to blok polityczno-ekonomiczny, dla drugich — społeczno-narodowy.

Przeprowadzone przeze mnie badania pozwoliły zaobserwować, że intensywność zainteresowania myślą marksistowską, poczynając od pierwszej fazy działania kółek, okazała się znacznie szersza, aniżeli zakres ideowych wyborów młodzieży, kierujących się ku ruchowi rewolucyjnemu i robotniczemu. Zarówno z analizy lektur, jak i informacji dotyczących odbywających się w kółkach sporów i dyskusji wynika, że piśmiennictwo marksistowskie funkcjonuje znacznie szerzej, aniżeli tylko wśród sympatyków lewicy. Wśród zapalnych czytelników dzieł Marksa i Engelsa i innych tekstów spókać można wielu ludzi, którzy już wtedy jak i później będą znajdowali się w przeciwnych obozach ideowych, a nie tylko tych, którzy przyjęli marksizm jako podstawę własnego światopoglądu i działania.

Inspiracje marksistowskie spełniły znaczącą rolę w kształtowaniu się światopoglądów uczestników kółek. Analiza struktur tych światopoglądów pozwoliła na przeprowadzenie typologii światopoglądów: racjonalistycznego, patriotyczno-radykalnego i socjalistycznego. Z całą jasnością okazuje się, że tak podstawowe kategorie, jak: rozwój społeczny, rewolucja społeczna, demokracja, wolność i sprawiedliwość społeczna, rozumiane zgodnie z marksizmem, spełniały istotną, konstruktywną funkcję w strukturze światopoglądu o charakterze socjalistycznym.

Powstanie pierwszej rewolucyjnej partii robotniczej „Proletariat” nie tylko zapoczątkuje zorganizowany ruch robotniczy w naszym kraju, ale i będzie sprzyjało bardziej, aniżeli dawniej, propagowaniu idei socjalizmu i marksizmu, co znajdzie również swoje odzwierciedlenie w młodzieżowym ruchu kółkowym. Wśród czołowych organizatorów partii znalazł się jeden z uczestników dyskusji w kółkach, Ludwik Waryński, który jako jej przywódca myślą i działaniem będzie do końca wierny sprawie socjalizmu.

DANUTA TOMASZEWSKA

LEADER NARODOWEJ PRAWICY

Historyk Roman Wapiński, specjalizujący się od wielu lat w badaniach nad dziejami Polski XX wieku, ogłosił ostatnio (1979) w wydawnictwie Iskry niewielką książeczkę o tytule: *Roman Dmowski*. Ukazała się ona w popularnej serii *Współczesne Życiorysy Polaków* w nakładzie ponad 6 tysięcy egzemplarzy, co jednak nie zapewniło jej dłuższego żywota na półkach księgarskich. Nowa praca R. Wapińskiego przyniosła zarys życia, działalności a przede wszystkim poglądów czołowego przywódcy obozu narodowo-demokratycznego, który odgrywał istotną rolę w międzywojennej Polsce.

Endecja zajmuje się autor od lat wielu, dając temu wyraz na łamach prasy naukowej. Przypomnijmy, że jest on autorem artykułów i rozpraw o endeckiej koncepcji granic Polski z lat 1918—1921 (1968), o narodowej demokracji

koncepcji polityki wschodniej w latach międzywojennych (1969), roli endecji w życiu politycznym II Rzeczypospolitej (1969) i studium o zagadnieniach ideowo-politycznej ewolucji tego kierunku (1966). Nie jest jednak R. Wapiński pierwszym, który pokusił się o przedstawienie portretu R. Dmowskiego. Przypomnijmy, jak spieraliśmy się przed laty (1971) na tym samym, *Odgłosowym* miejscu z poglądami i ocenami, zawartymi w książce, którą o R. Dmowskim opublikował wówczas Andrzej Micewski. Jak byśmy jej nie oceniali — daleki jestem od zbyt wysokiego o niej mniemania — była ona pierwszą, wydaną w Polsce po II Wojnie Światowej, osobną książką o tej postaci z życia politycznego naszego kraju, której portret proponuje nam dzisiaj R. Wapiński.

Dlaczego w serii *Współczesne Życiorysy Polaków* znalazło się miejsce na tę własną pracę? Mówiąc o społecznej funkcji biografistyki R. Wapiński zauważa, że na ogół zwykło się pisać o ludziach, którzy przynajmniej w pewnej mierze mogą być uznani za nieodłączną część akceptowanej przez nas tradycji. W przypadku R. Dmowskiego tak jednak nie jest. R. Wapiński podkreśla wyraźnie, że poświęcił on swoją książkę ideologowi i politykowi, przedstawicielowi społecznej prawicy, reprezentującemu poglądy przeciwstawne naszej tradycji; określił nawet swą tytułową postać mianem bohatera negatywnego. A więc czemu autor i wydawnictwo, które ogłosiło jego książkę, zdecydowało się popularyzować taką właśnie sylwetkę?

Pytanie to — które R. Wapiński stawia na wstępie do swojej książki — nie ma jedynie charakteru retorycznego Socjologowie, zajmujący się zagadnieniami świadomości i kultury historycznej już dawno podkreślili, że w życiu społecznym spotykamy się z bardzo zróżnicowanym stosunkiem do tradycji i historii. Z

jednej strony mamy w nim do czynienia ze stosunkiem, który można by określić mianem *praktycznego*, polegającym na zwracaniu się do przeszłości li tylko z punktu widzenia naszych aktualnych potrzeb, poszukując w niej genealogii twórczości przez nas teraźniejszości. To właśnie na obszarze tego rodzaju myślenia historycznego, które znamy aż nadto dobrze, traktuje się przeszłość jako niewyczerpany zbiór przykładów i nauk moralnych ku pożytkowi chwili obecnej, a więc czysto instrumentalnie; sprawa, jak to ongiś rzeczywiste było, schodzi na plan tak daleki, że rzadko kiedy bywa w ogóle zauważana.

Z drugiej strony w tym samym życiu społecznym mamy do czynienia z innym stosunkiem do przeszłości, który by można określić mianem *historycznego*. Jest to wówczas, kiedy wychodząc z naszych współczesnych pytań zwracamy się do przeszłości po to, aby możliwie adekwatnie rozpoznać to, co się na nią złożyło, by ją dokładnie poznać i wyjaśnić, niezależnie od tego, czy będzie to dla nas przyjemne, czy nie, czy odnajdziemy w niej wątki tradycji, które gotowi byłibyśmy akceptować, czy inne, które wypadnie nam przewartościować, bądź odrzucić.

Nie będzie żadnym odkryciem, jeśli powiem, że holdowanie li tylko wąsko pragmatyzmu, *praktycznemu* stosunkowi do historii — które prowadzi często do przemilczania całych pokoleń dziełowej rzeczywistości — nie tylko nie znajduje żadnego oparcia w teorii materializmu historycznego, w imię której bywa nieraz uprawiane, ale może przyczyniać się do... czegoś zgoła przeciwnego temu, w imię czego się go uprawia. Piśmiennictwo historyczne nie jest bowiem jedynym źródłem historycznej świadomości społeczeństwa, więc kiedy coś pomija, czymś się nie zajmuje, wcale to nie oznacza, że

w społecznych wyobrażeniach o przeszłości owo coś nie będzie istniało. Łatwo zaś wskazać, że jeśli historia o tym czymś nie mówi, nie weryfikuje wyobrażeń o dziejach — to jej miejsce zajmuje szybko rozwijająca się mitologia, będąca zlepkiem różnych treści, zasympianych czy skądś zapamiętanych, bardzo dalekich od tego, co o tych sprawach ma do powiedzenia krytyczna, naukowa historia.

Historyczna edukacja społeczeństwa — bo temu właśnie służy poważne popularyzatorskie piśarstwo historyczne, którego przykładem jest książeczka R. Wapińskiego — oznacza coś znacznie bardziej odpowiedzialnego, aniżeli dostarczanie historycznych przykładów, godnych naśladowania. Ma ona za zadanie intelektualizowanie sobie przez czytelnika własnych wyobrażeń o przeszłości, z której wynikałby nasz dzień dzisiejszy. Ma ona na celu przybliżenie tego, co czytelnik wie i myśli o dziejach, do ich adekwatnego pod względem naukowym, nowoczesnego obrazu, a wszystko to dlatego, aby lepiej uświadomić mu nie tylko dokąd, ale również i skąd idziemy: jako naród, jako społeczeństwo...

I dlatego pokłóciłbym się z tymi, którzy w imię potrzeb teraźniejszości i przyszłości, woleliby zawęzić nasze odniesienia do przeszłości li tylko do wątków chwalebnych i budujących, łatwych do wykorzystania w aktualnej politycznej dydaktyce. Myślę, że zbytby pragmatyzm czyni tu sprawę, której ma służyć, przysługę po prostu niedowiedzianą, a nieraz obraca się wprost przeciwko niej. Warto chyba o tym pamiętać, kiedy bierze się do ręki książkę o postaci tak kontrowersyjnej, jak ta, której poświęcił swą uwagę R. Wapiński.

ANDRZEJ F. GRABSKI



prof. dr Romuald Skowroński (UL): „Ukończenie studiów wyższych uważane jest za przejaw nobilitacji społecznej”.



prof. dr Jerzy Wróblewski (UL): „Wydaje mi się, że ze względu na młodość tutejszego środowiska naukowego, powinniśmy popularyzować nasze osiągnięcia w wyższym stopniu niż inni”.



prof. dr Wacław Piotrowski (UL): „Łódź stała się dogorywającym ośrodkiem przemysłowym, gdyby nie pojawiło się tutaj środowisko naukowe”.

Dalszy ciąg ze str. 1

R. SKOWROŃSKI: — Wydaje mi się, że o ile łatwo jest mówić o wymiernych efektach wpływających z działalności wyższych uczelni, o tyle trudniej o efekty niewymierne, które czasami, w moim przekonaniu, przewyższają te pierwsze. Efekty wymierne, to przede wszystkim udział uczelni w kształceniu wykwalifikowanych kadr. W ciągu 35 lat Uniwersytet Łódzki wydał na przykład 40 tysięcy dyplomów magisterskich, promował 1.600 doktorów i 260 doktorów habilitowanych. Nawijając do głównego pytania dyskusji: czy poprzez swoją działalność uczelnia potrafiła wpłynąć na zmianę stylu życia Łódzian i na ich psychikę, odpowiem z przekonaniem, że tak. Ogromną zasługą środowiska akademickiego jest również wpływ na wzrost ambicji społeczeństwa w dążeniu do zdobycia wyższego wykształcenia. Ukończenie studiów wyższych uważane jest za przejaw nobilitacji społecznej. Powoli społeczeństwo łódzkie staje się coraz bardziej wykształcone.

Poza tym nie ma obecnie w mieście placówek: politycznej, administracyjnej, naukowej, artystycznej czy handlowej, w której nie pracowaliby absolwenci naszych uczelni. Na co dzień tego faktu już nie dostrzegamy. Po prostu przywykliśmy do nowej sytuacji. Dzięki istnieniu w Łodzi środowiska naukowego powstał też tutaj oddział Polskiej Akademii Nauk. Inaczej nie byłoby to możliwe.

W. PIOTROWSKI: — Łódź w 1945 roku kontynuowała tradycje miasta XIX-wiecznego. Spoglądając w przeszłość, można stwierdzić, że gdyby nie pojawiło się tutaj środowisko naukowe, Łódź stałaby się dogorywającym ośrodkiem przemysłowym. Nauka była nieodzownym warunkiem rozwoju miasta i jego awansu. Awansu przemysłowego i, jak to rektor Skowroński słusznie zauważył, awansu jednostek i całych grup zawodowych — poprzez wyższe wykształcenie. Można się spodziewać, że gdyby w Łodzi nie powstały wyższe uczelnie, to dopływ kadr z zewnątrz znacznie ograniczyłby ilość miejscowej inteligencji. Pamiętajmy, że w Łodzi istniało prężne środowisko oświatowe, nie było natomiast warunków do przygotowywania własnych kadr naukowych.

R. SKOWROŃSKI: — Obawiam się, że możemy popełnić w dyskusji jeden błąd, a mianowicie uzasadniać potrzebę powstania wyższych uczelni w Łodzi.

W. PIOTROWSKI: — Ależ ja nie uzasadniam. Stwierdzam po prostu fakt historyczny, że powołanie wyższych uczelni było warunkiem sine qua non dalszego wszechstronnego rozwoju miasta. Ten moment historyczny był wynikiem pewnego procesu dziejowego, ale też i przypadku losowego.

J. WRÓBLEWSKI: — Nawijając tu do tytułu artykułu o Łodzi w „Życiu Warszawy”. O ile pamiętam, tytuł brzmiał: „Miasto także akademickie”. Uważam, że tytuł ten wyrażnie odzwierciedlał konflikt między tradycyjnymi i nowymi ośrodkami akademickimi. Jeśli spytamy na przykład, czy Kraków jest ośrodkiem akademickim, odpowiedź, bez wahania, brzmi: tak. Wątpliwości nasuwają się, jeżeli chodzi o takie ośrodki jak Łódź i wiele innych podobnych, nie tylko w Polsce, ale i w świecie.

Trzeba więc odważnie powiedzieć, że nowe ośrodki nie mogą być akademickimi w takim sensie, jak w Polsce wspomniany już Kraków. Są to wartości nieporównywalne, których nie można mierzyć 30 czy 50-letnią rocznicą. Myślę, że znamienitym faktem dla naszej współczesnej kultury są zabiegi małych miast o otworzenie co najmniej filii wyższej uczelni, a zawód profesora cieszy się w skali zawodów najwyższym prestiżem. O Łodzi słyszymy coraz częściej, jako o ośrodku naukowym. Wydaje mi się jednak, że ze względu na młodość tutejszego środowiska akademickiego powinniśmy popularyzować nasze osiągnięcia w większym stopniu niż inni.

J. JAKUBOWSKA: — Chciałabym dalej rozwinąć tę myśl, którą tu rzucił pan rektor. Trzeba pamiętać o tym, że działaliśmy w środowisku, w którym przed wojną, poza Wolną Wszechnicą, nie było żadnych uczelni. Obecność szkół wyższych i środowiska akademickiego spowodowała powstanie towarzystw naukowych, których przed wojną w Łodzi nie było. Działalność ich promieniuje na kształtowanie się atmosfery intelektualnej w mieście i wymanę myśli. Mam tu na uwadze m. in. Łódz-

kie Towarzystwo Naukowe, Polskie Towarzystwo Przyrodnicze im. Kopernika, Towarzystwo Biochemiczne i wiele, wiele innych. Towarzystwa te organizują konferencje naukowe, często z udziałem zagranicznych gości, spotkania i imprezy o charakterze publicznym. Ogromne znaczenie mają też moim zdaniem, olimpiady przedmiotowe dla młodzieży szkół licealnych, które sprzyjają rozwijaniu zainteresowań i wyławianiu talentów.

Jednocześnie jednak można zapytać czy wykształcenie mieszkańcy Łodzi korzystają w pełni z oferowanych im propozycji. Uważam, że nie. Może mój głos zabrzmi tu minorowo, ale uważam, że wykształcone społeczeństwo nie sprawdzi się jeszcze jako odbiorca pewnych wartości kulturalnych. O ile w pierwszych latach filharmonia była pełna, o tyle obecnie krzesła świecą pustkami. To samo można powiedzieć o teatrach i muzeach. Za dużymi zmianami ilościowymi muszą pójść zmiany jakościowe, które, niestety, zachodzą zbyt powoli.

„ODGŁOSY”: — W tym miejscu można postawić ciekawe pytanie: czy człowiek wykształcony, jest jednocześnie kulturalny?

A. DYLIKOWA: — Zanim odpowiem na to pytanie chciałabym zwrócić uwagę na jeszcze

wi doskonałą okazję do zastanowienia się nad tym, w jakim stopniu spełniamy różne funkcje. Weźmy pierwsze z brzegu przykłady: najlepiej w kraju działający uniwersytet trzeciego wieku, prowadzimy wiele akcji związanych z upowszechnianiem kultury. Ożywioną działalność prowadzi towarzystwo naukowe, mamy doskonałą kadrę i ogromne możliwości. Czy jednak zawsze działamy w sposób planowy? Wydaje mi się na przykład, że zbyt mało aktywna jest młodzież akademicka, która trochę dusi się we własnym sosie. Przeciążona obowiązkami dydaktycznymi, nie ma zbyt wiele czasu, aby działać na zewnątrz. Również, w moim przekonaniu, SZSP i Federacja w zbyt małym stopniu współpracują ze sobą. Są to dwie organizacje działające obok siebie.

Wracając do naszego oddziaływania w zakresie kultury. Uważam, że mamy znakomite studenckie zespoły artystyczne, teatralne i muzyczne. Są one jednak za mało widoczne na zewnątrz, podczas gdy, powiedzmy sobie szczerze, eksponuje się wątpliwej jakości zespoły zawodowe.

S. KASZYŃSKI: — Przykładem placówki naukowo-badawczej i dydaktycznej związanej z życiem i kulturą miasta jest Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu. Taka idea integra-

NAUKA

jeden fakt, znany mi dobrze z własnych doświadczeń. Przed wojną pracowałam jako nauczycielka w łódzkich szkołach i niejednokrotnie widziałam jak utalentowana młodzież opuszczała miasto przenosząc się na studia do ośrodków akademickich. Często ci najlepsi, rokujący największe nadzieje absolwenci, zegnali się z Łodzią na zawsze. Miasto nie było w stanie zapewnić im możliwości kontynuowania nauki. Mimo prób powołania w Łodzi wyższych uczelni, w latach 1921—27 działał tutaj Instytut Nauk Społecznych i Ekonomicznych, a w latach 1928—39 Wolna Wszechnica Polska, na uczelnie akademickie i środowisko naukowe czekaliśmy do 1945 r.

Jednakże dopiero drugie łódzkie pokolenie nie musi emigrować z miasta na studia. Dwa wykształcone pokolenia to jeszcze za mało aby zmienić radykalnie oblicze społeczne i kulturalne miasta.

Istnieje także pewna dysproporcja między sumą wartości które reprezentuje świat naukowy i które przekazuje środowisku, a odbiorcami, do których adresujemy nasze poczynania. Wydaje mi się, że nie można Łodzi odmówić chłonności na nasze wartości. Łódź była i jest bardzo chłonna. Problem tkwi w znalezieniu właściwego języka i najbardziej odpowiadającej współczesnym potrzebom formuły. Nie wystarczy wręczyć ludziom bilety do teatru i zawieźć na sztukę bez żadnego przygotowania. Trzeba ich do tego odbioru odpowiednio przygotować. Zainteresowania kulturalne musimy rozbudzać w szkole i na studiach.

„ODGŁOSY”: — Obawiam się, że na obecnych absolwentów patrzymy poprzez pryzmat wzorów z przełomu wieku i lat międzywojennych, jak na ludzi doskonale przygotowanych humanistycznie, bez względu na specjalność zawodową. Niestety, ten typ absolwenta dawno już zanikł i nie tylko w Polsce. Jest to wymyk kolejnych przemian społecznych i kulturalnych. Równocześnie jednak, prawie we wszystkich krajach rozwiniętych obserwujemy swego rodzaju nostalgię za „starymi” wzorami. Pytanie — czy nasze uczelnie stać na kształtowanie w naszych abiturientach owych „pozazawodowych” zainteresowań?

R. SKOWROŃSKI: — Nasza dyskusja stano-

cji uczelni przyswiewalała działalność prof. Stefania Skwarczyńskiego — założyciela Instytutu, która od swoich wychowanków wymagała nie tylko intensywnej pracy badawczej i dydaktycznej, ale i aktywnej pracy społecznej, bliskich powiązań ze środowiskiem. Staramy się kontynuować wytyczoną przez Panią Profesor drogę. Organizujemy od wielu lat wykłady o dramacie i teatrze oraz spotkania z ludźmi teatru dla młodzieży szkół licealnych. Analogiczne spotkania dotyczą zagadnień literackich i filmowych. Od wielu lat wydajemy suplement do dzieł teatralnych Łodzi i współpracujemy z teatrami w mieście.

Wydaje mi się jednak, że nie wykorzystujemy wszystkich możliwości, jakie niesie ze sobą istnienie środowiska humanistycznego w mieście. Na przykład, od zarania Łódzi literackiej nie mieliśmy tak dobrze przygotowanych merytorycznie „krytyków” literackich, jak obecnie. Jest to niewątpliwie zasługa Uniwersytetu i tutejszego ośrodka polonistycznego. Krytycy ci w większości pracują naukowo w Uniwersytecie Łódzkim. Wydaje mi się jednak, że ich umiejętności nie są w pełni wykorzystywane. Po prostu nie ma miejsca na publikację tego typu. Ukazująca się od czasu do czasu „Osnowa”, ani jedyny łódzki tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” nie zaspokajają tych potrzeb. Nie mówiąc o prasie codziennej, w której nie ukazują się systematycznie recenzje o książkach. Tymczasem w tradycji polskiej prasy XIX i XX-wiecznej leżało zapraszanie do współpracy krytyków i pisarzy. Tradycje te nie są, niestety, kontynuowane w Łodzi.

W. PIOTROWSKI: — Całkowicie zgadzam się z tym, że środki masowego przekazu nie idą nam w sukurs. Telewizj w Polsce wie nam przykład doskonale, kto to jest doc. Treugutt i prof. Krawczuk. A który z łódzkich naukowców ma możliwość wprowadzenia telewizji do przedstawienia teatralnego? Sprawa skazana jest z góry na niepowodzenie, bo podobno brak miejsca na antenie ogólnopolskiej. To samo mamy w radiu. Reportaże i audycje z Łodzi nadawane są w IV programie i nie wszyscy słuchacze, których chcielibyśmy pozyskać, mogą ich słuchać.

„ODGŁOSY”: — Trudno nie przyznać racji tym opiniom. Jednakże w naszym środowisku naukowym, wyraźnie daje się odczuć coraz

IRENA GRAJEWSKA

ZBAWCY ŚWIATA W PODARTYCH BUTACH

4 ODGŁOSY

W Łodzi powstawał uniwersytet. Wydział Prawa był wówczas bezdomny. To samo można było powiedzieć o wielu z nas. Wykłady odbywały się w kinie „Wisła”, w świetlicy fabryki Zimmermana, później w sądzie i w szkole podstawowej przy ul. Jaracza. W świetlicy najtrudniej było słuchać wykładów, nie było bowiem na czym usiąść. Kładliśmy na ziemię duże wieszaki i siadaliśmy na nich jak kury na grzędzie. Niektórzy przychodzili ze stołeczkami. Ci, którzy przyszedli dość wcześnie, by zająć jedyny stół, siedzieli na nim jak w łożu. Większość jednak musiała stać.

Stanowiliśmy wszyscy widok niezwykły — dziś wydaje się, że bardzo wzruszający: niedobitki historii, które uniosły swe życie z pobożowisk, z obozów koncentracyjnych, z łagrów jenieckich, z niemieckich fabryk, z partyzanek, z konspiracji, z łapanek, ze strasznej, codziennej rzeczywistości okupowanego kraju.

Tu i ówdzie widać było na sali wytarty mundur czy pasiak obozowy noszony zamiast koszuli. Większość z nas to byli po prostu oberwańcy w strojach nieraz zupełnie fantastycznych: letnich zimą, zimowych latem, stanowiących komiczną mieszaninę odzieży sportowej i wieczorowej. Czasem rzucił się w oczy zupełny brak jakiegokolwiek ubrania normalnie przyjętego za niezbędną. W przypadkach zupełnie tragicznych ratowała pomoc kolegów i profesorów. Dzielili się tym, co mieli i podkarmiali tych, którzy byli głodniejsi.

Nosiliśmy wtedy białe czapki studenckie i w naszym odczuciu nie były one, jak teraz w oczach młodzieży, bezsensownym elementem szkolnego „drylu”. Były widocznym znakiem, że nas nie zlamali i nie ugięły czasy pogardy, że otwiera się przed nami przyszłość godna człowieka i teraz

tylko od nas zależy, jaka ona będzie.

Może to i dziwne, ale pierwszym przedmiotem, który rolę taką odegrał, było prawo rzymskie. Gdy profesor Łapicki stał na podium fabrycznej świetlicy, zmierzowany, w jakiejś zniszczonej kurtce kolejarzkiej, i zapoznawał nas z zasadami rzymskiej filozofii moralnej, czuliśmy, że jesteśmy tym właśnie pokoleniem, które najgłębiej, najżywiej i najbardziej osobiście je rozumie. Któż mógł bowiem lepiej niż my, do niedawna zamykani w więzieniach i obozach, zmuszani do niewolniczej pracy, rozumieć słowa Gajusa: „Libertas omni-nus rebus favorabilior est” (Wolność jest droższa nad wszystko)? Któż mógł lepiej niż my, do niedawna leni i bici, wiedzieć, jaką cenę trzeba było płacić, by zachować to, co Rzymianie nazywali „dignitas humana” — godność ludzka? Któż mógł bardziej niż my, dla których przepisy prawa były tylko kalekim i okrutnym narzędziem przemocy, silniej pragnąć, by prawo stało się tym, za co uważał je Ulpian: „ars boni et aequi” — sztuka dobra i sprawiedliwa?

większa izolacja, mimo wielu formalnych powiązań. W latach 40, kiedy tworzone uczelnie integracja była o wiele silniejsza. Jakże przyczyniły się do takiej sytuacji?

W. PIOTROWSKI: — Izolacja dotyczy nie tylko naukowców, którzy działają we własnych, zamkniętych środowiskach i częściej odnajdują powiązania ze środowiskiem krajowym lub zagranicznym, niż ze swoim własnym. Śmiem twierdzić, że w Łodzi właściwie wszystkie środowiska działają w swoich małych, zamkniętych układach. Nasze działania w kierunku integracji są niewystarczające. Atmosfera taka udziela się także studentom.

Zakładamy milcząco, że Łódź powinna być podobna w oddziaływaniu środowiska akademickiego do innych ośrodków. Tymczasem, kilkanaście minut temu ustaliliśmy już, że specyficzna sytuacja i miejsce nauki w Łodzi nie pozwalają na kopiowanie, ale wymagają zupełnie innych, specyficznych dla tego środowiska form działania. W gruncie rzeczy na ten temat niewiele mówimy.

Na przykład: wykształcenie wyższe jest dziś w Łodzi wartości powszechnie uznanej. Rzadko jednak zastanawiamy się nad tym, jaka jest funkcja tego wykształcenia: czy instrumentalna, czy dekoracyjna: czy absolwent uczelni

gracji środowiska naukowego widziałby pan profesor pewne możliwości wyjścia z impasu?

W. GUNDLACH: — Tak, Szanse poprawy upatrywałbym w daleko idącej integracji. Nie można przecież być dobrym technikiem, nie będąc humanistą. Cywilizację możemy zakupić jak licencję, ale kulturę musimy sami stworzyć. Przemysł jest tego najlepszym przykładem. Zakupujemy często rozwiązania zagraniczne, które nie przyjmują się u nas, gdyż przemysł nie zapewnia im warunków rozwoju. Trzeba przede wszystkim przygotować podłoże ludzi zatrudnionych w przemyśle.

„ODGŁOSY”: — W kształceniu inżynierów dominująca rola przypada Politechnice. Sposób humanizacji studiów technicznych poszukuje się obecnie na całym świecie, gdyż nowe rozwiązania techniczne często pociągają za sobą cały łańcuch skutków, który niweczy poprzednie. Czy uczelnia, zdaniem pana profesora, uczy inżynierów umiejętności patrzenia na technikę poprzez pryzmat wartości humanistycznych?

W. GUNDLACH: — Zaczyna to robić. W mojej specjalności już na pierwszym wykładzie rozpatrujemy zamknięte cykle w przyrodzie.

A. DYLIKOWA: — Myślę, że trudne warunki przedwojenne wyzwalały ambicje i patriotyzm lokalny, który w tej chwili przycichł, lub przybrał inną formę działania. Natomiast znaczną aktywność nauczycieli obserwujemy w mniejszych ośrodkach. Jednym z dowodów może być fakt, że pierwsze miejsca w olimpiadach geograficznych zdobywają od lat uczniowie o szerokich, rozbudzonych zainteresowaniach z małych miejscowości starannie przygotowani przez nauczycieli.

J. JAKUBOWSKA: — Uważam, że środowisko nauczycielskie jest bardzo chłonne. Mamy bardzo dobre doświadczenia współpracy z nauczycielami w Towarzystwie Przyrodniczym.

„ODGŁOSY”: — Bogate doświadczenia ma także Polskie Towarzystwo Matematyczne. O współpracy ze środowiskiem nauczycielskim wspominał dziś profesor Kaszyński. Te pozytywne przykłady nie wystarczają jednak do uogólnień.

W. PIOTROWSKI: — Próba wyjścia z sytuacji w jakiej się znajdujemy po 35 latach, sprowadza się — w moim głębokim przekonaniu — do wypracowania systematycznego oddziaływania na społeczeństwo. Musimy jednak postawić na określonego odbiorcę i poznać jego potrzeby. Uważam, że takich prób nie podejmujemy.

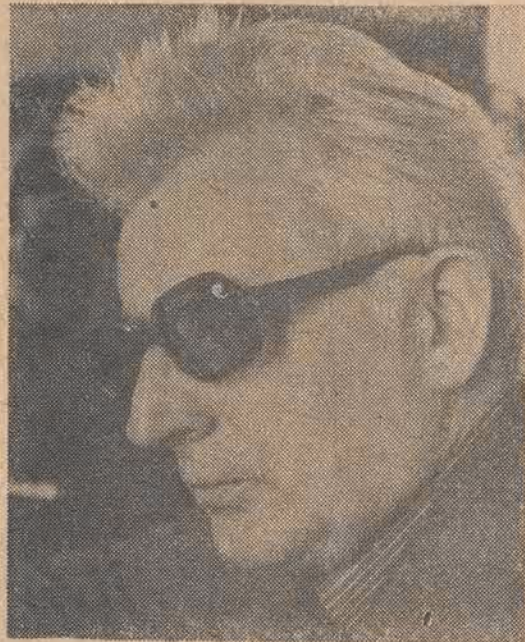
„ODGŁOSY”: — Interesujące wnioski, z których wynikają kierunki działania uczelni tódzkiej jako instytucji kulturalnych, można wysnuć z analizy struktury zatrudnienia w Łodzi. Czy można prosić pana profesora Dylikową o przedstawienie tych danych?

A. DYLIKOWA: — Oczywiście. Otóż w przemyśle łódzkim w 1979 r. pracowało 52,4 proc. mieszkańców, co stawia Łódź na pierwszym miejscu przed Wrocławiem — 39,5 proc. zatrudnionych w przemyśle, Poznaniem — 38,6 procent zatrudnionych, Krakowem — 37,3 proc. i Warszawą — 33 proc. zatrudnionych w przemyśle.

Natomiast w oświacie, wychowaniu, kulturze i sztuce pracowało łącznie w Łodzi w 1969 r. 7,6 proc. mieszkańców, co z kolei stawia nasze miasto na ostatnim miejscu pod względem ilości zatrudnionych. Dla porównania Warszawa zatrudnia w tych dziedzinach 14,8 procent, Kraków — 10,4 proc., Poznań — 9,4 procent, a Wrocław — 10,8 proc.

Taka struktura zatrudnienia sprawia, że mamy wielu potencjalnych odbiorców kulturalnych. Jednocześnie środowisko, które te dobra tworzy i przekazuje jest jeszcze w Łodzi nienależnie. Tym samym większe niż w innych miastach zadania przypadają uczelniom łódzkim w wychowaniu wykształconych, wrażliwych i chłonnych na wartości kulturalne absolwentów.

Dyskusję opracowała:
MALGORZATA GOLICKA
Fot. R. Łucyszyn



prof. dr Stanisław Kaszyński (UL): „Sądzę, że nie wykorzystujemy wszystkich możliwości, jakie niesie ze sobą istnienie środowiska humanistycznego w Łodzi”.



prof. dr Jadwiga Jakubowska (PL): „Czy wykształcony mieszkaniec Łodzi korzysta w pełni z oferowanych mu propozycji?”.



prof. dr Anna Dylikowa (UL): „Dopiero drugie łódzkie pokolenie nie musi emigrować z Łodzi na studia”.

prof. dr Władysław Gundlach (PL): „Cywilizację możemy zakupić jak licencję, ale kulturę musimy sami stworzyć”.

I MIASTO

widzi w studiach warunek konieczny dla rozwoju swej osobowości. Wydaje mi się, że funkcje dekoracyjne, czyli związane z wykształceniem tytuły i dyplomy, cieszą się większym uznaniem, niż inne wartości.

J. WRÓBLEWSKI: — Widzę tu dwa zagadnienia. Pierwsze wiąże się z integracją naukową w najszerszym wymiarze, drugie — z integracją wewnątrzdiscyplinarną. Myślę, że wszystko zależy od nas, od naszych umiejętności i przekonań. Współcześnie występuje na przykład dyktando między niesłychanie wąskimi specjalizacjami, a potrzebą współdziałania specjalistów z różnych dziedzin. Najbardziej znaczące osiągnięcia powstają właśnie na szczeblu interdyscyplinarnym. Uświadomienie sobie tego faktu powinno stać się bodźcem do współdziałania specjalistów z różnych dziedzin i do ożywienia atmosfery intelektualnej.

W. GUNDLACH: — Chciałbym dorzucić kilka słów na temat rozwoju kultury technicznej, z którą nie tylko w Łodzi, ale w całym kraju nie jest najlepiej. Przedwojenny przemysł łódzki nastawiony był na naśladowanie produktów, na ilość, a nie na nowe rozwiązania. Nieodpowiednim warunkiem rozwoju twórczości i nowoczesności w przemyśle jest techniczna awangarda, która w naszych warunkach skupia się w uczelni. Możemy znaleźć wiele przykładów pozytywnego oddziaływania Politechniki Łódzkiej na rozwój postępu w przemyśle. To jest widoczne i charakterystyczne.

Dlaczego jednak za tym postępem nie nadąża kultura techniczna?

R. SKOWROŃSKI: — Poruszył pan bardzo istotny temat. Interesuje mnie, jak przedstawia się rozwój kultury technicznej w różnych gałęziach przemysłu, a zwłaszcza w tych najbardziej nowoczesnych.

W. GUNDLACH: — Sytuacja jest bardzo różnicowana i nie można jej uogólniać. W niektórych dziedzinach osiągnęliśmy poziom światowy, w innych cofamy się. Dlatego też boli mnie fakt, że nie potrafiliśmy odrobić pewnych strat, które powstały już po wojnie.

R. SKOWROŃSKI: — Czy w ramach inte-

Energetyka jest bowiem elementem, który najbardziej zakłóca równowagę środowiska naturalnego. Wszelkie procesy przetwarzania energii i wykorzystania odpadów wymagają wiązania wielu procesów przetwórczych w jeden zamknięty system. Inżynier powinien tak działać, aby nie zostawiać po sobie śmieci, aby jego praca nie powodowała nieodwracalnych i nie zamierzonych skutków w środowisku.

J. JAKUBOWSKA: — W Szwajcarii zdumiewa mnie fakt, iż stałymi uczestnikami seminariów z bioinżynierii, mikrobiologii i innych, wcale nie technicznych dyscyplin, są inżynierowie i technicy, często przyjeżdżający z innych miast. Są zainteresowani przenoszeniem ostatnich nowości naukowych do warunków technicznych.

W. GUNDLACH: — Podobne przykłady znajdziemy również w małych miastach szwajcarskich, na przykład wielkości naszych Pabianic. Jeśli warunkiem istnienia przemysłu jest produkcja nowoczesnych i nowych wyrobów, to nie dziwnego, iż jest to bodziec dla techników do rozwijania szerokiego zainteresowania. Można zapytać, co nam utrudnia podobne postępowanie. Wydaje mi się, że nie zawsze koncentrujemy się na własnej pracy i bardzo często zajmujemy się nie tym, czym powinniśmy się zajmować.

W. PIOTROWSKI: — Myślę, iż na zakończenie warto zastanowić się, jakie korzystne zmiany zaszły w Łodzi pod wpływem obecności wyższych uczelni. W jakich dziedzinach szeroko rozumianej aktywności miasta wpływ wyższych uczelni daje się odczuć najbardziej, a w jakich najmniej. Nie ulega wątpliwości, iż zaszły pozytywne zmiany w zakresie kształcenia kadr oraz w aspiracjach i dążeniach mieszkańców do zdobycia wyższego wykształcenia. Równie pozytywna będzie generalna odpowiedź, jeśli chodzi o zmianę oblicza Łodzi przemysłowej.

Z kolei nasuwają się pytania skierowane pod adresem środowiska oświatowego. Czy obecność wyższych uczelni w Łodzi wpłynęła w sposób widoczny na kadry nauczycielską? Czy profesjonalne placówki nie ośmieliły i nie zahamowały wielu bardzo aktywnych w swoich poczynaniach nauczycieli?



prof. dr Władysław Gundlach (PL): „Cywilizację możemy zakupić jak licencję, ale kulturę musimy sami stworzyć”.

Dreństwo nas wówczas wiele pytań odnoszących się do okresu hitlerowskiego panowania. Staliśmy się dostrzeć do źródeł jego potwornej nieludzkości. Czy należy ich szukać w ciemnych zakamarkach natury człowieka, czy w tajemnych mechanizmach historii? Szukaliśmy odpowiedzi na te pytania w dziełach filozofów i pracach historyków. Szczególnie chętnie czytaliśmy „Roczniki” Tacyty. Odpowiadał on lepiej niż inni autorzy na pytania, które nas dręczyły, ale i my rozumieliśmy go lepiej, niż inne pokolenia. Nieludzkie okrucieństwo hitleryzmu pozwoliło nam bowiem lepiej wyobrazić sobie i silniej odczuć czasy krwawych prześladowań starożytności. „Biała pokoleń”, które Tacytus zupełnie rozumie — mówił Lehrs w wieku XIX. Nie ulegało dla nas wątpliwości, że to właśnie my jesteśmy tym pokoleniem.

Czytając o publicznym spalaniu ksiąg historyka Kodrusa, śmiałośmy się wraz z Tacytem „z głupoty tych, którzy sądzą, że dzięki obecnej swej władzy potrafią stłumić także i na-

stępnych wieków pamięć. Albowiem przeciwnie się dzieje: gnębionym duchom przybysza powaga, a postrojni królowie, albo ci, którzy tę samą stosowali wrogość, nie przez to innego, jak tylko sobie hańby, a onym sławy przysporzyli”.

W takich to górnych rejestrach odbywały się nasze wewnętrzne, osobiste porachunki z faszyzmem: z jego okrucieństwem, nienawiścią i intelektualną nicością. Wyrażał się w tym bez wątpienia naturalny patos tego szczególnego czasu, w którym rozpoczynaliśmy nasze studia. I studia te, odwołując się do naszych umysłów najpiękniejszy filozoficzny i moralny dorobek ludzkości, stawały się dla nas przewodnikiem po zawilej problematyce współczesności. Nasi wykładowcy pogłębiali w nas nawyk stałego wartościowania moralnego, zainteresowanie dla spraw społecznych, poczucie odpowiedzialności za losy innych ludzi, a więc za sprawy ogólne.

Oczywiście nie zawsze, nie wszyscy i nie we wszystkich zgadzaliśmy się z poglądami naszych profesorów, a wnioski, które wyciągaliśmy z wiedzy

czepanej na uczelni dla określenia naszej postawy, dla roli, jaką zamierzaliśmy w społeczeństwie odegrać, były różnorodne i często bardzo rozbieżne. Był to bowiem gorący czas kształtowania się i ścierania światopoglądów i było to dla nas sprawy niezwyklej wagi. Na pewno dlatego tak szczerze wypełnialiśmy salę na wykładach z filozofii marksistowskiej — wszyscy: i jej zwolennicy, i jej przeciwnicy, i niezdeterminowani.

A potem wracaliśmy gromadnie przez miasto, nad którym zapadał zmierzch i toczyliśmy zażarte dyskusje. Chodziliśmy tak nieraz po ulicach do późnej nocy, przysiadaliśmy na ławkach w parku, opieraliśmy się o barierki przy wystawach i spieraliśmy się bez końca, zawzięcie, do upadłego — o drogi, którymi pójść winna skolatana ludzkość. O! nieodżywni zbawcy świata w podartych butach!

Wielu z nas wstępowało wówczas do organizacji młodzieżowych, uznając, że należy czynnie dać wyraz swym poglądom. Na pochodach pier-

wszomajowych chodziliśmy Piotrkowską szerokim szlakiem, w naszych białych czapkach i czerwonych krawatach, w koszulkach białych (Akademicki Związek Walki Młodych „Życie”) i szafirowych (Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej).

W swoim niezwykle czynnym życiu znajdowaliśmy jeszcze czas na pracę oświatową. Możliwie uczyliśmy czytać i pisać analfabetów, których wówczas w Łodzi nie brakowało. Z zapalem wygłaszaliśmy w fabrykach nieco zaskakującym robotnikom wykłady o gwiazdach i mgławicach, o roli witamin w żywieniu, o malarstwie impresjonistów i o roślinności dna morskiego, o poezji Dantego i higienie jamy ustnej. No, i czasem przychodziło nam nadstawiać te rozpalone głowy wyniesione szczęśliwym trafem z wojny i okupacji, gdy trzeba było jeździć autami i furmankami na wieś przez niebezpieczne lasy, by prowadzić akcję propagandową przed referendum, lub pierwszymi wyborami. A czasem przychodziło nam zegnąć w ciszy na cmentarzu tych naszych kolegów, którzy nie wrócili ży-

wi. Ale to już inna historia, która zresztą tylko pozornie nie ma nic wspólnego z Gaiusem i Seneką, z Locke'm i Grotiussem, z Rousseau i Diderotem, o których mówili nam nasi profesorowie.

Dla nas, dla pierwszych powojennych roczników studenckich, studia na Wydziale Prawa naszego powstałego Uniwersytetu Łódzkiego były czymś więcej, niż zdobywaniem określonej sumy wiadomości potrzebnych dla wykonywania w przyszłości zawodu prawnika. Otwierały nam one drzwi do wielkiego dorobku humanistycznej kultury, drzwi, które jeszcze tak niedawno próbowano przed nami na zawsze zatrzasknąć. Pomagały nam w rozpoczynaniu życia od nowa, w umacnianiu i rozwijaniu naszej osobistej wartości, w znalezieniu swojego miejsca w świecie powstającym na nowo z gruzów i klęsk.

dr. hab. Irena Grajewska jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Łódzkiego.

Dalszy ciąg ze str. 1

2.

A więc 17 września 1939 roku, w Jeziorach, cerkiewnej wsi na dalekim Polesiu, zjawił się nagle człowiek, który był legendą przedwojennej Polski — malarz, filozof, pisarz, dramaturg, wojujący publicysta, błądzący dla jednych, dla drugich geniusz; siedział ramieniem w przystojną, dwudziestoletnią kobietą, a ubrany był skromnie: tradycyjny garnitur, wmięty i zakurzony po długiej wędrówce, krawaty, twarz wygolona, ze śladami zadrapań od żyłki; oczy rozbiegane, smutne, podkrążone z troski i niewyspania. Trzeźwy. Kiedy podszedł do Romana Chudziaka, nie prosił bynajmniej o wódkę, zapytał natomiast, jakos tak nieśmiało i cicho, czy leś-

nicy mógłby ich ewentualnie poczęstować odrobiną kartofli i zsiadłego mleka.

Inżynier, choć miał w tym czasie na pełnym, nieodpłatnym utrzymaniu kilkoro innych polskich uciekinierów (pięciu mężczyzn i dwie kobiety), mieszkających w Leśnictwie od pierwszych dni września, niezwłocznie spełnił owo skromne żądanie.

Przy stole wywiązała się rozmowa. Witkacy nie zdradzał nadmiernego zdenerwowania. Opo-

wiadał o swojej ucieczce z Warszawy, o pociągach, którymi jechali i które były bombardowane przez Niemców, o wynajętych, zaprzęgniętych w konie furmankach, którymi pokonali część drogi, o pieszej, żmudnej wędrówce przez ogarnięte paniką wioski i miasteczka.

Aby go pocieszyć, inżynier

Chudzik wspominał w pewnym momencie, że tu, na Polesiu, nie im już ze strony Niemców nie zagraża, tego bowiem ranka, przed paroma godzinami, radio moskiewskie podało komunikat, iż dla ochrony ludności cywilnej wojska radzieckie przekroczyły naszą wschodnią granicę.

Witkacy, który dotychczas o tym nie słyszał, zrobił się nagle bardzo niespokojny.

Leśniczy nie mógł tej reakcji zrozumieć.

Sledząc eseistykę Witkacego, przekonujemy się, że podziwiał październikową burzę, bał walczyć niemalże po jej stronie, o czym wspomina w „Niemytych duszach”:

„W ostatnich czasach wiele dał mi do myślenia widok (inaczej nie mogę powiedzieć, bo, niestety, patrzyłem na to jak z łoża, nie będąc w stanie przyjąć w tym żadnego udziału z powodu schizoidalnych zahamowań) Rewolucji Rosyjskiej od lutego 1917 do czerwca 1918. Obserwowałem to niebawome zdarzenie zupełnie z bliska, będąc oficerem Pawłowskiego Pułku Gwardii, który je rozpoczął (do czwartej rotacji zapasowego batalionu tego pułku, która rewolucję naprawdę zaczęła, miałem zaszczyt być później wybranym przez moich raunych żołnierzy z frontu (byłem tylko w jednej bitwie pod Witonielem nad Stochodem). Zawdzięczam ten zaszczyt słabym zasługom negatywnym: nie biłem w mordę, nie kłamałem „pa matuszkie”, karałem słabo i byłem względnie przeczny — nie ponadto; trzysta ludzi zamkniętych w ogromnej, okrągłej, pułkowej stajni przez kilka dni walczyło przeciw całej carskiej Rosji. Rota ta miała przywilej, że na paradach szła przed pierwszą, a za nią pierwsza, druga i trzecia). Uważam wprost za nieszczęsny katek tego, który tego ewenementu z bliska nie przeżył”.

Inne fragmenty, których nie będziemy tu cytować, utrzymane są w podobnym tonie: „przeciw kapitalizmowi”, przy pełnym uznaniu dla „prawdziwej, nie prowadzącej do wyzysku jedynych przez drugich demokracji”.

Po latach, przypominając sobie ten dzień, inżynier Chudzik, czytany już ze wszystkich stron w przedmowie, był skłonny przypuszczać, że Witkacy cierpiał być może z braku narkotyków, albo też... zasłabł trochę psychicznie. Jednakże uważa — lektura Witkiewiczowskich „Duszy” obnażając oczywiście prozę i dramaty — sprawia wrażenie, że autor dysponował umysłem przeraźliwie trzeźwym i zdrowym, kalkulującym z bezbłędną precyzją, zdolnym przewidzieć to, czego nie przewidywało wielu polityków, i to na długo przed wybuchem wojny.

„Marzyłem zawsze — mówi w „Niemytych duszach” — że Hitler, ten bezsprzecznie jedyny naprawdę z ja-

ŚMIERĆ

WITKACEGO

jami facet w Europie, skondensowany siłą do maksimum, zrobił czysto społeczny szpryngla, tzn. rewolucję, raczej transformację od góry i zaprowadził radykalnie socjalistyczny ustój, tzn. naprawdę demokratyczną, bez zakłamań dotychczasowej demokracji (...), w którym będzie miejsce na to moje minimum własności: szczytka do zębów, kobiety, domek z ogródkiem, a mimo to wypiszę jedynych ludzi przez drugich i niewolnictwo będzie uniemożliwione. Niestety, oczekiwanie to zawiodło. Będzie on na równi z innymi uciekać kiedyś jak tyłu innych (...)

Chwilami pisze poważnie, chwilami „z kumetą u pyska” i szyderczym przymrużeniem oka, raz o tym, jak naprawdę Rzeczpospolitą, raz jak się gościć pod włos. Ale obłędu w tym nie ma. Co do narkotyków zaś, ci, co go dobrze znali, twierdzą, że nigdy nie popadł w prawdziwy nałóg. Doktor Teodor Birula-Białynicki pisze w swojej księdze pamiątkowej:

„Staś lubił doświadczenia z peyotlem tak samo, jak ze wszelkimi dostępnymi mu narkotykami bądź ze środkami, które zdaniem jego mogły wpłynąć na stan psychiczny człowieka (...). Skrętnie notował na swych obrazach nawet wypitą literatkę piwa (...), albo filiżankę kawy (...), czasem chodzący o wpuśczenie do nosa kilku kropel I-szej kokainy z cyngiem (...). Z tej pasji do eksperymentów powstała dookoła niego brudna i bardzo dla niego bolesna legenda, że „Witkacy — to narkoman”. Jakkolwiek w czerwcu 1947 roku krótko sprostowałem tę legendę w „Expressie Wieczornym”, zaś w „Głosie Piastów” (grudzień 1947) uczyniłem to samo nieco szerzej, tym niemniej i na tym miejscu uważam za swój obowiązek kategorycznie zaprzeczyć obowiązek posądzenia St. Ign. Witkiewicza o narkomanię. Do protestu takiego czuję się upoważniony i zobowiązany jako jego wieloletni przyjaciel i jako lekarz”.

Nie znaczy to oczywiście, że Witkacy nie szamotał się ze sobą. Robił to przez całe swoje życie, przerażając często rodzinę i przyjaciół. I wtedy, 17 września 1939 roku, inżynier Chudzik wyszedł, że „jego gość, szpakowaty, pięćdziesięcioparoletni mężczyzna, przechodzi jakąś głęboką depresję”.

3.

Witkacy i jego młoda towarzyszą nie zatrzymali się w Leśnictwie, tylko w małym, „pobliższym domku”. Roman Chudzik wspomina, że była piękna, słoneczna pogoda, podkreślająca urodę tamtejszych lasów, pachnących i kwitnących jak w pełni lata. Nie chciało się po prostu wierzyć, że jest wojna, że giną ludzie; przyroda urągała temu sugestywnie.

Następny dzień, 18 września, nie przyniósł zmiany. Było ciepło, znowu od samego rana świeciło słońce. Rankiem też gajowy zaalarmował nadleszczącego, że tych dwoje ludzi z pobliskiego domku, szpakowaty pan i jego, jak się wyraził, przyjaciółka, oddalił się poprzedniego wieczoru w nieznaną stronę i jak dotąd, nie ma po nich ani śladu.

Wiedziony przecuciem Roman Chudzik natychmiast zwołał ludzi i szeroką tyralierką zaczęli przeszukiwać las. Poszukiwania nie trwały długo. W okolicy były dwa malownicze jeziora, połączone ze sobą w kształcie „ósemki”. Ich brzegi porastały stare, ogromne dęby. Pod jednym z tych drzew inżynier Chudzik już z daleka zauważył dwie wyciągnięte na ziemi sylwetki. W chwilę później zobaczył widok, który dosłownie zmroził mu krew.

zykownym dla zdrowia położnicy.

Dopiero po śmierci stryja Bazylego (1799 r.) Zaosie w drodze spadku przeszło na bratanika — Mikołaja — ojca Adama. Spadek ten niezamożnemu adwokatowi nowogródzkiemu wywodził się z pomocą materialną, gdyż pan Mikołaj żonaty z biedną panną — Barbarą Majewską miał już w tym czasie dwóch synów — Franciszka i właśnie Adama. Spróbował więc Mikołaj pracy na roli i dopiero od września 1799 roku zaczął gospodarować w Zaosiu. Jednakże próba ta nie powiodła się, gdyż nie mając doświadczenia rolniczego, a tylko wielką miłęgę w wykonywaniu swego wyuczonego zawodu prawniczego, pan Mikołaj po dwóch latach zanikał hreczkosiewstwa i w roku 1801 oddał Zaosie w dzierżawę, a sam wrócił całkowicie do advokatury w Nowogródku.

W roku 1806 Mikołaj Mickiewicz przekazał Zaosie „wlewkiem” swemu szwagrowi — Wincentemu Stypulkowskiemu, mężowi rodzonej siostry Barbary. We władaniu rodziny Stypulkowskich Zaosie pozostawało do roku 1830, po czym przeszło na rzecz skarbu państwa.

Przekazawszy Zaosie szwagrowi Stypulkowskiemu, Mikołaj Mickiewicz pozostawał z nim nadal w bardzo przyjaznych stosunkach i mały Adam wraz ze swym rodzeństwem niejednokrotnie spędzał w Zaosiu, korzystając z gościny u swej ciotki — Barbary Stypulkowskiej i jej męża.



ROMAN CHUDZIK: „Zobaczył widok, który dosłownie zmroził mu krew”.

Fot. R. Łucyszyn

MIECZYSLAW ZABŁOCKI

GDZIE URODZIŁ SIĘ
ADAM...?

Zaosie, Osowiec, czy Nowogródek...? W której z tych miejscowości przyszedł na świat nasz największy poeta — Adam Mickiewicz? Mimo że miało to miejsce w niezbyt odległym od nas czasie, to jednak mamy już sporo luk i rozbieżności w zakresie tego ważnego szczegółu biograficznego. Podręczniki historii naszej literatury ojczystej, jak i wydawnictwa popularne, a nawet naukowe, różnią się we wskazaniach miejsca urodzenia poety.

Szperając w bogatych księgozbiorach łódzkiej Biblioteki im. Waryńskiego natknąłem się na oprawne roczniki dziewiętnastowiecznej prasy wychodzącej w Wilnie pt. „Kurier Wileński”, którego współpracownikami byli m.in. Edward Odyniec i Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla). W zbiorach bibliotecznych przejrzałem i ocalało kilkanaście roczników tego wydawnictwa, sięgających okresu jeszcze przedpowstaniowego.

W roczniku z 1861 roku (str. 5), w jednym ze styczniowych numerów „Kuriera Wileńskiego”, znalazłem zajmujący artykuł

pt. Kilka szczegółów o rodzinie, miejscu urodzenia i młodości Adama Mickiewicza. Autorem był mieszkaniec ziemi nowogródzkiej — W. Korotyński. Dane genealogiczne i biograficzne w nim zawarte oparte są o sumienne badania Mickiewiczowskich dokumentów rodzinnych udzielonych mu do wglądu przez m.in. cioteczną siostrę Adama — de domo Stypulkowskie.

A więc przede wszystkim — miejsce urodzenia. Już cztery lata po zgonie Adama Mickiewicza głosił się jego ziomek, W. Korotyński nad tym problemem. Może przypomnienie tych rozważań wywoła dyskusję i sprowokuje do wypowiedzenia definitywnego sądu o tej sprawie.

Najważniejsze wspomnienia o życiu A. Mickiewicza (m.in. A. Chodźko) wskazują jako miejsce urodzenia naszego poety — Nowogródek. K. Wł. Wojcicki — w oparciu o list Wł. Syrokomli pisany do Chęcińskiego — podaje Osowiec. A jeszcze inni, jak na przykład początkowo również Korotyński, lokalizują miejsce urodzenia A. Mi-

ckiewicza w Zaosiu. Jednakże później, po przeprowadzeniu szeregu badań i dociekań, W. Korotyński zmienia swój pogląd na tę sprawę i wskazuje na Nowogródek. Siostry cioteczne poety udostępniły W. Korotyńskiemu wgląd do rodzinnych dokumentów, z których wynikało, że Osowiec nigdy nie był we władaniu rodziny Mickiewiczów. Autor nie znalazł w nich żadnych dowodów przemawiających za Zaosiem. Natomiast analizując dzieje przodków naszego wieszczki, ich zawody oraz miejsca zamieszkania, W. Korotyński dochodzi do wniosku i twierdzi, że Adam Mickiewicz urodził się w Nowogródku.

W. Korotyński pisze, że z własnoręcznego pisma ojca Adama wynika, iż Jan Mickiewicz — pradziadek poety miał mizerny majątek i to tylko ruchomy. Wdowa po Janie — Marianna z Leszczyńskich Mickiewiczowa zostawiła po sobie synami (Jakubem — rodzonym dzieckiem poety, Adamem — seniorem, Józefem, Stefanem i Bazylim), borykała się z trudnościami żywiołowymi. Trzej z nich — Jakub, Józef i Bazyl, jak pisał ojciec Adama — w drobnej młodości, w ubożym bardzo odzieniu wędrowali na służbę. Dwaj pozostali — Adam i Stefan — mając na utrzymaniu matkę, zostali drobnyhmi hreczkosiewcami i początkowo dzierżawili, a następnie w roku 1770 nabyli na własność mały folwarczek Horbatowice, położony dwie wiorsty od Wołoczysk w powiecie nowogródzkim. Jeszcze w roku 1861 folwark ten należał do ich potomków. Dziadowi poety — Jakubowi, który — jak już słyszeliśmy — wyszedł z domu w świat w nędznym przyodziew-

ku, a nawet był nieumiejętnym pisanie, uśmiechnął się los dzięki zaletom serca i rozumu, gdyż ożenił się z dość zamożną panną Teodorą Pękalską, która wniosła 4 tys. złotych posagu. Z małżeństwa tego urodził się Mikołaj Mickiewicz — ojciec poety. Mikołaj był kształcony przez ojca, a po jego zgonie przez swego stryja w szkole jezuitów, a potem w szkole dominikanów w Nowogródku. W tym uroczym, pełnym historycznych tradycji miasteczku, zostaje pan Mikołaj Mickiewicz aplikantem, a następnie adwokatem. W związku z wykonywanym zawodem musiał bezwzględnie mieszkać w samym mieście stanowiącym siedzibę trybunału, gdyż obowiązki zawodowe wymagały stałego kontaktowania się i stawiennictwa w sądzie nowogródzkim. Ówczesne środki lokomocji i warunki komunikacyjne nie mogły zapewnić szybkich i terminowych dojazdów z terenu. Opierając się na tych logicznych przesłankach W. Korotyński dowodzi, że Zaosie nie mogło więc być w owym czasie miejscem stałego zamieszkania rodziny adwokata, tak że względu na odległość od Nowogródka (50 km) jak i na fakt, że folwark ten jeszcze do pięciu miesięcy po urodzeniu Adama nie był własnością jego ojca.

Zaosie — Koldyczewo do roku 1784 należało do dwóch braci — Mikołaja i Józefa Janowiczów, którzy w drodze dziedziczenia władali tym folwarkiem, obejmującym 3 włoiki (60 ha) gruntu i jedną chatą włościańską. Oba bracia Janowiczowie byli warchołami i pieniaczami i szumiąc po łunacku zadłużyli się u stryjów Mikołaja — Józefa i Bazylego Mickiewiczów. Ci dwaj Mickiewiczowie po długich procesach, po wielu tara-

patkach, prawem i siłą zawiładniali Zaosiem. Zanim do tego doszło, Józef Mickiewicz dwukrotnie dokonywał zajazdu na część Zaosia, która stanowiła własność Józefa Janowicza, dochodząc w ten sposób swego długiego i kosztownego sądownego i łączną sumę 3.303 złote. Pierwszy zajazd został odparty, lecz drugi — dokonany w roku 1784, powiódł się i wówczas Józef Mickiewicz opanował połowę Zaosia. Stojąc wobec faktu dokonanego, drugi brat — Michał Janowicz, na mocy prawa zastawnego przekazał swym adwersarom również i swoją połowę Zaosia.

Być może wspominki i wieści o tych zajazdach pokutowały potem w rodzinie Mickiewiczów i stały się natchnieniem poety przy tworzeniu wielkiej epopei szlacheckiej — Pana Tadeusza czyli ostatniego zajazdu na Litwie.

Józef Mickiewicz władał Zaosiem aż do swej śmierci, która nastąpiła 21 lutego 1798 roku.

Po nim właścicielem Zaosia został Bazyl Mickiewicz, który zmarł niebawem, bo już 5 maja 1799 roku. Z dat tych widziemy, że Adam przyszedł na świat w okresie, gdy panem Zaosia był jeszcze Bazyl Mickiewicz. Trudno więc przypuścić, by w noc wigilijną 1798 roku Zaosie było stałym miejscem zamieszkania adwokata — Mickiewiczów, lub by to szczęśliwe, historyczne rozwiązanie zastało pana Barbare — matkę poety, przypadkowo w Zaosiu podczas świątecznej wizyty u stryja Bazylego. Odbicie siedmiomilowej podróży w porze zimowej z Nowogródka do Zaosia tuż przed nową porą ówczesnym stanie dróg i środków lokomocji wydaje się być przedsięwzięciem zbyt ry-

ŻYCIORYS PISANY NA TKANINIE

(pamięci ADAMA NAHLIKA)

Kobieta spała. Jakiegokolwiek na ten temat nie krążyłyby plotki, że zażyła truciznę, że również chciała się zabić, od tej pory można wierzyć jedynie Romanowi Chudzikowi. Może wzięła zbyt mało proszków nasennych, aby podzielić los pisarza. W każdym razie — spała. Obudzono ją bez zbyteń trudu i momentalnie odseparowano. Inżynier nie widział jej nigdy więcej. Owszem, znał jej nazwisko. Zaczyna się na „K”. Więcej powiedzieć nie chce. Może ona żyje? Może poczuje się dotknięta? W kilka dni później udało mi się ustalić to nazwisko, ale od Józefa Macieja Kononowicza dowiedziałem się, że kobieta niedawno umarła. Szkoda. Do chwili śmierci Witkacego wiedziałam o nim wszystko (ukazały się zresztą na ten temat w „Kierunkach” jej wspomnienia), po śmierci natomiast, bez względu na to, co pisała i jak pisała, nie wiedziałam już nic. Powtarzałam! Od tego momentu jedynym wiarygodnym świadkiem jest inżynier Roman Chudzik, kobieta w dalszych wydarzeniach nie uczestniczyła.

Nie było tak, jak pisał Władysław Terlecki w swojej świetnej i przejmującej skądinąd powieści „Gwiazda Piotru”. Wszystkie pozostałe relacje Witkiewiczowskiej śmierci także nie oddają prawdy. Nie rewolwer, nie brzytwa! Żadna „mała, ledwie widoczna ranka na szyi”.

Ziemia wokół samobójcy była straszliwie zryta, skopana, zdarta paznokciami, ogołociona z mchu wyszarpywanego pełnymi garściami. Te same ziemię, zmieszana z krwią, widać było na twarzy, na szeroko otwartej szyi i na ubraniu. Musiał zlecić trafiać żyłką i później długo konać w konwulsjach, tocząc ze sobą tę ostatnią, potworną, samotną walkę. Inżynier Chudzik pomyślał wówczas, że człowiek, który dobrowolnie wybiera taki rodzaj śmierci, może być tylko szaleńcem albo bohaterem, bez względu na to, co sądzi o samobójstwach psychiatra. Ciało było już całkowicie sztywne, powykręcane, z rozrzuconymi nogami i rękami. Tak zwane stężenie pośmiertne. Musiał umierać przed wieloma godzinami i trudno było złożyć go w trumnie.

Trumnę wykonał za darmo wioskowy stolarz. Była skromna, zbita na predce z desek: spód, dwa boki i wieko. Kiedy dostarczono ją do lasu, Roman Chudzik i jego ludzie poszli do ks. prawosławnego, aby załatwić sprawę pogrzebu.

Batiuszka słyszał już o tragedii, że wieści rozchodzą się szybko. Początkowo oświadczył, że nie zgadza się, aby pochowano samobójcę w poświęconej ziemi. Gdzieś może poza cmentarzem, albo w sąsiedztwie plotki?

Inżynier, który przyjaźnił się z batiuszką, zaczął go spokojnie przekonywać. Nie wiedział wprawdzie, czy Witkacy wierzył czy nie wierzył i jakiego był wyznania. Postanowił jednak zrobić to, czego zapewne życzyłaby sobie jego rodzina.

— To był dobry, życzliwy Polakom batiuszka — mówił pan Chudzik. — Miał zresztą w żyłach sporo polskiej krwi — Polką była jego babka i jego żona, która dopiero później przeszła na

prawosławie. Można by także dodać, że Akademię Prawosławną batiuszka Mikołaj Korecki ukończył w Warszawie. Skłoniłem go zatem, opowiadając, kim był i jak bardzo musiał cierpieć pan Witkacy, aby wyprawiono mu normalny pogrzeb.

Uderzono w cerkiewny dzwon. W okolicach nie używano koni — wół zaprzęgnięty do wozu pociągnął trumnę na cmentarz. Batiuszka odmówił modlitwę. Nad mogiłą dołem pochylało się tylko kilkanaście osób; brakło wśród nich towarzyszy Witkacego; brakło również polskich, mieszkających u inżyniera Chudzika uciekinierów. Wcześniej asystowali wprawdzie w poszukiwaniach zagubionej pary, jednakże to, co zobaczyli pod dębem, było tak straszne, że momentalnie uciekli.

W głowie grobu umieszczono drewniany krzyż.

Roman Chudzik wie, w którym mniej więcej punkcie cmentarza odbył się pochówek. Z drugiej strony powątpiewa, czy udałoby się po tylu latach trafić we właściwe miejsce. Cmentarz był dosyć zaniedbany, porośnięty krzakami, wiele mogił zapadło się pod ziemię. W ogóle w tamtych stronach kult pielęgnacji grobów nie był zjawiskiem powszechnym. Religia walczyła o lepsze z gusłami. W dzień zaduszny, aby ochronić zmarłych przed siłą nieczystą, wieszano na krzyżach mogiły białe ręczniki — w pozostałą część roku mało kto zaglądał na cmentarz.

Na tym kończy się w zasadzie relacja Romana Chudzika. Można by to co najwyżej dodać, że śmierć Witkacego podzielała deprymującą na polskich uciekinierów; pana sędziego Matyję z Zaolzia i pana Ludwika Ryła, dyrektora jakiejś wielkiej krakowskiej fabryki. Dyrektor wciąż pokazywał inżynierowi swoje trzy książeczki PKO, na każdej pięćdziesiąt tysięcy złotych i mawiał ze smutnym uśmiechem: — Proszę, taki niby ze mnie bogacz, a gdyby nie pan, umarłbym z głodu.

Jeden z mężczyzn, również oficer rezerwy, usiłował pójść śladem Witkiewicza. Roman Chudzik zobaczył go wieczorem nad brzegiem jeziora, z rewolwerem w ręku, w pozie nie budzącej wątpliwości. Powiedział mu wówczas do słuchu parę słów i zawstydzony oficer cisnął rewolwer do wody.

Po Witkacym zostały dwie pamiętki, które Roman Chudzik trzymał parokrotnie w ręku.

Pierwszą z nich była wspomniana już książeczka wojskowa porucznika rezerwy Wojsk Polskich. Ostatecznie zdeponowano ją w biurku tamtejszego sędziego.

Druga pozostała w małym, leśnym domku, gdzie Witkacy zatrzymał się ze swoją towarzyszką. Była to maska przeciwigazowa w blaszanej puszcze. Pisarz przyszedł z nią do włoski i przez cały czas nosił ją przy sobie, bojąc się, jak wszyscy, że Niemcy rozpylą lada dzień nad Polską iperyt.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Uzyskawszy w roku 1806 pieniądze za Zaosie od szwagra Stypułkowskiego oraz dolażając fundusze pochodzące ze schedy po krewnych z Horbatowicz, adwokat Mikołaj Mickiewicz kupił w Nowogródsku starą rudę, którą odnowił. Dom ten mieścił się w pobliżu dawnego Kolegium Jezuickiego w zautku po prawej stronie od ulicy Trojeckiej. Nabył tę posesję od burmistrza nowogródzkiego — Fiedora Tyczyny, który ją otrzymał w spadku po swym krewnym Filipowicz. Jeszcze przed tym faktem dom przez dłuższy czas był własnością rodziny Wolskich.

Ten pamiętkowy dom do roku 1832 miał pozostawać we władaniu synów adwokata Mikołaja, po czym przejął go skarbnik państwa, następnie odprzedano go prywatnemu właścicielowi — Julianowi Bijoltowi. Zachodzi jednak pytanie, gdzie znajdował się dom, w którym mieszkali rodzice przyszłego wieszca w pamiętną noc wigilijną 1798 roku? Z rachunków szwagra Stypułkowskiego sporządzonych we wrześniu 1798 roku, a więc na trzy miesiące przed urodzeniem Adama, wynikało, że Mikołaj Mickiewicz brał pieniądze od szwagra „na zadatek dla Antoniego Kamińskiego czyniąc kontrakt na stancję”, a w kilka dni później na opłacenie dotychczasowego mieszkania u niejkiej Dobrowolskiej. Z tego wynikałoby, że w owym czasie borykający się z trudnościami materialnymi ojciec Adama dążył do zmiany mieszkania i zapewnienia swej powiększającej się rodzinie wygodniejszego locum. Jednakże, czy zmienił i gdzie zamieszkał, nie wiemy. Istnieje więc tylko ten drobny ślad w postaci zapisów rachunkowych szwagra Stypułkowskiego, na podstawie których ówczesny nowogródzki badacz W. Korotyński wysnuł domniemanie, że szczęśliwie i doniosłe rozwiązanie zastało matkę poety już na nowej kwaterze, w domu Antoniego Kamińskiego w Nowogródsku. Lecz gdzie dokładnie, przy jakiej ulicy mieścił się ten dom, to niestety, autor omawianego artykułu, W. Korotyński z ubolewaniem stwierdził, że ustalić tego nie potrafił.

Jako dowód koronny, przemawiający za tym, że Nowogród był miejscem urodzenia poety, W. Korotyński przytacza fakt wierzytelnego wypisu z ksiąg kościoła parafialnego w Nowogródsku — metryki chrztu Adama Mickiewicza. (księga z roku 1799, nr 512). A oto treść metryki: Miejsce zamieszkania: Nowogród Roku Pańskiego 1799 miesiąca lutego, 12 dnia, Antoni Postlett — kanonik kurlandzki ochrzcił niemowlę imionami: Adam — Bernard — syna urodzonego Mikołaja Mickiewicza komornika mińskiego, adwokata nowogródzkiego i Barbary Majewskiej słubnych i szlachetnych małżonków. Trzymali do chrztu J.W. Bernard Obuchowicz — sędzia ziemski Mozyrski z Panią Anielą Uziłowską — małżonką sędziego granicznego pow. nowogródzkiego.

Podsumowując swe wywody W. Korotyński pisze: Tak więc rzecz można uważać za oświadczenie — Nowogródzkość przysłać, co mu się z prawa należy, iż jest miastem rodzinnym wielkiego wieszca, a pretensje Zaosia i Osowca umorzyć na zawsze. Zbytecznie może rozszerzyłem się nad tym, ale wszelki błąd ma to do siebie, że potrzebuje dziesięciu słów na zabicie jednego.

Powyższe wywody W. Korotyńskiego, jako pochodzące od człowieka, który przed ich napisaniem kontaktował się z osobami, które bezpośrednio znają stosunki rodzinne Mickiewiczów w Nowogródzku i szperał w ich archiwach rodzinnych przed laty, wydają się obiektywne, szczerze i wielce prawdopodobne.

Na wystawie tkanin „zabytkowych” Spółdzielni Pracy „Rękodzieło Artystyczne”, większość, zdecydowana większość metryczek opisujących eksponaty, nosi w rubryce „rekonstrukcja” nazwisko doktora Adama Nahlika.

Wystawę tę zorganizowano z okazji jubileuszu spółdzielni, która jest jedynym w kraju producentem stylowych tkanin, rekonstruowanych według starych, sprzed kilkuset lat wzorów. Tkaniny można zobaczyć w Centralnym Muzeum Włókiennictwa, które po raz pierwszy udostępniła teraz swoje sale współczesnemu producentowi. Czy odbywa się to tylko za sprawą swojego holdu pamięci wobec byłego dyrektora Muzeum — dr Adama Nahlika — historyka dziejów tkaniny, artysty plastyka, tkacza i technologa w jednej osobie?

— Bez doktora Nahlika nigdy nie podjęlibyśmy tak trudnej produkcji — mówi prezes „Rękodziela” Henryk Lisowski. — Współczesna technika tkacka, współczesne uorniczstwo jest bez porównania prostsze, niż te 200 lat temu. Jest to może paradoksem, może brzmie nieprawdopodobnie, ale dziś ogromną, niewyobrażalną wprost trudność, sprawia wykonanie tkaniny dekoracyjnej, będącej powtórzeniem barokowego lub rokokowego wzoru. Nie mamy po prostu takich maszyn, które byłyby w stanie powtórzyć dosłownie tamten wzór. Inne tajemnice warsztatowe zabrali ze sobą do grobu tamci historycy już, choć bezimienni mistrzowie. Doktor Nahlik miał tę wyższość nad innymi plastykami-tkaczami, że był również z wykształcenia tkaczem-technologiem. Potrafił odtworzyć stary wzór nie tylko plastycznie, ale zaproponował także sposób technicznego wykonania. Jednocześnie jako historyk-muzealniki, specjalizujący się w historii tkaniny, potrafił z maleńkiego zachowanego skrawka opracować cały historyczny projekt. Po śmierci doktora Nahlika, nie ma już w kraju specjalisty tej klasy.

Dr Maria Zukowska — kustosz Muzeum w Wilanowie, wspomina, jak na początku lat sześćdziesiątych poszukiwać tkanin dla zabytkowych wnętrz pałacu króla Sobieskiego, przybyła do Łodzi. — Udałam się do kilku łódzkich zakładów włókienniczych, pokazując próbki starych materiałów z wnętrza pałacowych. Dyrektorzy przyglądali się im, sceptycznie, technologicznie kiwali głowami. To niemożliwe — powtarzali — dziś się już tak nie tka, a poza tym nam się nie opłaca podejmować produkcji tak krótkich serii. Niech pani dojdzie sobie coś „pod styl” odpowiedź. — Co takiego? — No, coś z bieżącej produkcji — wyjaśnił.

Byłam zrozpaczona i beznadziejna — wspomina dalej dr Zukowska. — Miałam w ręku dwie próbki XVIII-wiecznych wilanowskich tkanin, dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie poleciła mi znaleźć producenta kopii, aby rewaloryzacja pałacu mogła spełnić swoje zadanie, a tymczasem w Łodzi — centrum polskiego tkactwa, zbywano mnie niczym. Poszłam wówczas do Adama Nahlika — wówczas kustosa Muzeum Historii Włókiennictwa. Nie miałam już nadziei, że wywiąże się z zadania, ale chciałam się jeszcze poradzić, bo wiedziałam, że jest to wysokiej klasy znawca problemów tkaniny i jednocześnie plastyk — praktyk. Nahlik zaprowadził mnie do „Rękodziela Artystycznego”, z którym właśnie zaczął współpracować nad próbami rekonstrukcji starych tkanin. Tu zamówienie Muzeum w Wilanowie zostało przyjęte. Był rok 1965.

Adam Nahlik podjął się opracowania technologicznego kopii tkanin potrzebnych rekonstruowanemu pałacowi królewskiemu w Wilanowie, a Zarząd Główny „Cepelli” wyraził zgodę, aby ta nietypowa produkcja zajęła się łódzka spółdzielnia „Rękodzieło Artystyczne”. W „Rękodzielu” pracowało wówczas wielu doświadczonych tkaczy — rękodzielników — kontynuatorów tradycji łódzkiego tkactwa. Wzieli się ochoczo, z zawodową ambicją za odtworzenie starej tkaniny.

Początki były przysłówowym kubem zimnej wody na nasze wyobrażenie o posiadanych kwalifikacjach — dzieli się swymi wspomnieniami kierownik techniczny „Rękodziela” Zbigniew Rolński. — Mielśmy dobre maszyny żakardowe, dobrych doświadczonych tkaczy, a jednak pierwsze próby spęły na niczym. Tkacze pokazywali mi kolejne kawałki wykonanych materiałów, sami niezadowoleni z siebie. Nahlik już na pierwszy rzut oka dyskwalifikował je. To wciąż nie było to, bo inny był splot, inny połysk, inna faktura. Ale nasi tkacze byli ludźmi ambitnymi, takich nieudanych prób mieli 30–40, zanim poznali technologie odtworzenia starej tkaniny. Nahlik bywał wtedy po kilkanaście godzin na dobre przy naszych warsztatach, nie sypiał, tak się angażował, gdyż dla niego — muzealnika, było to jakby odtworzenie starej manufaktury, którą znał dobrze z opisów. Wiedział od początku, że będą trudności, gdyż nie ma dziś w ogóle krosien o tak dużej ilości zaczepów, czyli oczek, przez które przechodzą nici osnowy. Takie krosna były tylko w XVII i XVIII w. Ubiegły wiek ze swoją postępującą mechanizacją, wyparł je całkowicie, zlikwidował, Nahlik, widząc wciąż powtarzane bezowocne próby, zaczął pracować nad rekonstrukcją takich krosien sprzed dwustu lat. To wymagałoby jednak wielkich nakładów wiedzy, finansów i cierpliwości, na które nikt nie mógł sobie pozwolić. A zamówienie Wilanowa wciąż nie zrealizowane wisiało nad nami.

„Problem rekonstruowania tkanin zabytkowych — pisał kilka lat później Adam Nahlik — ma znaczenie szersze, niż samo projektowanie i uzyskanie jedwabnych tkanin niezbędnych dla dekoracji omawianych wnętrz (zabytkowych — wyj. G. R.) Nie chodzi tu jedynie o skopiowanie wzoru, lecz o wykonanie rekonstrukcji w tym samym surowcu, budowie splotowej, fakturze, gęstości — wiernej kopii pierwowzoru”.

Spółdzielnia Pracy „Rękodzieło Artystyczne” — jednostka produkcyjna, rozliczana z wyników ekonomicznych a nie z laboratoryjnych doświadczeń i cierpliwo-

ści jej pracowników, gotowych do podejmowania najtrudniejszych technicznie zadań — nie mogła sobie pozwolić na dalsze próby. Trzeba było znaleźć rozsądny kompromis ekonomii i artystycznego tkactwa.

— Dopasowaliśmy stare wzory wyjątkowo wiernie pod względem zewnętrznego wyglądu do techniki żakardowej — mówi Zbigniew Rolński — W żakardzie — technice maszynowej, wymagającej jednak bardzo wysokich umiejętności technicznych tkacza, potrafiliśmy sprostać potrzebom zaopatrzenia wnętrz zabytkowych w imitacje pięknych zabytkowych tkanin. W ten sposób wykonaliśmy dwie serie tkanin dla apartamentów książęcej marszałkowskiej Lubomirskiej w Pałacu Wilanowskim. Dyrekcja Muzeum Narodowego w Warszawie zaakceptowała wykonane kopie i zamówiła dalsze, przysyłając potrzebne próbki.

Tkanin dla Wilanowa było dużo. Nie wszystko można było odtworzyć z próbek, bo się po zniszczeniach wojennych nie zachowały. Zachował się jednak „Inwentarz pałacu willanowskiego w Wszystkiech w nim znajdujących się Mebliów, Obrazów, etc. Diebus Septembris 1793 spisany”. Z niego to kustosz Zukowska wybierała wzory do odtworzenia, a Adam Nahlik opracowywał je na skomplikowaną technikę tkacką, której mógł sprostać producent.

Potem przysłyły dalsze zamówienia. Dla pałaców w Nieborowie, Łańcutcie, Muzeum w Lidzbarku, ratusza gdańskiego, dla Muzeum Historycznego Miasta Wrocławia. Ze strzępów zachowanych tkanin, z nieostreżonych fotografii, ze starych rysunków i opisów, Adam Nahlik opracowywał wzory techniczne i plastyczne. Jednocześnie doskonalił się technologia „Rękodziela”. Od pierwszych tkanin dla Wilanowa, wykonanych z jedwabiu wiskozowego i bawełny, do tkanin dla Nieborowa i Łańcuta z naturalnego milanowskiego jedwabiu, „Rękodzieło Artystyczne” stało się uznanym producentem „zabytków”.

Każde nowe zamówienie było nie tylko satysfakcją dla autorów kopii zabytkowych tkanin, lecz także powodem nowych technicznych problemów. Tkaniny dla Salonu Czerwonego w Nieborowie i dla Syplalni Wojewody, niezwykle efektowne i piękne, pociągnęły za sobą dalsze trudności. Tkacz, pracujący 8 godzin mógł na krosnie ręcznym wykonać tylko 40 cm dzienne. Przy zamówieniu 250 metrów — bo tyle było potrzeba każdej z tych tkanin, rekonstrukcja musiała trwać bardzo długo i siłą rzeczy być kosztowna.

Wspomina dr Maria Zukowska: — Ze względu na duże raporty wzoru w obu tkaninach, trzeba było zastosować dodatkowe mechanizmy do krosien, tzw. tringley, do tworzenia dodatkowego przesmyku umożliwiającego odtworzenie wzoru. Metoda ta, opisana w niemieckiej fachowej publikacji w sposób bardzo lapidarny, przysporzyła niemało kłopotów i wątpliwości. Wiadomo, że tringley stosowane były do wykonania tkanin o dużych raportach, tkanych na krosnach o dużej ilości zaczepów. Współczesne sporządzenie owego nieznanego w naszym tkactwie mechanizmu, było bardzo trudne, wymagało przeprowadzenia wielu bardzo pracochłonnych prób. Obsługa tringley wymaga także nieustannej uwagi tkacza; najmniejsze odchylenie od prawidłowego działania tego mechanizmu, powoduje zniekształcenie wzoru. Po blisko trzydziestu latach żmudnych zmagani, dwie tkaniny nieborowskie zostały odtworzone zgodnie z ich pierwowzorem. Pokryto nimi w obu pomieszczeniach ściany i meble oraz wykonano zasłony do okien i drzwi.

Nad wprowadzeniem tringley czuwał dr Nahlik. Było to, przysięgam, w sukurs historyka artysty plastykowi. Bo wzory tkanin nieborowskich, tak jak i wzory większości tkanin dla Zamku Warszawskiego opracował także Adam Nahlik. Dopiero kilka ostatnich tkanin rekonstruowanych „Rękodziela” nie ma już w swojej metryczce nazwiska tego wybitnego specjalisty.

— Dr Nahlik zmarł w pełni sił twórczych — mówi kierownik nadzoru artystycznego „Rękodziela” artysta plastyk Helena Przytułska — ale spółdzielnia musi przecież dalej działać, wykonywać zamówienia dla zabytkowych wnętrz. Przez wiele lat współpracowałam z doktorem Nahlikiem i nauczyłam się od niego dużo. Był on wybitnym autorytetem w dziedzinie tkaniny zabytkowej i ten autorytet bywał gwarancją również dla klientów naszej spółdzielni. Ci klienci, którzy się na nas nie zawiedli, muszą nam dalej zaufać. Marka jaką mamy w kraju, przecież zobowiązuje. Niech nas jakoś bez pomocy fachowej i naukowego doradztwa Adama Nahlika, kontynuujemy swoją działalność — staramy się nie obniżyć poziomu.

Zgadza się z panią Przytułską, autorką wielu kolorystycznych opracowań projektów tkanin rekonstruowanych Adama Nahlika. Wystawa w Centralnym Muzeum Włókiennictwa dowodnie pokazuje, że „Rękodzieło Artystyczne” z powodzeniem kontynuuje swoją dotychczasową produkcję, której niejący dyrektor tego muzeum był niekwestionowanym spiritus movens.

GUSTAW ROMANOWSKI



Tkanina obiciowa „Ludwik XV” (wł. Centralne Muzeum Historii Włókiennictwa). Projekt — Adam Nahlik, wykonanie Spółdzielni „Rękodzieło Artystyczne”, 1967.

— O czym to ja?... Znow zgnębienie walek. — Aha, sądziłem błędnie, że tylko mój ojciec, który nie pozwalał mi być tym, kim pragnąłem, był okrutnym tyranem. Nie, panie i panowie. Myliłem się. To świat kapitału okazał się okrutny i tyrański. Tamten świat na zachód od nas okazał się areną brutalnej walki i przemocy, krwawą sceną triumfujących terrorystów i wyzyskiwanych ludzi pracy, żerowiskiem rekinów i saba-tem czarownic, rajem dla monopolu i żadnych zysku neokolonialistów, ringiem szaleńców, domem obłąkanych, symfonią pełną nieznośnych dysonansów i okropnego gnieju skłóconych namiętności.

Jakby dla ilustracji moich słów wybuchnął znow za oknem piekielny warkot maszyn. W niemej rozpacz wzniosłem ręce, jakby o pomoc do nieba.

— W tamtym świecie szansa, jedyną szansą wrażliwej jednostki jest zamknąć się w sobie i stworzyć inny świat, lepszy, piękniejszy.

— I znow entuzjastyczny aplauz przy akompaniamentie protestów i obraźliwych okrzyków wysługujących się kłice.

— Tak też postanowiłem uczynić i zdawało mi się, że wszystko ułoży się tak, jak w dobrze skomponowanej sztuce teatralnej. I w ten sposób zostałem konsulem. O, jeżeli państwo sądzicie, że działałem pod wpływem kompleksu niższości, pousatęgo we mnie z powodu tyranii mojego ojca, i że sprzedaję moją żywotność była wola mocy, jako rekompensatę za ciężki, jakie brałem w życiu, to testęcie w błędzie. Teraz, z perspektywy czasu widzę, że źle pokierowałem moim życiem. Byłem nazbyt wrażliwym na urok światła. Tak. Nie będę dłużej zatrzymywał się nad tym rodzajem mojej biografii. Powiem tylko, że... Co to ja chciałem powiedzieć? Zgnębienie walek.

Podszedłem jeszcze bliżej do stołu przydziałowego i spytałem: — Sądzi, jaki jest rok urodzenia Kartezjusza?

Magazynier, jakając się, bełkotał: — Kartez... Kart...

— Szesnasty wiek — odpowiedział Milde. — Tysiąc pięćset z czymś.

— Żle — zgnębienie prezesa Spółdzielni. — Kartezjusz urodził się w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym roku. A teraz pan Miecio? — Kim była Desdemona? — egzaminowałem.

Miecio wybaluszył oczy: — Desdemona?

— Miły Boże, jak można nie wiedzieć? Przypominam: Opera Verdiego „Otello”. Desdemona była żoną Otella. Skromna, cnotliwa, niesłusznie posadzona o herezję, spłonęła na stosie w 1431 roku w Rouen.

Konsternacja słuchaczy. Ktoś odezwał się półgłosem. — Wariat.

Mój bezradny uśmiech. — Przepraszam, coś mi się poklepało. A więc przedziś — przypomniałem sobie o mojej misji. — Dyrektor Milde! — palec wycelowany w Mildego — Dyrektor Milde, wstać!

Milde wstał nieco zastraszony.

— Mój przyjaciel, Henryk Elzenberg junior, powiada, że nie przeklinał światła za to, że był areną kłeski i zawodów — mówił tonem swobodnej rozmowy. — Można przeobrazić historię u przeladka d'Antibes, którym nie będzie przez to mniej piękny. Ale ja się z tym nie zgodzę. A pan, panie profesorze Smoleń?

— Ja również — nie! — odrzekł Smoleń. — Trzeba przeklinać świat za wszystko, z którym chce nas ułnić.

— Bravo — pochwaliłem. — A

więc pan Miecio, wstać! Przedziś! — rozkazywałem tonem wojennej komendy. — Magazynier Sapiński, wręczyć panu Mieciowi klucze od magazynu.

— Chce pan nas zamknąć? Nie mogę oddawać kluczy — sprzeciwił się magazynier. — Prawo zabrania.

— Ani słowa! — zagroziłem.

— Proszę, Proszę! — warczał Sapiński.

I dalej komenderowałem: — Dyrektor Milde, wyjść i czekać przed magazynem.

Milde przesunął się szybko i wstydliwie boczkłem jak wygwizdany prelegent.

— Pan Miecio z kluczami za mną — rozkazałem — A wy, panie i pa-

zrobiło się duszno, powietrze miało substancjalną lepkość i spoistość, trudno było oddychać, zdawało mu się, że słyszy w uszach i skroniach szum przepływającej krwi. Złaził się, że ciśnienie mu się podwyższyło, od dawna cierpiał na nadciśnienie. Zastanawiał się, na ile godzin zostali odcięci od światła, czy przetrzyma zamknięcie w tej przytłaczającej duchocie i jak długo wytrzymała to inni.

— Zarządzam półgodzinną przerwę — ogłosił.

— Dlaczego kazałeś wyłączyć telefon? — zapytała pani Lala.

— Żeby się ludziom nie zachciało wyzywać pomocy. Trzeba trochę poczekać. Ci, którzy by przyszli nas ułnić, mogliby się okazać za ciekawymi i dopytywać się, a co, a dlaczego

dzinnym siedzeniem w nienormalnych warunkach i myślą tylko o tym, żeby wrócić do domu.

Rumpel poważnie mówił o objawach zwątpienia i rezygnacji, jakie można zaobserwować. Są tacy, którzy bredzą, że Majak był złudzeniem. On sam, Rumpel, zaczął chwilami wątpić, że w istnienie rzeczywistego konsula. W tym przekłętym pomieszczeniu było niemożliwie duszno, brak jakiegokolwiek wentylacji i elementarnych urządzeń sanitarnych. Rumpel odczuwał potrzebę umycia rąk, które kleiły mu się z brudu i wycierał z obrzydzeniem spólnie ręce o spodnie i mówił chaotycznie, bez przerwy powtarzając z jakąś obsesyjną perseweracją, że wszystko wydaje mu się nierealne, jak koszmarny sen, a jed-

tu związanego z wystąpieniem Majaka. — Budzet naszej Spółdzielni, osiągnięcia naszej instytucji — mówił — a więc interes nas wszystkich wymaga, żebyśmy spojrzeli realnie na to, co się stało. Ulegaliśmy frazeologii mętlika, padliśmy ofiarą głupiego żartu człowieka, którego mamy prawo nazwać półgłówkiem.

Burzliwe protesty zgromadzonych. — Sam półgłówek! — rozległy się okrzyki. — Podlizywał! Podlizuje się kłice!

— A stało się tak — mówca wzmożił głos — na skutek zwycięstwa z powodu przeciagającego się zebrania, nieodpowiednich warunków, w jakich toczyły się nasze obrady, braku wentylacji i tym podobnych przyczyn. W takich okolicznościach łatwo ulec halucynacji...

Nowy wybuch protestów i ziorze-

— Idiota! Bałwan — syczał Rumpel pod adresem przewodniczącego. Duninówna ujęła go za rękę. — Niech pan się nie denerwuje. Mamy ważniejsze sprawy przed sobą — ścisłała mu rękę.

Przewodniczący zarządził przerwę. Szerokimi ruchami wycierał głowę i czoło.

Zapadła chwila ciszy. Przez nieodkryte po triumfalnym powrocie pana Miecia drzwi doszedł z korytarza odgłos czyichś ciężkich i pociągłych kroków.

Z korytarza wszedł stary woźny. Wybiłszy oczy, pomarszczone policzki, słaby starczy głos: — Przecież!

— Kto przyjechał? — zapytał przewodniczący.

— Wóz milicyjny, auto i karetka Pogotowia — skrzeczał woźny.

Samer przepłynął przez wypełnione do ostatniego miejsca pomieszczenie. Każdy domyślał się, że stanie się coś, co pociągnie za sobą daleko idące konsekwencje dla wszystkich. Bo może i tym bez winy zostanie przypisana odpowiedzialność, że nie dopilnowali prawidłowego biegu spraw i nie zawiadomili w porę kogo należy o uchybieniach i nadużyciach i o tym, że cała „Undiqua” formalnie się trzęsła od powtarzanych wiadomości i pogłosek. Bierność równała się obojętności i tolerowaniu zła.

Dlatego niektórzy z obecnych, po krótkim przemyśleniu tego niełatwego problemu, przeżywali chwile niepokoju, gdy zostali zapytani — a wy gdzie byliście słysząc tyle o nadużyciach i malwersacjach?

Do takich truchlejących z lęku przed odpowiedzialnością należała między innymi kasjerka Kamińska, która nie mogła sobie darować, że lekkomyślnie zwierzyła się w obecności paru osób, ze swoich obaw i podejrzeń w sprawie asygnyat na dużą sumę na nazwisko firmy „Sebastian Holownia”, która nie figurowała w spisie telefonów i która (firma) przestała istnieć w końcu ubiegłego wieku, o czym można było wywnioskować z zaniedbanego grobu rodziny Holownia z dziewiętnastowiecznymi datami śmierci.

Na domiar przy rozmowie była obecna ta okrocona dziewczyna Kosowna, która nie brała udziału w ożywionej dyskusji milcząc zagadkowo, ale przysłuchiwała się uważnie, z kłamliwym spokojem, wszystkiemu, o czym była mowa.

(Fragment powieści, która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Łódzkiego)

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

FATAMORGANA

nowie, czekajcie na mój powrót. Panie Mieciu...

Trzasnęły grube żelazne drzwi. Zgrzytnął zamek Yale, zachrobotał klucz przekreślony w drugim zamku. Pierwszy ocknął się Kuba z ogłupiałą miną i rozwarła szeroko gęba. Zebrani przypatrywali się w milczeniu jego poczynaniom. Przyłożył ucho do dziurki, następnie rozprostował się i podał do wiadomości: — Nie ma Poszli. Krzyżak na drogę — zarechał śmiechem przyglupka.

Gwar wzmagął się, lecz nie przerażał się we wrzawę. Kobiety zaczęły zdradzać niepokój. Personalna Witkowska zapytała koleżanek, jak one sobie to wyobrażają. Jak długo może potrwać ten przymusowy areszt w suterenie?

Duninówna roześmiała się cierpko i wruszyła ramionami. Kamińska odplaciła personalnej tą samą monetą. — Może do rana — odrzekła z ironią. — Skąd można wiedzieć?

Siedzący za stołem przydziałnym jeszcze niepełnie otrząsnęli się z konsternacji. — Głupi kawał — oburzała się pani Lala. — Jak żyje, nie byłam w takiej sytuacji. Ja się duszę. Nie z braku powietrza, ale ze świadomości, że jestem zamknięta. Nie mogę patrzeć spokojnie na te żelazne drzwi.

Ceregra polecił Kubie, żeby wyłączył telefon — Żeby komu nie przyszło do głowy zatelefonować do nas — wyjaśnił z rezerwą.

— Nie rozumiem — upierała się pani Lala. — Jakby ktoś do nas zadzwonił, to by nas jakoś wyswobodził z tej piwnicy.

— Widzę właśnie, że nie nie rozumiesz — odpowiedział Ceregra. — Kuba, leć, wyjmij wtyczkę.

Kuba skoczył, wyłączył telefon.

Wśród zebranych rozleciały się krzyki. Personalna uragała Kubie, że wyłączył telefon. Ceregra zadzwonił długopisem w dzban. Tłumaczył, że telefon został wyłączony ze względu na skomplikowaną sytuację, jaka się wytworzyła. I prosił, żeby koledzy zastanowili się nad sposobami wyjścia z kłopotliwego położenia.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz zapomniał, co miał do powiedzenia.

was zamknęli? Ci, co z nami siedzą, nie potrafiliby utrzymać języka za zębami i mogłoby dojść do skandalu.

Tużoczko, który po Ceregrze objął prowadzenie zebrania, był optymistą. Zastukał długopisem w dzban, prosił o zajęcie miejsc i stwierdził, że wszystko się wyjaśniło, przydzielił i zebrani padli ofiarą głupiego żartu niepojętelnego osobnika.

Odpowiedział mu pomruk niedowierzania ze strony słuchaczy.

— Nie pociągajcie się, że to był żart! — wykrzyknęła Duninówna.

— Po co się oszukiwać? Patrzcie końca — wtórował Wencel Duninównie. — Klika się zdemaskowała. Do-

wodem — obawy przed wkroczeniem Urzędu Śledczego. Ludzie w rodzaju Sapińskiego mają nieczyste sumienie. — Domagamy się — wołał w imieniu większości — żeby władze rewizyjne Centralnego Związku Spółdzielni Pracy wdrożyły akcję kontrolną i zbadały prawidłowość zawieranych transakcji w „Undiqua”.

Smoleń wyszedł z pakamery i przystanął ze zdumienia na widok zamieszania i tumultu. Kobiety wzywały histerycznie pomocy. Bójka toczyła się blisko podium. Ściskała gromada mężczyzn kotłowała się i przepychała do tyłu i z powrotem. Pobiegłem, ale naraż wszystkich uciekło. Z rozluźnionej masy awanturujących się wypadł Rumpel i biegł do mnie dając mi znaki, żebym się zatrzymał.

— Co za chryja! — dyszał. — Magazynier nie pozwolił Lali zatelefonować po Pogotowie, upierał się, że to może ściągnąć Milcję. Ludzie, gdy się dowiedzieli, że Ceregra zaniemógł, stanęli solidarnie w obronie Lali. Skończyło się na tym, że Sapiński i Kuba ohezwadniono. Lala uzyskała połączenie.

— Istny dom wariatów! — mówił. — Siedzi tu już siedem godzin. Krzyki, tupanie, gwizdy, duchota, bałagan. Wszystko to mści ludzom w obrotach i nie pozwala rozsądnie myśleć. Ta złośnica bestia, Milde, zadzwoniła piwnicę z premedytacją, żeby stworzyć atmosferę nie do wytrzymania, odwrócić ich uwagę od tematów, niewygodnych dla kliki. Ludzie są wymagawani siedmiogod-

nak jest, niestety, prawdziwe. Sześć, siedem godzin w takich warunkach, w hałasie, w nerwach, w duchocie, to może wykończyć każdego — Ja ledwie trzymam się na nogach — skarżył się. — A czasem zdawało mi się, że wszystko, co się tutaj dzieje, to jakiś omen, zwiadowana historia, diabli wiedzą — co?

— Jaki omen? — zirytował się Smoleń. — Jaka historia?

— Mam ci może zreferować wszystko od początku? — odparł Rumpel. W ich przyjacielskim związku Tadeusz był tym, który pozwalał się podziwiać, zostawiając Rumpelowi rolę świadka, który milcząco anobowiał, a czasem wyraźnie pochwalał, czego dokonali bardziej inteligentny i uzdolniony przyjaciel. Przyczyna nierówności tkwiła w tym, że Tadeusz był elokwentny i błyskotliwy, podczas gdy Rumpel ze swoją wadą wymowy i brakiem inicjatywy wydawał się sobie szary i nie znaczący, i zawsze w cieniu Smolenia, który go raczył tolerować. Tym razem jednak Rumpel „zbuntował się” i zatrzymał Smolenia. — Zaczekaj, Zdzysz.

— O co ci idzie?

Rumpel zajął, czy Tadeusz uważa, że są w porządku? — Ze zrobili wszystko, co należało? — zapytał i wargi mu się drzęsły.

— A ty jak sądzisz?

Rumpel zajął mu głęboko w oczy. Wyznał, że ma wątpliwości. I że te wątpliwości dręcza go bardziej niż suchosć w gardle i obrzydzenie z powodu nieumytnych rak. — Czy nie zdajesz sobie sprawy, że znajdujemy się na krawędzi?

— Co to znaczy?

— To znaczy nad przepaścią. Klika słucha nas w przepaści, a my się nie bronimy. Zachowujemy się biernie. Z zadziwiającą obojętnością. Jakby to już nas nie dotyczyło. Czasem tylko ktoś krzyknie. To za mało.

Smoleń zachna się, że nieodpowiednia pora i miejsce do rozważań natury moralnej.

Po niedysponowanym Ceregrze miejsce za stołem przydziałnym zajął Tużoczko i dzwonił długopisem w dzban. Prosił o chwilę uwagi, a następnie przyznał wnioski z incyden-

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

PIOSENKA MATEK

przechodzimy ulicą ułaskawionych
ogrodów
z ptakami we włosach
z ziemią gdzie schowano noże
szukamy miejsca gdzie można pochować
odłamki też
ciągnęmy za sobą wózki z dziećmi
przy nodze waruje niespokojne echo
karmi się naszą pierśią

WIDZISZ, NOCY CZARNY PTAK

widzisz, nocy czarny ptak nadleciał
jakby ktoś słońce zerwał z ogrodu
w dloniach samotna lampka ciszy świeci
słyszysz, nocy czarny ptak powiedział
zostań — już ciszej być nie może

widzisz, głodna przecież wiersza kartka
nim z mgieł wyskoczy biały koń życia
na palcach flażolety gwiazd zaśpiewają
zobacz, nocy czarny ptak u kłami
zostań, ogrody zaczną nowe życie

widzisz, usta porzucone leżą
gdyby im ktoś zaszeptał tak jasną —
ale ktoś w butach podbitych kamieniem
na kwiaty zstąpił utracając czas
zostań by śmierci nie wymówić
prawie śmiertelną piosenką

LISTOPAD

nikt z nas nie śpiewał
powołania ciszy
ktoś ona weszła
jakby to motyl wleciał ukradkiem

czy kamień jej podać
czy kostkę cukru
ktoś ona weszła
że w spojrzeniu gąsnie światło

nikt z nas nie tańczył
i nie czekał jej
więc dlatego
stałem kruków obsiadła

wolne miejsca na białym
świątecznym obrusie
gdzie zlamiał ręk świerkowe gałązki
dotykają twarzy

Początki mojej edukacji przypadły na lata, w których w życiu kulturalnym kraju, siłą rzeczy więc i w literaturze, dominował realizm socjalistyczny. Brnąć przez szkolne czytanki dowiadaliśmy się tedy o wszechobowiązujących i najciszej-szych związkach literatury z życiem, o jej poważnym (przynajmniej w sferze zamiarów) wpływie na wszelkie, ideowe zaś w szczególności, potrzeby społeczeństwa. Odległe to już dzieje, od owych lat przeskakiwałem kolejne szczeble edukacji, również literackiej, dostosowując poglądy do wymogów aktualnego stanu rzeczy, ale przecież nie wszystkie prawdy należy zmieniać jak rękawiczki (choć obciążając z literaturą lubią czynić to na ogół stosunkowo chętnie). Tak więc hołduję w dalszym ciągu przekonaniu o ścisłych związkach literatury z życiem społecznym, związkach wielorakich: trwałych i przelotnych, deklaratywnych i wstydlivych niekiedy, związkach wyraźnych i tak zakamuflowanych, że do ich wykrycia potrzeba rutynny badacz.

Okres wspomniany nakazywał rozpoczynanie wszelkich elaboratów cytatem z klasyki. Niechże owej tradycji i tym razem stanie się zadość. Tyle tylko, że będzie to klasyk współczesnej krytyki polskiej: — Proza jest gatunkiem najbardziej związanym z ciągłością życia społecznego — pisał Kazimierz Wyka w szkicu pt.: *Żywoćne tradycje prozy polskiej* zamieszczonym w tomie *Pogranicze powieści*. I w prozie właśnie upatruje się ten gatunek, który najwięcej może powiedzieć o życiu narodu, o sprawach nurtujących społeczeństwo, który najdokładniej potrafi odzwierciedlić życie samo. Nie chodzi tu, rzecz prosta, o zwykłe preferowanie ujęć realistycznych, czy werystycznych zgola, wiadomo bowiem od dawna, że o znamionach czasu lepiej mówią niejednokrotnie utwory nasycone metaforami, paraboliczne, niż twórczość spod znaku mimesis. Jak również nie idzie wcale o rozstrzygnięcie związane z tym problemem tak sformułowanego przez Jana Leńskiego:

Od niepamiętnych lat
Baśń i proza są w wasni!
Czy w prozie prawda jest?
Czy też prawda jest w baśni?

Z punktu widzenia relacji: społeczeństwo — literatura wszystko jedno, gdzie tkwi prawda: w prozie czy w baśni, w poezji czy w dramacie. Byleby tylko można ją odnaleźć, to znaczy byleby tylko literatura mówiła wszystko, co ma do powiedzenia o człowieku — w ogóle i o — człowieku konkretnym, o zbiorowości i jednostce, o konfliktach i możliwościach bądź niemożliwości ich rozwiązania, aby — gdy trzeba — ukazywała wahania i rozterki obywatela niezdecydowanego lub monolityczność człowieka z marmuru czy też z innego szlachetnego tworzywa. Słowem: spojrzenie maksymalistyczne, ale chyba jedynie do przyjęcia, jeśli literaturę mamy traktować serio. Nie na prawach wyjątkowości (jak to się niejednokrotnie zwykło u nas czynić), lecz zwyczajnie, to jest poważnie, lecz bez przesadnych nadziei wynikających z przywiązania do tradycji — uświęconej roli literatury w życiu naszego narodu.

Literatura nie musi rozwiązywać spraw, do których nie została powołana (a nawet nie powinna, bo przeważnie nie dobrego z tego nie wynika). Przekazaniem literatury jest stawianie pytań, uświadamianie problemów, podawanie ich w sposób swobodny i niepodważalny. Prawdziwa literatura to literatura pytań (tu nutka nieco żartobliwa: czasem jedynie znaków zapytania).

Jak zatem wyglądał zwięzły repertuar pytań prozy polskiej po roku 1945? Zbierze się ich kilka, nierównych wartości i nie zawsze najczystszej brzmienia, lecz towarzyszącym wiernie powojennej rzeczywistości. Na początek pytanie najistotniejsze dla czasu określonego pierwotnym tytułem książki znanej jako *Popiół i diament* (brzmiał on: *Zaraz po wojnie*):

Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej
Wokół leżą szmaty zapalone;
Gorząc nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to, co twoje, ma być zatracone?
Czy popiół tylko zostanie i zamek,
Co idzie w przepaść z burzą? — Czy zostanie
Na dnie popiołu gwałdziszty
dyament,
Wiekuliste zwycięstwa zaranie?..

Był to okres, gdy proza dokonywała obrachunków inteligentkich, rozliczała międzywojenne dwudziestolecie, usiłowała przedstawić i zrozumieć fenomen faszyzmu i obowozu apokalipse, zarazem zaś dopiero sposobła się do podjęcia problematyki nowych czasów — jak powszechnie wtedy mawiano. Nim się pisarze do rzeczy zabrali, nastąpił kilkuletni epizod socrealizmu, charakteryzujący się między innymi jednostronnością widzenia. Bezsposobnie po nim znów przesadzono — tyle, że w drugą

stronę i przez dobrych parę lat królowała tak zwana literatura czarna. Oczywiście nie wyłącznie. Bo oto niespotykanemu dotąd ożywieniu uległy formy paraboliczne i parali-rackie. Ożywiła się i odnowiła powieść historyczna. Nade wszystko zaś do głosu dochodziła proza nurtu wiejskiego, by w latach siedemdziesiątych osiągnąć apogeum. Po krótkiej przerwie okrzepł wyraźnie temat pracy. Od czasu do czasu dają znać o sobie filozofowie i ironiści. Zauważyć też można wśród autorów pewnej generacji modę na spisywanie pamiętników swoich książek. A w ostatnich latach wystąpiła tendencja zmierzająca do odświeżenia, odkonwencjonalizowania języka artystycznego.

Tak z grubsza zarejestrować można najbardziej wyraziste impulsy w dziejach polskiej prozy powojennej. Układają się one w pewną całość, nie zawsze — choćby z braku dogodnej perspektywy czasowej — wystarczającą dla komentatora przejrzystą, całość związaną ściśle z powojennymi dziejami naszego narodu. Nie ulega wątpliwości, iż w prozie znalazły odzwierciedlenie najważniejsze dla powojennego życia nadzieje, rozterki i konflikty, choć bez wątplenia dadzą się zauważyć momenty, w których literatura jakby nie nadążała za dynamiką życia, jakby zabrakło jej siły wyrazu, do jakiego przecież czytelnicy, zwłaszcza starszych generacji, byli przyzwyczajeni. Wiąże się to, być może z zachwianiem wiary w *vis attractiva* literatury współczesnej. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że ostatnim pokoleniem, które sądziło, iż literatura jest w stanie o wszystkim współrozstrzygać, było pokolenie *Współczesności*. Wstępujące po nim generacje programowo przypominają *matowitnych* (jeden z krytyków konsekwentnie powiada o pokoleniu *nieobecnym*). Przyczyny takiego stanu są bezspornie różne. Jedną z istotniejszych jest powolność literackich reakcji na aktualne wydarzenia oraz niewielka praktycznie możliwość sprawdzenia rzeczywistego rezonansu utworu literackiego. W tym zakresie literatura zdecydowanie przegrywa z telewizją, radiem i prasą, a nie zdążyła wypracować jeszcze najdogodniejszego dla niej modelu koegzystencji.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej niektórym ze wspomnianych tendencji.

Większość obserwatorów i komentatorów współczesnej prozy polskiej, jej najbardziej typowy wyróżnik (i jakościowy, i ilościowy) dostrzega w dokonaniach nurtu wiejskiego. Nie jest to przypadek, a normalna konsekwencja określonego rozwoju społecznego i kulturalnego naszego narodu, że dopiero w drugim i trzecim dziesięcioleciu Polski Ludowej rozwinął się na taką skalę nurt, którego zarzewie tkwiło się od dziesiątków lat poza obrębami oficjalnej kultury. Ten gwałtowny i dynamiczny (niekiedy może zbyt dynamiczny, bo przesadzający się w zwykłą modę) rozwój twórczości o sprawach wsi, bądź o problemach wiejskich zjawiskami inspirowanych, jest nade wszystko zewnętrznym, literackim wyrazem uzyskania przez wieś polską pozycji, jakiej nigdy dotąd ona nie miała. Na podkreślenie zasługuje okoliczność, iż w zdecydowanej większości przypadków jest to reakcja spontaniczna, wypływająca z konieczności przemawiania pełnym głosem autorów o wiejskiej proweniencji. O ile w pierwszych powojennych latach usłowiano zaznaczyć odrębność wsi w kulturze narodowej (przypomnijmy wydzielony ze Związku Zawodowego Literatów Polskich specjalny Oddział Wiejski czy koncepcję pisarza lansowaną przez Józka Wieś), o tyle w latach sześćdziesiątych położono nacisk na uniwersalizm, realia wiejskie często uznawano za sztafaż tylko, pozwalający konkretniej wypowiedzieć prawdę o człowieku w ogóle. Jakkolwiek by zresztą nie było, zadziwiająca jest wprost żywotność rzeczoności nurtu, obfitującego ciągle w interesujące debiuty, pogłębiającego wypracowane wcześniej stanowiska. Rzecz znamienna — jest to jedyny, jak sądzę, nurt w naszej współczesnej literaturze posiadający własną krytykę towarzyszącą (lepsze chyba będzie sformułowanie: własnych krytyków). Protagonisci owi dokonują systematycznej oceny osiągnięć, wytyczają dalsze kierunki rozwoju, dają wreszcie podstawy teoretyczne, spolykują się na specjalnych sympozjach. Ostatnie sympozjum na temat *Wsi w tradycji i współczesności literackiej* odbyło się nie tak dawno w Sandomierzu i dowiodło, że nurt wiejski to zjawisko ciągle żywe i rozwijające się.

Najpopularniejsze bodaj określenie nurtu wiejskiego sprowadza się do formuły samowiedzy kulturowej wsi polskiej, do artystycznego wyrazu cywilizacyjnego awansu tej wsi w ostatnich kilkudziesięciu latach. Jak więc widać istotne stają się tu socjologiczne determinanty, społeczne zaplecze zjawisk literackich. W takim ujęciu proza jawi się jako wnikliwe i subtelne uzupełnienie publicystyki

i naukowych studiów — opowiada o cenie, jaką trzeba płać za przyspieszony, aż do gwałtowności, awansu kulturowy, opowiada o konfliktach między ślepiem przywiązaniem do tradycji, a bezkrytycznym naśladowaniem wzorów usłużnie podsuwanych przez mass-media, koncentruje się na jednostce, stara się znaleźć i uzasadnić psychologiczne uwarunkowania różnych postaw. Prezentuje zarówno postaci, które stoją na straży niezmienności wiejskiego obyczaju, jak i ich antagonistów, którzy korzystają z pierwszej nadarzającej się sposobności, by zdecydowanie odżegnać się od wiejskiej przeszłości. Motywacje, z jakich korzystają autorzy są różnorodne, wszystkie jednak wcześniej czy później pozwalają sprowadzić się do wspólnego mianownika: rozwój społeczny jest nieunikniony, kto za nim nie nadąża (wszystko jedno z jakiego powodu) musi ponieść konsekwencje. Taki jest sens większości utworów, zaliczanych przez krytykę w poczet rzeczoności nurtu.

Co zadecydowało o jego sile? Wydaje się, że trzy przede wszystkim elementy — tradycja, mecenat i społeczne zapotrzebowanie. Element ostatni miał bezspornie największy wpływ na zapewnienie nurtowi wiejskiemu popularności, bez której nie byłoby tym, czym się stał: wizytówką współczesnej polskiej prozy.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

POWIEŚĆ — ŻYCIEM?

potocznej, codziennej, do pokładów polszczyzny żywej. Dzisiaj w taki sposób literatura usiłuje bronić autentyczności istnienia, zarówno w wymiarze jednostkowym, jak i społecznym. Akcentuje, że tożsamość człowieka to w pierwszym rzędzie tożsamość językowa. Wkraczanie do literatury języka mówionego (w rodzaju słynnego Różewiczowskiego *zaraz skoczę szefie*) nie polega jedynie na podpatrywaniu życia, jest świadomym protestem skierowanym przeciwko kosztownemu strukturze nie tylko językowych. Miron Białoszewski, Józef Łosiński, Ryszard Schuber, Sławomir Łubiński i inni wyznaczają ten najnowszy i najciekawszy obecnie szlak współczesnej naszej prozy.

Zauważmy przy okazji, że w taki oto sposób literatura usiłuje również bronić swej dotychczasowej pozycji w niezwykle trudnej konkurencji z różnego rodzaju publikatorami. Wobec ich wzrastającej roli stało się jasne, iż literatura, a zwłaszcza chyba proza, wypracować musi nowy styl, musi nadążyć za wszelkimi zmianami, jeśli nie chce utracić eksponowanej roli w życiu intelektualnym narodu.

Zjawiskiem godnym uwagi są powieści neohistoreczne (jak je określa pewien odłam krytyki), nazwane tak dla odróżnienia od tradycyjnej powieści historycznej oraz gwałtownie podkreślenia specyfiki, polegającej na umownym potraktowaniu warstwy historycznej mimo daleko posuniętej identyfikacji realiów. Konkretnie wydarzenie historyczne spełnia tu zalety funkcję pretekstu dla pokazania niektórych cech narodowych, dla refleksji nad dziwnościami natury człowieczej, dla próby znalezienia miejsca współczesności w procesie dziejowym. Tak pomyślana powieść uprawia przede wszystkim Władysław Terlecki, w pewnej mierze również Andrzej Kuśniewicz.

Powieść neohistoreczna stawia wyraźne znaki równości między przeszłością a teraźniejszością nie tylko w sensie zawartym w starej łacińskiej maksymie: *historia magistra vitae*, lecz również w sensie podobnych trudności poznawczych, na jakie napotyka zarówno badacz przeszłości, jak i kronikarz czy interpretator współczesności. W konsekwencji takiego stanowiska poznawczego ważniejsze od faktów stają się motywy działania, od skutków istotniejsze wydają się przyczyny wydarzeń. Prowadzi to w prostej linii do próby określenia istoty człowieczeństwa, w której pytania z zakresu etyki zdają się odgrywać rolę podstawową. Chodzi przy tym w znacznie większym stopniu o moralność jednostki niż moralność społeczeństwa jako określonej całości, co ma na celu między innymi umysłowanie, iż kultura jest najpierw personalistyczna, a dopiero potem służy uniwersalizmowi. Powieść, o której mowa, nie stara się zresztą wyważyć odpowiednich proporcji między wspomnianymi tylko co krańcowościami interpretacyjnymi, zależy jej raczej na tym, aby jednostka, myślący podmiot, rozważający sprzeczne racje, nie zszedł na odleglejszy plan jako obiekt zainteresowań w tworzeniu hierarchii wartości. Dzieje przedstawiane są tutaj jako współzawodnictwo przeciwnych racji (kulturowych, narodowych, klasowych), ich ocena jest relatywna i dyktują ją zawsze zwycięzcy, zaś w gąszczu problemów niewiele spraw posiada znaczenie tak niepodważalne, jak niepodległy byt narodowy.

Ambicją prozy neohistorecznej jest kształcenie umiejętności myślenia, myślenia nieschematycznego, odmiennego za każdym razem, dostosowanego bardziej do przesłanek subiektywnych niżli oglądających się na demagogiczny obiektywizm. Myślenia nie pogardzającego najmniejszym szczegółem, pozorem i białostką. Myślenia, dla którego koturny i cokoły są zupełnie bezużyteczne.

Spółeczną — jak pisał ongiś Kazimierz Czachowski — prawdę człowieka wyrażają w znacznym stopniu powieści realizujące tematykę pracy. Przeważnie koncentrują się one na procesie produkcji. Usiłują określić i przedstawić miejsce zakładu pracy w życiu człowieka, zakład ów traktują jako prawdziwą szkołę życia, samą pracę zaś jako rzeczywisty sprawdzian wartości i przydatności obywatela. Przywiązują duże znaczenie do więzi, jaka wytworza się w gronie kolegów z tej samej fabrycznej hali. Nie pomijają i konfliktów — konfliktom najczęściej może eksponowanym jest powolne i systematyczne wychowywanie człowieka społecznego bądź wyraźnie zdemoralizowanego, powolne lecz systematyczne włączanie go do poczyną kolektynu. Literatura tematu pracy ma bowiem wyraźne dydaktyczne aspiracje, usiłują pokazać wzorce osobowe godne naśladowania — pracownika zaangażowanego w życie zakładu pracy, aktywnego politycznie, cieszącego się zaufaniem współpracowników. Posługują się w takich momentach sformułowaniami publicystycznymi, bo też stosunkowo często utwory realizujące temat pracy współbrzmiały z publicystyką, uzupełniając ją, a nawet i wkraczając w jej rolę.

Ta odmiana współczesnej prozy z natury rzeczy hołduje tradycyjnemu warsztatowi, co jakiś czas pojawiają się wszelkie próby uatrakcyjnienia gatunku, tak zaskakujące nawet, jak zastosowanie terminologii muzycznej celem oznaczenia poszczególnych całości kompozycyjnych.

Jak więc widać z powyższej, po-bieżnej z konieczności, charakterystyki każda tendencja oferuje określo-ne wartości, funkcjonujące przeciwie w naszych indywidualnych hierarchiach i w naszym społecznym systemie wartości. Tyle tylko, że niekiedy sposób ich przedstawienia jest może za bardzo zmetaforyzowany, ukryty, niezupełnie przejrzysty dla przecięt-nego konsumenta książek. Ale, u licha, nie odbierajmy literaturze prawa do eksperymentu i kamuflażu. Bez nich z łatwością dała by się sprowadzić do roli publicystyki. A przecież zupełnie nie o to chodzi. Idzie raczej o wysoki poziom artystyczny i wszechstronny związek z życiem w takim choćby sensie, jak to przed stu z okładem laty proponował Edmund Chojceki:

Krytyka sądem; niechże więc szamocze się z martwą literą prawa. Ale powieść życiem, niechże więc będzie wolną i prawdziwą jak życie, nielogiczną jak przypadek, rozrzuconą jak wygnaniec, do-radną jak natchnienie, ustalą nieraz jak pogrzebane ciało, wesolą czasem jak chwile dobrych snów, zgrzytliwą jak co-dzienna rzeczywistość, gorzką jak wiecz-na samotność, zapalną jak zgorączkowa-ny umysł, śmieszna, ba! nawet ślepa jak sąd ludzki, jak opinia.



Rys. Andrzej Tylczyński

NASZA ROZMOWA

— Czy mogłabym u pani wypożyczyć „Poczet królów polskich”?

— Ale tylko do czytania na miejscu.

— A Jerzego Tereja „Na rozstajach dróg”?

— Nie ma.

— Jerzego Korczaka „Cóż ty za pani...”?

— Nie ma.

— Carlosa Bekerę „Ernest Hemingway”?

— Nie ma.

— Jarosława Iwaszkiewicza „Ślawę i chwałę”?

— Nie ma.

— Dłogi-Mostowicza „Kariere Nikodema Dymy”?

— Nie ma.

— Nie ma dlatego, że w czytaniu, czy w ogóle nie ma w księgozbiorze?

— Przede wszystkim dlatego, że w czytaniu.

— Co więc robi czytelnik, kiedy nie może otrzymać żądanej książki?

— Zapisuje się do kolejki i czeka.

— Ile egzemplarzy „Pocztu królów polskich” posiada pani w bibliotece?

— Jeden.

— I to wystarczy?

— Tak. W naszej czytelnicy akurat ta książka nie cieszy się największym powodzeniem.

— A które książki cieszą się powodzeniem?

— Powieści Ignacego Kraszewskiego, Muskat-Fleszarowej, Irwina Shawa, Jarosława Iwaszkiewicza.

— Ile egzemplarzy „Chwały i sławy” ma pani?

— Dwa.

— I to wystarczy?

— Musi.

— Dlaczego?

— Powodów jest kilka. Właściwie, jak powiem pierwszy, to może się wydawać, że to już wystarczy. Ale tak nie jest. Więc po pierwsze — mam w ciągu roku na zakup książek tylko 20 tysięcy złotych. Z tego już wydałam 11 tysięcy złotych. W ubiegłym roku wzięłam na kredyt — za zgodą moich władz oczywiście — książek za 4 tysiące złotych. Mam już ma, a ja do końca roku mogę kupić książek już tylko za 5 tysięcy. Przypuszczam, że w lipcu skończą mi się pieniądze na kupno książek i wszystko, co ukaże się z nowości jesienią, będzie poza moim zasięgiem. Chyba, że otrzymam dofinansowanie — lub — jak w roku ubiegłym — zgodę na kupno na kredyt.

Drugi powód jest też prozaiczny. Nawet gdybym miała znacznie więcej pieniędzy, to moje możliwości kupowania książek też byłyby ograniczone. Po prostu biblioteka jest mała. Mam w niej 14,5 tysięcy woluminów. Rocznie dochodzi około 900. Trochę oddajemy do magazynu, trochę kasuje się ze względu na całkowite „zaczynanie”. I posiadanie jednego tytułu w kilku lub kilkunastu egzemplarzach byłoby dla nas nieosiągalnym luksusem.

— Ale z korzyścią dla czytelników.

— Na pewno. Proszę jednak pamiętać, że książki dziś wychodzą w niewielkich nakładach, a ja mogę zaopatrywać się w jednej małej księgarni. No i poza tym książki stają się coraz droższe.

— Czy zawsze miała pani tak mało pieniędzy na kupno książek?

— Nie. W 1978 roku miałam 40 tysięcy złotych, doszły do tego jeszcze zakupy centralne, tak, że w sumie biblioteka kupiła za przeszło 40 tysięcy.

— Czy przy kupnie książek kieruje się pani gustami swoich czytelników, czy zaleceniami bibliotek nadzórnych?

— Przede wszystkim „Zapowiedziami Wydawniczymi” i możliwościami księgarni. Przecież nie wszystkie księgarnie w Łodzi otrzymują takie same książki i w takiej samej ilości. Niektóre pozycje w mojej księgarni w ogóle nie ma. Inne zaledwie w kilku egzemplarzach. Pewnie, że biorę pod uwagę zalecenia biblioteki dzielnicowej, czy im. Ludwika Waryńskiego. Ale zalecenia są weryfikowane przez to, co

jest w księgarni i to, czego poszukują w mojej bibliotece moi czytelnicy.

— Czy zdarzają się pani zakupy chybione?

— Oczywiście. Co roku robimy selekcję, wynotowujemy książki, których nikt nie czyta i po pięciu latach odsyłamy je do magazynu.

— Jak to są książki?

— Sporą pozycję z literatury społeczno-politycznej. Książki z tej dziedziny najszybciej starzeją się, dezaktualizują. Popularnością nie cieszą się debiuty i tłumaczenia mało znanych zagranicznych autorów.

— I co się z tymi książkami dzieje?

— Albo idą do innych bibliotek, albo czekają na swój czas. W bibliotekarstwie są też mody. Ustanawiają je na ogół czytelnicy, ale czasami dyktuje je telewizja, kiedy rozpoczyna

— Nie. Tylko od zamiejscowych, którzy są tymczasowo w Łodzi. Ale czasem kaucją muszą postraszyć amatorów łatwego zdobycia książki.

— Co pani wie o swoich czytelnikach?

— I dużo i mało. Wiem na przykład, że 11 procent z nich nie ma jeszcze 20 lat, 35 procent nie ukończyło 30 lat, reszta, to jest 54 procent jest już po trzydziestce. Większość są to już ludzie dojrzały. Wiem jeszcze, że 30 procent czytelników to pracownicy fizyczni, 29,7 proc. — to pracownicy umysłowi, 19 proc. — uczniowie i studenci, 21 proc. — emeryci.

Ten dane potwierdzają obserwacje o statystyce upodobań. Wszelkie próby zainteresowania szeroko rozumianą literaturą współczesną na ogół nie znajdują uznania. Ludzie ma-

W KOLEJCE PO KSIĄŻKĘ

Rozmowa z ELŻBIETĄ CZARNECKĄ — kierowniczką 1 Rejonowej Biblioteki Publicznej Łódź — Górna

emisję adaptacji jakiegś powieści. A jeśli jeszcze jest to serial, to wszyscy chcą zaraz poznać oryginał. To samo jest z filmową ekranizacją powieści.

Poza tym debiutanci dojrzewają, wydają następne książki, zdobywają popularność i pojawia się zainteresowanie wcześniejszymi książkami tego autora. Podobnie bywa z tłumaczeniami mało znanych autorów.

— Ale powiedziała pani, że zdarzają się książki zupełnie zaczytane. Co robicie z nimi?

— Nasza biblioteka dzielnicowa organizuje giełdy starych książek. Ludzie je kupują. Chcą tę czy inną książkę mieć u siebie.

— Ale to zubaża księgozbiór.

— Bardzo. Tylko, że na to nie ma rady. Cierpliwie czekamy na wznowienia. Ja na przykład czekam teraz na ukazanie się dzieł Jana Kochanowskiego. W bibliotece nie mam już prawie książek Kochanowskiego. Jakies drobniaki ze szkolnych lektur, dwa czy trzy egzemplarze wydań przedwojennych.

— Co jeszcze według życzeń pani czytelników należałoby pilnie wznowić?

— Oczywiście „Przeminęło z wiatrem”. Na ekranach jest przecież film na tej książce oparty.

— Zadowolona jest pani ze swoich czytelników?

— Tak, choć nie jest z nimi łatwo.

— Czym najbardziej pani dokuczają?

— Tym, że nie oddają książek. Zdarzają się i tacy, którzy przychodzą zapisać się do biblioteki, aby położyć jakąś książkę, nie oddać jej i zapłacić karę. Niedawno przyszedł pan, który chciał zapisać się do biblioteki, bo chciał położyć „Ojca chrzestnego”. Od razu mi się nie podobał. Powiedziałam więc, że za tę książkę trzeba zapłacić kaucję. — Ile — zapytał. — Trzykrotną wartość — powiedziałam. Coś sobie policzył i oświadczył mi, że to się i tak mu opłaci, bo na bazarze „Ojciec chrzestny” kosztuje 400 złotych. Książki oczywiście nie dostał.

— Czy rzeczywiście bierze pani kaucję za wypożyczenie książki?

ją swoje upodobania, swoich ulubionych autorów i o innych nie chcą słyszeć.

— A młodzież?

— Młodzież ma już inne zainteresowania. Po części kieruje się tym, co wynika z programu nauczania, ale szuka też literatury współczesnej, sięga po tłumaczenia, po książki popularnonaukowe.

— Czy jest pani w stanie sprostać ich wymaganiom?

— Po części. Innych odsyłam albo do biblioteki dzielnicowej, albo do bibliotek naukowych.

— Od ilu lat pracuje pani w bibliotekarstwie?

— Od jedenastu.

— Czy w ciągu tych lat — według pani obserwacji — czytelnictwo wrasta, czy spada?

— Nie chciałabym sięgać tak daleko w czasie, bo pamięć jest zawodna, trzeba byłoby oprzeć się na danych, porównać je. Mogę jednak powiedzieć, że na podstawie moich obserwacji w ostatnich dwu latach czytelnictwo zauważalnie obniżyło się. Jeśli chodzi oczywiście o moją bibliotekę.

— Czym pani to tłumaczy?

— Ludzie — jak to się mówi popularnie — idą na łatwiznę. Sporo czytelników odbiera telewizja.

— Ale przedtem powiedziała pani, że telewizja i film rozbudzają zainteresowania książką.

— Tu nie ma sprzeczności. U jednych rozbudza, innym wystarczy zamiast książki. Chodzi tylko o to, których jest więcej.

— Okazuje się, że tych, którym telewizja wystarcza zamiast książki.

— Tak się wydaje, ale te obserwacje musiałyby być potwierdzone przez wnikliwe badania.

— Czy w pani bibliotece ludzie interesują się czasopiśmami?

— Tak. Ale w ograniczonym stopniu. Mamy tylko 35 tytułów czasopism, w tym nasze zawodowe. Poza tym czytelnia jest mała. Gdy organizujemy jakieś spotkanie, bywa i



„W bibliotekarstwie istnieją też mody. Ustanawiają je na ogół czytelnicy, ale czasami dyktuje je telewizja, kiedy rozpoczyna emisję adaptacji jakiegś powieści”.

Foto: R. Łucyszyn

tak, że ludzie siedzą na schodach, stoją po kątach.

— Dlaczego jest tylko tyle czasopism?

— Nasze możliwości są limitowane funduszami i wielkością czytelnicy.

— Czy mimo tych różnych kłopotów jest pani zadowolona ze swego zawodu?

— Tak. Nie wyobrażam sobie, abym mogła robić coś innego. Studiuję zresztą bibliotekarstwo. Jestem już na trzecim roku. Tak więc z bibliotekarstwem związałam się na zawsze.

— Kto pani dostarcza paczki z książkami i księgarni do biblioteki?

— To, wie pani, bardzo różnie. Czasem sama przynoszę. Czasem mąż przywozi. Czasem pomagają czytelnicy.

— Nie ma pani kłopotów ze sprzątaniem biblioteki?

— Kto ich dziś nie ma. Brakuje sprzątaczek.

— Zdarza się więc pani i samej posprzątać bibliotekę?

— Czasem trzeba.

— Jaka marzyłaby się pani biblioteka?

— Duża, przestronna, z łatwym dojściem do książek, z jasnymi, przestronnymi czytelniami, z pięknym księgozbiorem.

— Czy uważa pani, że sieć bibliotek na Górnym jest wystarczająca?

— Kiedy zaczęłam tu pracować było 11 bibliotek rejonowych, teraz jest ich 22, do tego punkt biblioteczny w ośrodku rehabilitacyjnym na ul. Popioły i „zielona biblioteka” na Stawach Stefanańskiego. Wiele z nich mieści się jednak w ciasnych lokalach, ale mimo to pokrywa chyba potrzeby. Z wyjątkiem może rejonu Czerwonego Rynku.

— Czy zadowolona jest pani z roli, jaką spełnia pani biblioteka?

— Wiem, że jestem tu potrzebna ludziom, ale nasza biblioteka mogłaby zrobić znacznie więcej, gdybyśmy miały ku temu odpowiednie warunki.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

RECENZJE

„Wciąż kwitnie w pojęciach o sztuce zwariowany purytanizm nie tylko jako postawa nauczycieli żądających, aby sztuka była „wartościowa”, ale również na wyżynach świata akademickiego wśród owych ideologów,

Gdybyśmy musieli usprawiedliwiać wszystkie nasze trywialne, głupie przyjemności, doprawdy nie mielibyśmy łatwego zadania.” Tę opinię znakomitego amerykańskiego krytyka filmowego, Pauline Kael, wybrałam jako motto poprzedzające garść uwag poświęconych filmowi, wobec którego owo wspomnienie przez Kael usprawiedliwianie się z doznanych przyjemności byłoby tak trudne.

Wiadomo zatem, że będzie mowa o szlagierze szlagierów książkowych i filmowych, czyli „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell i Victora Fleminga. Filmowa wersja bestselleru pani Mitchell powstała w 1939 roku jako kolejna realizacja stworzonej w Hollywood przez Cecile B. De Mille’a formuły wielkiego widowiska. Według recepty De Mille’a w owym epickim, olśniewającym przepychem widowisku najważniejszym elementem jest jednak intrygująca akcja — konfliktowe spiecia, momenty walk, klęsk żywiołowych oraz katastrof spowodowanych przez ludzi, a nade wszystko dramat, w którym główną rolę gra miłość nie w swej wyidealizowanej, lecz pełnej namiętności i seksu wersji.

Powieść Margaret Mitchell spełniała zatem wszystkie warunki określające sukces tego typu kina. Jej adaptacja dokonana przez Victora Fleminga z udziałem wielkich gwiazd ówczesnego filmu (Vivien Leigh, Olivia de Havilland, Clarke

Gable, Leslie Howard) przyciągała, jak wykazały następne dziesięciolecia, wszystkie sukcesy takich filmów mistrza gatunku, jak „Król królów”, „Dziesięciorgo przykazań” czy „Samson i Dalila”.

„Przeminęło z wiatrem” wytrzymało konkurencję nie tylko z widowiskami swoich czasów. Dzielnie plasowało się i plasuje w czołówce najbardziej kasowych filmów w dziejach kina, a więc w czasach późniejszych, gdy formułę wielkiego widowiska ciągle przebudowywano, wykorzystując ją dla rozmaitych gatunków filmowych, takich jak film muzyczny, wojenno-przygodowy, katastroficzny i fantastyczno-naukowy.

Można zaryzykować przy tym twierdzenie, że to nie rok 1967 zdecydował o nowej, wielkiej szansie tego filmu i przedłużył jego ekranowy żywot. W tym roku do technicy z Metro Goldwyn Mayer wypuścili na rynek jego szeroko- i wieloekranową na 70 mm taśmę, wersję. Przekształceniu uległ także dźwięk, przydano mu stereofoniczny kształt, a za pomocą specjalnych filtrów i kopiarek poprawiono wyblakłe kolory. Przypuszczam, że przypominając owa datę 1967 roku rozczarowuje nieco naszych widzów, uświadamiając im, że to, co oglądaliśmy w tym sezonie, to nie cud najnowszej techniki, ale na światowym rynku także starą, już rzecz. Nie ma to jednak, jak zostało to powiedziane wyżej, większego znaczenia.

„Przeminęło z wiatrem”, w swej technicznie klasycznej wersji, poprzednią swą premierę w Polsce miało w roku 1963, a więc tuż przed nadaniem mu nowoczesnego kształtu. Cieszyło się wówczas niebywałym sukcesem. Jestem przekonana, że gdyby obecnie wyświetlano go także w jego starej wersji, widzów w kinie byłoby równie wielu. Dziś też nikomu nie przeszkadza, że ogląda zdarta, zniszczoną kopię, że wysiłki mistrzów techniki z Hollywood nie zdołały zniwiecyć wrażenia zbyt dużej złośliwości i zachować pełną kompozycję pierwotnego obrazu.

Piszę te słowa w dniu, w którym „Przeminęło z wiatrem” zeszło z oficjalnego ekranu kina „Bałtyk”. Grano go w dniach: 28 lutego — 13 maja. Dwuseryjny film obejrzało 150.622 widzów, ze cenę biletów powszechnie znaną. Przez dwa i pół miesiąca ciągnęły do kina wyścieszki romansowe, rodzinne i zakładowe. Działy społeczne wielu instytucji naszego miasta rozwinęły problem wydatków na cele kulturalne.

Czy były to sumy wydane godziwie? Jeśli przywołać jeszcze raz opinię Pauline Kael, to tak: nie zaproponowano ludzdom wielkiej sztuki, ofiarowano im jednak przyjemność. I bardzo dobrze, choć skądinąd dobrze by też było, gdyby tak szeroka społeczna inicjatywa realizowała się także wówczas, gdy chodzi o cele wyższego rzędu.

Wróćmy więc do przyjemności, czyli tajemnicy sukcesu. W swej prostocie jest ona nie do rozwiązania. Po prostu tak w książkowej, jak i filmowej wersji „Przeminęło z wiatrem”, odwołując się do motywów, które nie tylko wyrażają, ale i pobudzają stany emocjonalne, a więc te wartości, których człowiek świadomie czy podświadomie zawsze szuka. Tak, znamienne dla widowiska filmowego procesy projekcji i identyfikacji znajdują w „Przeminęło z wiatrem” swą wyjątkową szansę.

Wynika ona, jak się zdaje, ze szczególnie udatnej kumulacji fabularnych zdarzeń i konfliktów oraz z precyzyjnie a kontrastowo zbudowanych cech charakterologicznych bohaterów.

To, że motywem głównym, spajającym wydarzenia i losy postaci, jest miłość, nie jest niwelowane, ni w literaturze, ni w filmie niczym szczególnym. Sukces wspomnianego tu filmu wynika jednak z faktu, iż w kontakcie z jednym dziełem widz ma szansę przeżyć kilka wyobrażeń miłości, wyobrażeń mających mityczny charakter. Jest w „Przeminęło z wiatrem” miłość spokojna i miłość namiętna, miłość szalona i miłość niemożliwa. Gdy w życiu tak trudno przeżyć jeden choćby tylko jej wariant, gdy w kulturze naszej, miłość staje się zjawiskiem tak rzadkim, z tym większą radością przyjmuje się ową kompensację, silniejszą w kinie, dzie-

FILM

ki wspomnianym wyżej psychologicznym procesom.

Znali te prawa ludzie kina od początków jego dziejów. Trudno się więc dziwić, że podbudowując w „Przeminęło z wiatrem” wątki miłości, wojny, pracy, ukochania ziemi i pogoni za pieniądzem atutami wspinał się na wyżyny, znakomicie wobec wymagań gatunku aktorstwa, precyzyjnie ówczesnej reżyserii, zdołał w owym 1939 roku zrobić film, który nie chce się zesterzać.

Gdy bardziej zdystansowany wobec cech właściwych melodramatowi widz, nie potrafi poddać się jego magii emocjonalnej, to już jego sprawa. Prawdziwy miłośnik kina, także ten zdystansowany, znajdzie w „Przeminęło z wiatrem” jednak walory, które nie pozwolą mu się nudzić. Zaduma się bowiem nad urodą, w gracie rzeźby starego kina, rozszyfrować będzie rządzące nim reguły gry, smakować będzie grę aktorów, będących dziś już legendą kina. A gdy na dodatek uświadomi sobie, że spośród aktorów czwórki wśród nas została tylko piękna, a bardzo dziś już starsza pani, Olivia de Havilland, zamyśli się zarówno nad trwałością mitów jak i niemiernością ludzkich marzeń i emocji.

EWA NURCZYŃSKA

WŚRÓD MITÓW I MARZEŃ

którzy mają za złe, że szmira sprawia nam przyjemność, jak gdyby ta przyjemność odciągala nas od naprawdę przejmującej gniewnej sztuki naszych czasów i jakoś nas niszczyła.

POEZJA

Aleksander Migo (ur. 1946) jako student związany był z działającą na terenie Lublina grupą poetycką „Samsara”. Debiutował wierszem na łamach „Kamieny”, swoje utwory publikuje dość regularnie w „Życiu Literackim”, „Poezji”, „Miesięczniku Literackim”.

Tytuł jego debiutanckiego tomiku jest prowokacyjnie mylący — ten poetycki sezon dopiero się właściwie rozpoczyna. Sprawa pierwsza, która rzuca się w oczy czytelnikowi „Monologu po sezonie” jest wyraźna dbałość o formalny kształt, poezję Migi wypełnia „wartki prąd myśli”, a jednocześnie troska, by kolejność słów w precyzyjnie oddawała kolejność rzeczy. Nieczęsto to objaw wśród dzisiejszych debiutantów, wolą oni poezję zdecydowanie amorficzną, poszarpaną, często uduziwnioną. U Migi jeśli znajdzie się uduziwienie — to w metaforyce, ten poeta zdaje się cierpieć na — jak na dzisiejsze stosunki — hipertrofię metafor, na ich przerosł. Z czego zdaje sobie sprawę, w wierszu „Zwierzyńcie” na przykład wyznaje, iż skaczą mu one wprost do gardła. W tym też dostrzegamy szansę swej poezji: w metaforycznym przewyższeniu obiegowych rozpoznah i banalnych prawd, w poetyckim demaskowaniu kłamstwa, które „od początku świata jest solą ziemi i chlebem powzednim”. Proces poznawczy, niekiedy bardzo żywiołowy, gwałtowny, owo demaskowanie, pokazywanie jak na dłoni kłamstwa świata realnego, opiera się w utworach Migi bardziej na intuicji niż doświadczeniu czy racjonalizmie, na wierze w bezkompromisową ostrość i trafność artystycznego odczuwania. Ta-

ka twórczość jest jak „piosenka, która u-
sta spieczę” — wyznaje poeta.

Sporo jest w „Monologu po sezonie” sensualistycznych figur, po prostu stano-
wią one wyraźną próbę „oddzielenia ziar-

ożyć nam tylko na zdrowiu nie zapadł
i nie chodź lasem już ci się przydarzy
że ziemia nagle pod podeszwą pęknie
i żona szepnie arturze jak pięknie
leżą do dzisiaj w dziwnej białej kości
to chyba nasi zobacz jeszcze guzik
niby na mustrze lśni po tylu latach
to romantyczne ta polana w kwiatkach
ach ja się wzruszam podaj rękę zuzi

KOLEJNOŚĆ SŁÓW I RZECZY

na od zapachu liter”. Ale nic z tego nie
wychodzi, boć przecież współczesny poeta
„donos i epos jednym pisze piórem”. Cóż
zatem pozostaje? Sarkazm, ironia, spoj-
rzenie przez okulary turpisty. I jakby za-
biłkana patriotyczna strofa, lecz ostra,
gryząca:

Aleksander Migo chce, przynajmniej od
czasu do czasu, świat rozpoznawać. Ale
nie dąży do jego uporządkowania. Jako
artysta chłonie rzeczywistość i wyrzuca
następnie z siebie erupcje wzruszeń, go-
rączkowych wyznań, okrucichów drwiny,
niepokoju, gorzkiego śmiechu — on, oby-
watel tej ziemi „gnojeń tułaczki lirycz-
nej”.

Autor „Monologu po sezonie” jest jed-
nak poetą przewrotnym — ludzi nadziei
ukazania wreszcie prawdziwej kolejności
słów i rzeczy, lecz sam nie
bardzo zda się wierzyć w możliwość zre-
alizowania takiej zapowiedzi. Niekiedy
wymknie mu się nawet przestroga — w
wierszu „U nas nad ranem” powie: „zno-
wu poeta pięknie cię oszwał”... Wszela-
ko nie jest to kpina celowa, raczej przy-
znanie się do kłopotów z realizacją za-
miaru pokrycia kolejności rzeczy kolej-
nością słów.

Słowem poeta kontrastów, poeta żywio-
łowy, zmysłowy i szyderczy, ale prze-
cież i wzruszający.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Aleksander Migo, *Monolog po sezonie*,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979,
nakład 1000+180 egz., str. 87, cena zł 10.—

TELEWIZJA

W każdej instytucji przychodził
takł dzień, kiedy zjawia się ko-
misja i podejmuje działania in-
wentaryzacyjne. Rozgląda się, li-
czy biurka, fotole i obrazki na
ścianach. Sporządza protokoły zu-
życia i opisuje w księgach stan
posiadania. Ponieważ i mój „Od-
głosowy” felieton jest taką,
skromną bo skromną, ale insty-
tucyjną dialogu z telewizjami i te-
lewidzami, postanowiłem powołać
siebie na inwentaryzatora i zro-
bić małe podsumowanie. Powody
są przynajmniej dwa: po pierw-
sze, czwarty, olsztyński Festiwal
Twórczości Telewizyjnej; po dru-
gie fakt, że już od roku (mało
to, czy dużo?) usiłuję towarzys-
zyć, na dobre i na złe, progra-
mowi naszej „najlepszej na świe-
cie” telewizji. Zdając sobie sprac-
ję jak kłopotliwe są inwentary-
zacje, postaram się tę dzisiejszą
rychło zakończyć nie będąc stre-
szezai dotychczasowych felieto-
nów, wedle porządku „mądrej
głowie dość dwie słowie”. Ale do
paru spraw powrócę.

Rok temu pisałem o tym, iż
telewizja, zadufana w swoją po-
tęgę i kulturalny monopol (jeśli
przesadzam, to niewiele) nie dba
o kształtowanie świadomości i
odpowiedzialnego odbioru swoich
programów, że informacja o nich
ogranicza się do maksymalnie u-
proszczonego zapisu, że „Radio i
Telewizja” jest najbardziej sta-
roświeckim (na tle naszego cza-
sopiśmiennictwa) przykładem for-
mularza, który już przed laty
stracił swoją aktualność, że od-

tytuły dla których telewizja wła-
śnie, stworzyła szansę oryginal-
nego kształtu artystycznego. Zre-
szą, aby nie wdawać się w dal-
szą argumentację: telewizja mo-
że jednocześnie upowszechniać
sztukę teatralną — sięgamy za-
tem częściej do repertuaru teat-
rów w Polsce i przenosimy na
mały ekran co wybitniejsze rea-
lizacje, tak jak to było w przy-
padku „Największej świętości”
czy „Wyzwolenia” — ale i (to
obowiązek pierwszy) wprowadzać
dramat z wykorzystaniem tego
wszystkiego, co dają techniczne
i artystyczne (podkreślam: arty-
styczne!) możliwości telewizji.

O polityce repertuarowej tele-
wizyjnego kina tylko dwa zda-
nia: redakcja Jacka Foksiewicza
dobrze zabiega o samopoczucie
kinomanów, nie tracąc jednocześ-
nie z oczu problemów tzw. kul-
tury filmowej. Tu zawsze można
liczyć na interesujące inicjatywy.
Dużo gorzej rzecz przedstawia
się z własną produkcją. Nagro-
dzony serial „Gazda z Diabelnej”
i skromniej w Olsztynie uhono-
rowany film Petelskich „Na wła-
sna prośbę” jakby zapowiadały
zmiany na lepsze.

Publicystyka kulturalna: tu
znakomity Dziennik TV (liczne
nagrody i wyróżnienia) w sposób
wartościowy i konieczny rywa-
lizuje (skutecznie) z „Pegazem”,
który zapatrzony w swoją trady-
cję programową, już dawno za-
przepaścił swoje informacyjne
i poznawcze walory. W sposób
widoczny istnieje w tv muzyka,
plastyka. Ważkim punktem pro-
gramu TVP od pewnego czasu
jest blok „Tylko w niedzielę”,

DZIŚ

INWENTARYZACJA

bija się to negatywnie na stanie
krytyki telewizyjnej, z niele-
nymi wyjątkami laurkowej i o-
kazjonalnej. Dotąd nic w tym za-
kresie się nie zmieniło i trudno
przypuszczać — znając stan na-
szej poligrafii oraz papieństwa
— aby w najbliższej przyszłości
było inaczej. Choć jak sądzę wy-
starczyłoby inicjatywy w ramach
istniejących możliwości, a że one
są, świadczy po dziś dzień sprze-
dawany w formie książkowej
serial „Życie na gorąco”.

Wielokrotnie pisałem o pro-
gramowej koncepcji teatru tele-
wizyjnego. A to o polityce repertua-
rowej — że przypadkowa, a to o
jego kształcie inscenizacyjnym —
że uparcie wtórny i eklektyczny,
a to że uwikłany w ekstrema a-
wagardii i wyblakłych kome-
dyjek. W dalszym ciągu nie-
zbędna jest jasna odpowiedź,
czy ma to być teatr w telewizji,
czy teatr telewizyjny. Taka od-
powiedź już padła przy okazji
jakiegoś olsztyńskiego reportażu.
Przyznam się, że wysłuchałem
jej nie bez dezorientacji. Otóż
panowie dyskutanci, zgodnie jak
jeden, zaprzeczali istnienia
jakiegokolwiek oryginalnej for-
muły widowiska telewizyjnego,
przeznaczając dla sceny ponie-
działkowej wyłącznie funkcje u-
powszechniania sztuki teatralnej
i znakomitych kreacji aktorskich.
No jeśli tak, to nie ma o czym
mówić. Ale, paradoksalnie, gdy
przychodzi wyliczyć najwybit-
niejsze sukcesy teatru TVP, to
wymienia się i nagradza „Noc
listopadową”, „Czarownice z Sa-
lem”, „Makbeta” itd., a zatem

emitowany w obu programach,
co stwarza szansę większego wy-
boru, w zależności od zapotrze-
bowania i upodobań widzów.
Gdyby to był początek, pełniej-
szej realizacji samodzielności i
odrębności obu programów,
pierwszego i drugiego. Literatu-
ra wciąż na marginesach. Choć
odbyło się znów jakieś spotka-
nie literatów i telewizyjnych
sponsorów („w dyskusji nie za-
brakło i ocen krytycznych —
jak brzmiał komunikat). Pukaj,
a będzie ci otworzone. Oby.

Ostatni przykład programu
rozrywkowego „Nowak Show”
zwala mnie od jakichkolwiek
uważ. Cieszę się natomiast, jak
wszyscy, że Rudi i jego brata-
nek wyszli cało z zamachu ja-
kim ich zbrodnico zaskoczył
Falconetti. Jednak rozwój fabu-
ły „Pogody dla bogaczy” wska-
zuje, że jeszcze w niedłuzo so-
botni wieczór będziemy drzeć o
losy naszych ulubieńców. Tak,
jak przestaliśmy drzeć o naszych
biało-czerwonych w Wyścigu Po-
koju. Telewizja nam w tym
skutecznie pomaga. W niedziele,
w tym czasie gdy kolarze tracili
(obym się mylił) „cenne sekun-
dy” w jeździe indywidualnej na
czas, oglądaliśmy przecież w
programie drugim film Fritza Lan-
ga „Jestem niewinny” ze Spen-
cerem Tracy. Film okazał się
powtórką, a po nim Widzew
przegrał mecz z krakowską Wi-
słą. Gdyby Boniek stanął na
bramce, wynik może byłby ko-
rzyśtniejszy...

GRZEGORZ GAZDA



JÓZEF MICHULEC — „Seans”, litografia, 1979 r.

Ex-LIBRIS ODGŁOSÓW



Bohater Claessona, jedyny wrażliwy na ludzki los spośród wie-
lu obojętnych, śpieszy z pomocą człowiekowi w potrzebie — sta-
remu i bezradnemu. Sposób, w jaki to robi, budzi nasz sprze-
ciw i bunt, wydaje nam się okrutny i niehumanitarny. Jesteśmy
zaskoczeni i zdumieni. I właśnie o taką reakcję czytelnika pi-
sarzowi chodziło. Chce wyrwać ludzi ze zobojętnienia, sprowo-
kować ich do zastanowienia się nad wartością ludzkiego życia, u-
czuć rodzinnych.

Interesująca jest konstrukcja powieści. Od sielskich obrazków
wsi swędzkiej, uroczych spotkań z dziewczyną, zabaw w ka-
wiarni, aż po morderstwo, napięcie nieznaczące, ale jednak od-
czuwalnie narasta. Przy ciągłym tak samo wolno posuwającej się

PO LIŚCIACH PALMOWYCH I RÓŻACH

Znana w Polsce mikropo-
wieść Stiga Claessona „Kto
kocha Yngvego Freya?”
przedstawiająca los ludzi
starych, skazanych z ra-
cji wieku, przeobrażeń
cywilizacyjnych w otacza-
jącym ich świecie i zani-
ku tradycyjnych więzi ro-
dzinnych — na bezczyn-
ność, pustkę i osamotnie-
nie, jest jakby wstępem
do powieści „Po liściach
palmowych i różach”. W
niej również, tak jak w
poprzedniej, problemem
centralnym jest samotność
starego człowieka, tyle że
przedstawiona dużo ost-
rzej i brutalniej.

akcji i bez specjalnych efektów stylizacyjnych czytelnik wyczu-
wa czającą się groźbę i nieuniknioną śmierć.

Stig Claesson, „Po liściach palmowych i różach”, przekład: Karol
Sawicki, Czytelnik, W-wa 1979, str. 148, cena zł 20.—

JEJ PIERWSZY BAL

Katherine Mansfield (właściwie Katherine Beauchamp, urodzo-
na 14.10. 1888 roku w Wellington, w Nowej Zelandii, zmarła 9.01.
1923 roku w Fontainebleau koło Paryża. Pisarka angielska, stu-
dowała w Londynie literaturę i muzykę. Chora na gruźlicę, ku-
rą część życia spędziła w sanatoriach, w miejscowościach kura-
cyjnych. Debiutowała w roku 1911 tomem nowel, w tym także ro-
ku nawiązała współpracę z czasopiśmem literackim „Rhythm”, re-
dagowanym przez Johna Middletona Murry'ego, którego poślubiła
w 1918 roku, i w którym znalazła opiekuna, krytyka i wydawcę.
Przyjaźniła się z wieloma pisarzami, m.in. z A. Huxleyem i D. A.
Lawrence'em. Drugi tom opowiadań, który w Polsce ukazał się
pod tytułem „Upojenie”, był wydany w roku 1921, a trzeci — w
rok później. Po jej śmierci opublikowano dwa dalsze tomy —
nowel oraz listy i dziennik.

Katherine Mansfield ma niewielki dorobek pisarski, ale to, co
w swym krótkim życiu stworzyła, zajmuje znaczącą pozycję w
literaturze światowej. Opowiadania zawarte w tomie „Jej pier-
wszy bal” są opowiadaniem o kobiecie. O kobiecie w różnym
wieku; młodziutkiej dziewczynie wchodzącej w świat, mężatce
rozpoczynającej małżeński staż, dojrzalej kobiecie. Wszystkie no-
wele przedstawiają sytuacje bardzo ważne dla ich bohaterek.
Decydują się w tych opowiadaniach dalsze losy ich bądź ich ro-
dzin. Stają w nich przed jakimś problemem, którego przekroczenie
zdecyduje o ich życiu. Każde z tych opowiadań charakteryzuje
się świetną znajomością psychologii, głębokim humanizmem, u-
miejętnością oddawania nastroju i wydobycia uroku i piękna
z rzeczy powszednich. Poza tym pisane są pięknym językiem.

Katherine Mansfield, „Jej pierwszy bal”, przekład: Bolesława
Kopelówna, KiW, W-wa 1980, str. 113, cena zł 10.—

BARIERA

Paweł Weźninow (ur. 1914) jest wybitnym prozaikiem bułgarskim,
debiutował w roku 1938 tomem opowiadań o tematyce obyczaj-
owej. W czasie II wojny światowej był korespondentem wojennym
i doświadczenia z tych lat stały się tematem wielu jego później-
szych utworów. Ma w dorobku liczne tomy opowiadań i powie-
ści. Weźninow należy do najpopularniejszych z granicy pisarzy
bułgarskich. Również w Polsce w 1970 roku ukazał się wybór je-
go opowiadań „Zapach gorzkich migdałów”, a w roku 1977 „Nocą
z białymi koniami”.

„Bariera” jest powieścią nieco nietypową w twórczości Weźni-
owa. Jej akcja jest nieco odrębną, chociaż wszystko zaczyna
się niby banalnie. Starszy mężczyzna, kompozytor, rozwiedziony,
poznaje w barze młodą dziewczynę. Dziewczyna wprasza się do
niego na noc. Ale w tym miejscu banal się kończy. Dziewczyna
okazuje się być pacjentką szpitala psychiatrycznego. Choroba, na
którą cierpi, nie jest groźna dla otoczenia. Dziewczyna w szpi-
talu przeżywa na zasadzie dobrowoli, może wychodzić kiedy
chce i pracować w mieście. Bohater powieści, Manew, znajduje
tej pracę w wydawnictwie muzycznym, dziewczyna z nim miesz-
ka. Powoli przyzwyczajają się do siebie, zaczynają się kochać.
Dziewczyna jest cicha, spokojna, pogodna, ma fenomenalną pa-
mięć, sprawia wrażenie zupełnie zdrowej. Posiada jedynie drobne
dziwactwa, które przy odrobinie dobrej woli można wziąć za wy-
twory fantazji.

Od momentu, kiedy bohaterowie uświadamiają sobie, że się ko-
chają, dziewczyna zaczyna w swój chory świat wciągać mężczy-
znę. Powoli i on zaczyna wierzyć w wiele rzeczy, o których ona
mówi. Zaczyna je nawet przeżywać, wierzy na przykład, że po-
trafił latać. Zamykają się we własnym świecie, przestają spoty-
kać się z ludźmi, dziewczyna przestaje się leczyć.
Jest to historia niby typowa, a jednak jej tragizm zakłada-
nie uświadamia czytelnikom, jak wielka jest odpowiedzialność
moralna za los i życie człowieka, z którym się związaliśmy.

Paweł Weźninow, „Bariera”, przekład: Ewa Lenart, PIW, W-wa
1980, str. 116, cena zł 20.—

Dalszy ciąg ze str. 1

— Nie jest — powiedział — nie odpoczywać, tylko zostawić bagaża i do dzieła.

Wyszliśmy więc na ulicę i zaczęliśmy się pod górę drogą, którą wskazywały nam trzy dorodne Andaluzjki. W słońcu, które grzało nie miłosiernie, aczkolwiek był już listopad, droga wydawała się tak piękna jak męcząca, wreszcie przecież znaleźliśmy się na miejscu.

Jest stare andaluzyjskie porzekadło: „Quien no ha visto Granada, no ha visto nada” (kto nie widział Granady, nie widział nic). Co do samej Alhamby, stanowiącej, jak twierdzą znawcy, jedno z największych dzieł sztuki wspaniałych, była sławiona tyle już razy i przez tak wielkie pory, że nie czuje się na siłach powiedzieć nic oryginalnego. „Każdy — jak pisze Roman Dobrzyński — centymetr murów jest dziełem sztuki. Alhambra charakteryzuje się fantazją, niezwykłym bogactwem dekoracji wewnątrz i lekkością konstrukcji, jak gdyby unoszącej się na smukłych galeriach kolumn. Napis wokół fontanny podtrzymywanej przez kamienne lwy (Patio de los Leones) zapytuje: „Czy to woda skamieniała, czy marmur płynnie strumieniem?”

Ze Złocistego Wzgórza, na którym usytuowana jest od osmiu wieków Alhambra i królewskie, również wzniesione przez Maurów, Ogrody Generalife (z dołu widać to wszystko na tle dalekiej, ośnieżonej Sierra Nevada), można śledzić zakola rzeki Darro. Za rzeką, izolując się jakoby od zasadniczej części miasta, bieleją na innym wzgórzu jakieś grotty, piecizary, resztki jakiegoś muru i niewielkie, wylizane wapnem, rozciągnięte na znacznej przestrzeni domki.

Kiedyś poszliśmy tam wieczorem, okazało się, że jest to sławne, opisywane przez Garcíę Lorqué, Sacromonte, uboga dzielnica Cyganów. W grotach i mieszkaniach prywatnych brzęczało flamenco, mezczyźni grali na gitarach, klaskali i śpiewali, kobiety tańczyły podzwaniając kastanietami. Postanowiliśmy wrócić tam nazajutrz, przed południem, żeby zapamiętać enklawę w blasku dnia.

Była to decyzja słuszną. Reportaż o najwspanialszych nawet zażytkach są nudne, jeśli brakuje w tym wszystkim jakiegoś anegdotalu, przygody, jakiejś nieco głębszej obserwacji. Krótko mówiąc, gdybyśmy nie poszli na Sacromonte następnego dnia, nie wiedzielibyśmy wcale, że owe piecizary, w których kiedyś mieszkali ludzie, służą teraz, bez reszty, za ustępy i śmietniki, że w małych, pozabawionych wody i kanalizacji domkach, tysiące Cyganów nie jest bynajmniej nieskończonym pasmem radości, że na stromych, wąskich i krętych uliczkach widuje się dużo kalekich dzieci. Faktem jest przecież, że nikt cię nie zaciępie, nie nagabuje o jałmużnę, że ludzie są przyjaźni i pogodni.

Faktem jest także, iż w pewnym momencie otarł się o nogawki naszych spodni duży, wychudzony pies. Mój towarzyszył zatrząsnął się z przerażenia, bowiem odwaga nie była jego najsilniejszą stroną. W momencie, kiedy skadał się do wrzasku, powiedziałam:

— Spokojnie!
— Jezu, weź go, stąd, weź go!
— Gdzie? Po co? Idź po prostu tak, jakbyś go w ogóle nie widział.
— A on zdielił mnie klami w tyłek.

— To nie jest on, tylko ona. Patrz na brzuch, na klatkę...
— No, właśnie. Suka. Oszczeniła się niedawno. Albo zaraz się oszczeni. Takie są najniebezpieczniejsze, mogą zagryźć!
Suka biegła parę metrów przed

nam pod murem, a on drobnił sztywne, zastrachane krociki. Przypominał człowieka, który ma kolana na zawiasach. Nie przepuścił też najbliższej okazji, aby skrócić w przecznice, jeśli to w ogóle można nazwać przecznicą — uskok wyboistej ścieżki między paroma domkami; pod studnią baby waliły kijami białe, dzieciaki chlapały na siebie wodą z rynsztoków, które były jakas tam miniaturą rzek hiszpańskich, obfitych u źródła i wysychających w dalszym swoim biegu. Młody Cygan dłużej coś w motorze rajdowego jednośladowca (pierwsze koło wąskie jak u roweru, drugie grube, podgięta w górę kierownica przywodziła na myśl jelenie rogi), który w

— Widzisz pan? I tak mnie, ośmieszającego emeryta, po-traktowali w urzędzie! I mów mi pan, to mają być Hiszpanie! To są Hiszpanie!

Scena, jakkolwiek niezupełnie zrozumiała, była dość interesująca. Barman podał nam ową kawę i ów koktajl czyszczący, niezwykle w Hiszpanii popularny (niektórzy robotnicy piją „sol i sombra” nawet rano, przed pójściem do pracy); sączyliśmy, każdy swoje, starowina natomiast wciąż powtarzał swoje żale, przy czym, trzeba przyznać, barman wysłuchiwał go cierpliwie, przytakując grzecznie głową.

Słuchaj — mówi ten Polak, skoro

wskazuje na to, że nie ma najmniejszego zamiaru nas opuścić, a my, jak Boga kocham, nie jesteśmy w stanie dać jej schronienia nawet przez jedną noc, bo w hostalach i w ogóle wszystkich domach noclegowych patrzy się podejrzliwie na jakiegokolwiek gościa.

— Doprawdy, panowie? — spytał ten stary (choć młodszy przecież od tego drugiego) pasterz.

— Ale tak — mówię. — Zaprośisz pan kobietę — dziwkę, kolegę — peda! albo terrorysta. Jak za dużo czasu spędzasz pan samotnie, też nie wzbudza to entuzjazmu i posadzają cię o notoryczny onanizm. Z psem jednakże, na dodatek z suką, to już czysta Sodoma i Gomora.

domów, zaopatrzonych w pioty i furtki, zaczęliśmy już z prośbą o pomoc wszystkich lokatorów, którymi, na nieszczęście, okazywały się małe dzieci, albo stare kobiety, nad wyraz uprzejme, ale bojące się nieznanego psa.

Jednym słowem, zaczął się prawdziwy dramat. Byliśmy już z pięć albo sześć kilometrów od miejsca, w którym suka przylączyła się do nas w cygańskiej dzielnicy. Zbliżaliśmy się do śródmieścia, w dół, po lewej stronie, widać było niebawem zasmiecone koryto rzeki: gazety, puszkę, butelki, buty, szczątki przegniłej bielizny. Piękne i sławne miasta hiszpańskie nie grzeszą, niestety, czystością, aczkolwiek walczy o nią prasa i władze.

Zobaczyłem domek na wzgórku, nieduży, uchylone drzwi z klamką, wąską sien, schody. Przypominało to trochę nasze polskie budynki i pomyślałem, że można by tutaj zgubić psa. Zbliżaliśmy się do dwóch kilkunastoletnich dziewczyn, jedna trzymała na kolanach dziecko, druga bawiła się kotem.

Zaczęliśmy tłumaczyć bez większej nadziei, w czym rzecz. Panienci, z początku nieufne, zainteresowały się w końcu.

— Chodzi o to, żeby go przytrzymać z piętnaście minut w zamknięciu — powiedziałam. — W przeciwnym razie będzie biegł za nami aż do hotelu.

Pokiwały głowami i zaczęły wabić go do sieni. Nie chciał wejść; dopiero, kiedy przestąpił próg, dał susa do środka. Wówczas wycofaliśmy się szybko, z uczuciem fałszywców i zbrodniarzy. Zatraskując drzwi, ponownie rzuciliśmy się do ucieczki. Skreśliśmy to w lewo, to w prawo, żeby zmylić ślad. Zaczęliśmy się, potykaliśmy, kichaliśmy od kurzu, pot lał się z nas strumieniami.

— Zaczekaj! — wykrztusił mój znajomy — Teraz nie ma już sensu tak szaleć.

— Jesteś głupi — powiedziałam. — Przecież te smarkule puściły go na pewno po dwóch, trzech minutach. Ty też byś puścił z ciekawości...

— Może i tak — przytaknął — Ale ja już nie mogę, boję mnie nogi.

Zwolniliśmy więc, a potem skreśliśmy w szeroka, zatłoczoną ulicę i poculiśmy się bezpiecznie wśród ludzi, dla psa natomiast była to z pewnością niebezpieczna dżungla, pełna hałaśliwych pojazdów. Wciąż jeszcze co kilka metrów odwracaliśmy głowę, bojąc się, że za chwilę zobaczymy go znów. I tak było. Wybiegł zza rogu, szorując nosem po ziemi, łowiąc rozszereżonymi chrzami nasz niewidoczny ślad.

— Boże! — powiedziałam. — Szybcieli!

I znów biegliśmy, potykając się i zataczając, przeskakując jezdnię na czerwonych światłach, klucząc bocznymi ulicami. Żal nam było tego psa, ale nie mogliśmy dla niego zrobić. Modliliśmy się w duchu, aby nie wpadł z naszej winy pod jakiś samochód.

W hostalu wykupiliśmy sobie i zmieniliśmy mokre od potu koszule. Minęło w ten sposób półtorej godziny. Zbliżała się czwarta. Byliśmy głodni i nie w zasadzie nie stało na przeszkodzie, aby iść do pobliskiej knajpki na obiad. Każdy z nas wolał jednak jeszcze trochę poczekać. Okna naszego pokoju nie wychodziły na ulicę, tylko na wewnętrzne, przypominające studnie, patio. Baliśmy się zatem, niewiadomo, żeśmy na dół i otworzyć drzwi. Baliśmy się przekornie tego, co najpiękniejsze.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PRZYJACIOŁKA Z GRANADY

stanie spoczynku nie wyglądał groźnie, dopiero zapalony, pozbawiony dla większej fanfaronady tłumika, potrafił za dnia wstrząsnąć sumieniem tysiąca mieszkańców, a w nocy postawić na nogi nieboszczyka. W Madrycie pojazdy te są zakazane i pojawiają się raczej rzadko, doprowadzając przechodniów do wściekłości; za to w miastach i miasteczkach Andaluzji spotkać je można na każdym kroku.

Kiedyś grą detonował przeraźliwie, rozszarpał się psy, zaplakały dzieci. Jakas staruszka zatrzasnęła pospiesznie okno. Czmychaliśmy za róg najbliższego domu, żeby odgrodzić się trochę od piekła trudnych do opisanie dzwilków, a tam, merdając ogonem, czekała już na nas suka.

— Znowu — sęknął płaczliwie mój znajomy

— Zobacz, ona ma przyjacielskie zamiary — powiedziałam i poklepałem ją po karku.

— Nie ugryzie?

— Skąd!

Najwyraźniej udzielała mu się moja pewność.

— Sympatyczna — orzekł zezując kątem oka. — Przypomina owczarka alzackiego i ma takie mądre, wernie ślepie.

Pies, biegły widocznie w obcych językach, podskoczył i liźnął go w nagrodę po ręce.

— Paszoli! — krzyknął znajomy. I do mnie! — Przepędź go jakoś!

— Nie mam żadnego pomysłu — mówię — Chcesz, to możemy wejść najwyżej do tej budy i przeczeć.

Weszliśmy do ubogiej tawerny z tarasem, który był nieczynny, a w środku, oprócz barmana, stał po drugiej stronie lady tylko jeden gość. Pies też chciał się wtaraśnić za nami, ale szybko zamknęliśmy drzwi i ja zamówiłem dla siebie kawę, a mój znajomy „sol i sombra”, czyli „słońce i cień”, czyli kombinację słodkiego anyżku z koniakiem. Ten trzeci, Hiszpan, liczył dokładnie osiemdziesiąt lat — nie to, żebyśmy wyczytali jego wiek z twarzy, ale sam się do tego przyznał, wykrzykując na cały głos w stronę barmana:

wypił już do dna. — Sprawdź, z łaski swojej, czy sobie poszedł.

— Ten pies?

— Tak.

— Nie ma go — powiedziałam podchodząc do drzwi.

— No to płacimy i spadamy.

Wróciliśmy na ulicę, rozgrzaną słońcem. Unosił się nad nią pył wzbijany kołami pojazdów, pojawiających się w wąskich przejściach między domkami nie dość rzadko, aby ten pył mógł opaść na dobre. Pies wysunął się z niego, kichając i merdając ogonem i biegł między nami ciągnąc po drodze swój bledny, obwisły, matczyński bańdzioch.

— Teraz to i ja jestem w strachu — powiedziałam.

— Dlaczego?

— Bo on nie ma zamiaru nas opuszczać. Urolił sobie coś, diabli wiedzą, i będzie tak szedł za nami do samego domu.

Znajomemu, który miał dobre serce i łatwo się wzruszał, pojawiły się w oczach łzy.

— Jazda stąd! — krzyknąłem na psa, tupiąc nogą.

Szedł dalej.

— Fura! — huknął znajomy.

Pies wziął to za żart. Przekrzywił łeb i patrzył nam w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Przecież nie wolam jeść ani pić, kochani!”

— Mam chęć go pogłaskać — przyznał znajomy.

— To byłby błąd — zaprotestowałem. — Trzeba zachowywać się tak, jakby był nam całkowicie obojętny; trzeba go lekceważyć i ignorować.

Z naprzeciwnika zbliżało się ku nam powoli stado owiec, prowadzone przez dwóch starych pasterzy i dwa psy, które ujadły po obu skrzydłach, szturchając nosem sztuki, którym brakło należytego zdyscyplinowania. Podeszliśmy do pasterzy i mówimy, jeden przez drugiego:

— Drodzy panowie, pomóżcie nam jakoś w nieszczęśliwej sprawie. Ta suka, niewątpliwie sympatyczna, przepętała się do nas na górę i wszystko

Pasterze mieli poczucie humoru. Zaczęli gwizdać, pokrzykiwać, wabić jakos psisko do siebie. Zdołaliśmy w ten sposób odbiec kilkanaście metrów, po czym suka wyrwała się pasterzom i przypadła do naszych stóp.

Zawróciliśmy i ponowiliśmy nasze gorące prośby o pomoc.

— Nic nie da się zrobić — zapiniowali wesoło pasterze.

— Dlaczego?

— Zakochała się w was.

Dla przyzwyczajenia próbowali ją jeszcze przytrzymać za uszy, ale kłapnęła zębami i dopędziła nas bez trudu.

Jakiś czas szliśmy zgodnie w trójkę. Potem zobaczyliśmy wysokie, murowane ogrodzenie i dwuskrzydłową bramę, przez którą przejechał osobowy samochód. Był to, niewątpliwie, teren publiczny, pieszych jednakże, poza trzema chłopakami idącymi niespiesznie do wyjścia, nigdzie nie zauważyliśmy. Weszliśmy przez tę bramę do środka, pies za nami. Mówimy do tych chłopaków:

— Zabawcie go trochę, a my zamknijemy bramę od zewnątrz i spróbujemy czmychnąć.

W momencie, kiedy poradziliśmy sobie z zardzewiałą zasuwą, rozległo się żałosne, chwytające za serce wycie. Rzuciliśmy się do panicznej ucieczki w dół ulicy, słysząc głośne ujadanie psa, który musiał chyba biec wzdłuż muru, mur natomiast musiał być w jakimś miejscu niższy albo uszkodzony, z dziurą lub wyrwą, bo, ni stąd ni zowąd, wynurzył się nagle za niego nasz prześladowca. Objawiał przy tym takie oznaki radości i niebawem wprost szczęścia, że nie tylko mieliśmy chęć go pogłaskać, ale nawet wycalować w te biedne, wierne, roziskrzane ślepie. I chyba uleglibyśmy, na swoje nieszczęście, tej słabości, gdyby nie przeraźliwe, ponagające ujadanie klaskonów, za bramą bowiem, którą zamknęliśmy, zdążyło się zebrać kilka samochodów.

Zawróciliśmy, aby ją otworzyć. I znów maszerowaliśmy w trójkę. Ale od tej chwili, przechodząc obok

WIESŁAW MACHEJKO

„POLEN — 80” W DUSSELDORFIE

Najwięcej kłopotu sprawiło ustawienie armaty. Nie mieściła się w żadnym z 20 wielkich pawilonów wystawowych, a tym bardziej w którejś z 80 średnich hal. Ostatecznie stanęła na wolnym powietrzu. Sama lufa ważyła 72 tysiące kilogramów, a laweta jeszcze piętnaście. Była największym przed stu laty osiągnięciem technicznym stalowni Kruppa i symbolem zainteresowań skupionego w rejonach Dusseldorfu niemieckiego przemysłu ciężkiego. Na tej pierwszej wystawie oferował on jeszcze

statki, ciężkie obrabiarki, maszyny papiernicze i urządzenia chemiczne.

Od tego czasu minęło sto lat i charakter wystaw w Dusseldorfie, mających również znaczenie w dziedzinie ofert handlowych, bardzo się zmienił, podobnie zresztą jak samo centrum ekspozycyjne — tereny targowe położone na przedmieściu, tuż nad ruchliwym Renem. Tam właśnie przedstawialiśmy w ramach Dni Polskich „POLEN — 80” nasze osiągnięcia gospodarcze i propozycje handlowe.

Same „Dni” były imprezą, skupiającą koncerty, prelekcje, projekcje, wykłady naukowe, zawody sportowe, a wszystko spotykało się z ogromnym zainteresowaniem mieszkańców tego ogromnego zagłębia przemysłowego. Przez wystawę umieszczoną w pawilonie nr 12 przewinęło się w ciągu niespełna dwóch tygodni 85 tysięcy ludzi. Wielu z nich, wchodząc do hali, mówiło po niemiecku; gdy wychodzili, popisywali się swoją archaiczną polszczyzną, bo tu — w Nadrenii-Westfalii — wielu jest starych Polaków z przedwojennej zarobkowej emigracji. Pamiętają więc tamtą Polskę, tamtą biedę, tamtę możliwość. O dzisiejszej Polsce różnie się tu mówi i pisze, przybywali więc zobaczyć na własne oczy obrabiarkę-gigant z Poreby, potężną, wielokółową łorę z „Bumaru”, samoloty, szybowce, samochody, precyzyjne przyrządy pomiarowe, elektroniczne, wreszcie to, co najbliższe ciału — tkaniny, odzież, wyroby skórzanego. Szli popobierać polskiego miodu, wyborowej, „Żywca”.

Spory udział w tej wystawie miała Łódź. Duże zainteresowa-

nie specjalistów budziła np. przedzarka bezwzględnowa „WIFAMY”, ekspozycja wśród wielu innych maszyn włókienniczych; amatorzy muzyki oglądali wzmacniacze i słuchali gramofonów stereofonicznych z łódzkiej „Foniki”. Ale najbardziej znaczącym łódzkim akcentem na wystawie „POLEN — 80” było stoisko największego, bo i jedynego polskiego eksportera wyrobów przemysłu włókienniczego, „Textilimpexu”. Piękne tkaniny bawełniane, lniane i jedwabne, o nowoczesnym i tradycyjnym wzornictwie, przyciągały wielu zwiedzających i propozycjom natychmiastowego zakupu nie było końca.

Podobała się bardzo polska odzież prezentowana na stoisku, a przede wszystkim kolekcje przewidziane na wszystkie okazje, pokazywane cztery razy dziennie na estradzie. Wzorów było około setki, ułożonych przez zakłady „Damina”, „Cora”, „Zeta”, „Wółczanka”, „Vistula” i „Próchnik”. Ponieważ wszystkie modele przyjmowane były oklaskami, można mówić o sukcesie, wymienimy więc nazwiska projek-

tantów: odzież damską projektowały z zespołu „Damina”: Anna Kubik, Danuta Michalska, Maria Wolańska, z zespołu „Cory” — Halina Siejewicz. Koordynatorką „męskiej” części pokazu była Jadwiga Szmidt z COBR przemysłu odzieżowego.

Doskonale spisywały się nasze modelki i modele, budząc ogromne zainteresowanie dziennikarzy, fotoreporterów i operatorów filmowych. Nic zresztą dziwnego, bo nawet najbardziej precyzyjną maszyną Niemcom zaimponować trudniej, niż pięknością i na dodatek dobrze ubraną dziewczyną. Potrafią oni docenić i urodę i osobno: jakość, wartość, linie, trwałość ubiorów. Dlatego też RFN jest naszym największym odbiorcą odzieży wśród krajów tzw. drugiego obszaru płatniczego. Dotyczy to również odzieży i wyrobów skórzanych prezentowanych w Dusseldorfie przez drugie łódzkie przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego, „Skórimpex”.

W każdym oglądającym budzi się zawsze to samo pytanie: gdzie to można kupić? Zaś do bry kupiec łapie kontakty

przy każdej okazji. Ma więc ich sporo i „Textilimpex”, choć wystawa nie miała charakteru handlowego. Mimo to niektóre nasze firmy handlowe nawiązały sporo interesujących kontaktów. W tym również dyrektor spółki handlowej „Teximo” — Jan Kowalski.

Służyły temu i inne inicjatywy, jak choćby ta Polsko-Niemieckiej Spółki „Depolma”. Prowadzona przez inżyniera Ryszarda Tobolskiego (nota bene łódzianina), zajmuje się głównie budową wytwórni kwasu siarkowego czy wielkich oczyszczalni ścieków w RFN, aż tu nagle podjęła się przy pomocy polskich konserwatorów do odbudowy „starówek”, remontu XVII-wiecznej kamieniczki przy Citadellstrasse w Dusseldorfie. Mając za plecami pomoc burmistrza i naszego wiceministra, Wiktora Zina, przystąpiło do roboty 30 polskich specjalistów, a w przeddzień otwarcia tegorocznych Dni Polskich galeria „Depolma” została również otwarta.

Ekspozycje polskiego malarstwa współczesnego, szkła artystycznego, tkaniny, a także wyrobów ludowych odwiedziło

Szeroko zakrojone prace badawcze zakończył niedawno Rzymski Ośrodek Studiów Asynacji na Potrzeby Społeczne (ROSAPS), którym kieruje znany włoski ekonomista Giuseppe De Rita. Już pierwsze wyniki tych badań zaskoczyły pracowników Ośrodka, okazało się bowiem, iż Włochy są jednym z najbardziej biednych krajów w świecie. Wniosek ten potwierdza bardzo szczegółowe badania.

Naukowcy pracownicy ROSAPS przez długi czas zbierali informacje w wielkich miastach włoskich, takich jak Rzym, Neapol i in., znanych z rozległych dzielnic nędzy, badali przebieg choroby niedostatkowej w szpitalach i zakładach naukowych, sporządzili klasyfikację mieszkań, rejonów mieszkaniowych, branżowych i terytorialnych rynków pracy. W 80 prowincjach Włoch eksperci ROSAPS przeprowadzili badania wśród socjologów, ekonomistów, pracowników ubezpieczeń społecznych. Dopiero po zakończeniu tych prac uczeni mogli przystąpić do „naszkicowania” mapy ubóstwa Włoch. Pierwsze zwięzłe wyniki tych interesujących badań ukazały się bardzo niedawno na łamach mediolańskiego tygodnika „Panorama”.

W wyniku badań ROSAPS słowo „ubóstwo” stało się znów słowem obiegowym. Był jednak czas, kiedy, wydawałoby się, zupełnie o nim zapomniano. A przecież wymieniano je w specjalnych określeniach w rodzaju: „terytorialno-

wymy. „Wystarczy przypomnieć — czytamy w sprawozdaniu ROSAPS — o dzielnicach nędzy, słynnych, żałosnych norach w Neapolu, o starych, centralnych dzielnicach w niektórych wielkich miastach czy też o przedmieściach wielkich ośrodków przemysłowych, zabudowanych „tymczasowymi” mieszkaniami dla imigrantów.”

W samym tylko Rzymie tłoczy się w obskurnych barakach co najmniej 200 tysięcy ludzi, którzy nie mają najmniejszej nadziei na polepszenie swoich warunków życiowych. Sytuacja mieszkańców śródmiejskich rejonów stolicy Włoch także przedstawia wiele do zżyczenia: 17 procent mieszkań nie ma ubikacji, 52 procent nie ma wani i prysznicy, w 72 procentach mieszkań brak centralnego ogrzewania.

Mieszkaniową sytuację w kraju ujęto w sprawozdaniu w następujących słowach: „W wielu pomieszczeniach mieszkaniowych brak elementarnych urządzeń sanitarnych, wiele jest zagrzewanych a wszystkie są przepełnione ludźmi ponad wszelkie wyobrażenie. Mnóstwo rodzin i pojedynczych osób poszukuje bezskutecznie dachu nad głową. W pierwszym rzędzie są to młode małżeństwa i imigranci. Zjawisko to przybiera coraz szersze rozmiary wskutek niemal całkowitego zahamowania wynajmu mieszkań”.

Problem tkwi w tym, iż w związku z wydaniem ustawy w sprawie określonych form kontroli nad ustalaniem wysokości czynszu, wła-

Miniony tydzień był bardzo bogaty w wydarzenia, ale na pewno dwa z nich są najwyższej rangi: obrady w naszej stolicy Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego i spotkanie w Wiedniu min. Gromyki z nowym sekretarzem stanu USA — Muskie.

Doradczy Komitet Polityczny obradował w ćwierćwiecze zawiązania obronnego sojuszu państw socjalistycznych i warszawskie spotkanie najwyższych władz krajów wspólnoty nosiło także jubileuszowy charakter, podkreślony w Deklaracji, o której za chwilę, a także uroczystym koncertem w Teatrze Wielkim. Jednakże to, co głównie wypełniło dwa dni obrad, dotyczyło aktualnej sytuacji międzynarodowej, jej analizy i wniosków, płynących z rozwoju wydarzeń w ostatnich miesiącach. Gdyby najkrócej scharakteryzować główny kierunek narady — trzeba by powiedzieć: państwa wspólnoty wobec wszystkich złożoności współczesnej doby widzą tym bardziej potrzebę działania na rzecz odprężenia politycznego i obniżania poziomu zbrojeń i zgłaszają program pokoju. Ale o wszystkim po kolei...

Obrady Doradczego Komitetu Politycznego zakończyły się przyjęciem Deklaracji Państw — Stron Układu Warszawskiego i oświadczeniem uczestników narady, które jest propozycją zwołania w najbliższym czasie spotkania na najwyższym szczeblu przywódców państw wszystkich regionów świata. Jego celem byłoby: likwidacja ognisk napięcia międzynarodowego i niedopuszczenie do wojny.

Lektura obszernej Deklaracji, którą czytał prezydent, przebiegała w atmosferze spokojnej, oceny procesów w świecie w ostatnim ćwierćwieczu i aktualnej sytuacji oraz o dążeniu krajów socjalistycznych do kontynuacji i rozwijania na wielu płaszczyznach odprężenia. „Największe osiągnięcie minionych dziesięcioleci — czytamy w Deklaracji — polega na tym, że udało się przerwać tragiczny cykl, kiedy to pokój był jedynie krótką przerwą między wojnami światowymi, rozwinąć w najszerszej skali walkę, o to, aby na zawsze wykluczyć wojnę z życia społeczeństwa ludzkiego”.

Rolę socjalistycznej wspólnoty w tej walce podkreślają słowa:

„W każdej dziedzinie stosunków międzypaństwowych Państwa — Strony Układu Warszawskiego zawsze występowały i występują w pierwszych szeregach walki o pokój, odprężenie i współpracę międzynarodową”.

„Czwierć wieku temu... państwa reprezentowane na nardzie Doradczego Komitetu Politycznego, przejęły ideę zbudowania świata bez wojen, wzięły na siebie zobowiązanie działać w bratnim sojuszu tak, aby maksymalnie zwiększyć swój wkład w rozwiązanie tego wielkiego zadania. Obecnie, kiedy od zakończenia II wojny światowej upłynęło już 35 lat, są one bardziej niż kiedykolwiek przekonane, że zbudowanie takiego świata — jest celem trudnym, ale realnym. Również w przyszłości cel ten pozostanie pierwszoplanowym w ich polityce”.

W Deklaracji, jak to już powiedzieliśmy powyżej, dokonuje się następnie analizy obecnej sytuacji w Europie i poza nią, uwypukla rolę, jaką może spełnić międzynarodowe spotkanie przedstawicieli państw, które złożyły swe podpisy pod helsińskim Aktem Kończącym.

„Przyszłość — czytamy w tym ważnym do-

kumencie — tworzona jest dziś, a dzień jutrzejszy w życiu narodów zależy od tego, jakie decyzje w państwach problemach międzynarodowych podejmą państwa teraz, wszystkie razem i każde z osobna”.

Analiza istniejącej, złożonej i celowo komplikowanej przez koła imperialistyczne sytuacji dyktuje konieczność skoncentrowania wysiłków na siedmiu zadaniach:

po pierwsze: należy porozumieć się co do tego, aby poczynając od określonej, uzgodnionej daty żądne państwo i żądne ugrupowanie w Europie nie powiększało liczebności swych sił zbrojnych na obszarze określonym w Akcie Kończącym KBWE.

po drugie: konieczne staje się bezwzględne przestrzeganie wszystkich postanowień Aktu Kończącego

TYDZIEŃ W POLITYCE

po trzecie: trzeba zintensyfikować i pogłębić wymianę poglądów między państwami, aby osiągnąć zgodność co do spraw, które mogą i powinny być objęte porozumieniem na nadchodzącym spotkaniu w bieżącym roku

po czwarte: należy przyspieszyć przygotowania do konferencji w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie (państwa Układu Warszawskiego popierają propozycję Edwarda Gierka, aby jej miejscem była Warszawa)

po piąte: szybciej trzeba osiągnąć porozumienie w prowadzonych rozmowach rozbrojenia w Europie i wznowić te, które zostały wstrzymane lub przerwane

po szóste: niezwłocznie podjąć rzeczowe rozmowy na temat dojrzałych do przyjęcia środków zaprzestania wyścigu zbrojeń i usunięcia groźby wojny, wśród których wymieniane są: układ o niestosowaniu siły, zaprzestanie produkcji broni jądrowej i stopniowa redukcja jej zapasów, zakaz tworzenia nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady

po siódme: przystąpić do rozpatrzenia kwestii ograniczenia i obniżenia poziomu militarnej obecności i działalności wojskowej w niektórych rejonach świata.

Już z tych propozycji, wymienionych skrótowo, wynika, jak konkretnie i rzeczowo podchodzą państwa socjalistycznej wspólnoty do kroków prowadzących w kierunku stabilizacji pokoju. Nic przeto dziwnego, że warszawskie postanowienia odbiły się w świecie szerokim rezonansiem.

Wiele uwagi — rzecz jasna — poświęca się również trzygodzinnemu spotkaniu w Wiedniu szefów radzieckiej i amerykańskiej dyplomacji. O szczegółach tego spotkania, które odbyło się równo 11 miesięcy po doniosłych rozmowach w stolicy Austrii L. Breżniewa i J. Cartera, w chwili, gdy oddajemy komentarz do druku wiemy jeszcze mało. Ale komentatorzy piszą z Wiednia, że może ono dać początek powrotowi do dialogu między dwoma supermocarstwami. Czy tak się stanie?

W. SŁAWSKI

Ten i ów zadaje sobie pytanie, czy obowiązek prezydencki nie są ponad siły J. Cartera. Inni twierdzą, że — być może — nikt nie byłby w stanie im poddać, że wydarzenia na świecie wymykają się spod kontroli.

Wiele dobrze poinformowanych osób uważa, że Carter jest przyswojonym człowiekiem i byłby wspaniałym sąsiadem, ale Biały Dom nie jest dla niego odpowiednim miejscem. Ponieważ Carter nie jest mocny w sztuce manipulowania dźwigniami władzy, narusza i tak już delikatną równowagę w aparacie federalnym. Jego decyzje rodzą nieuchronnie nowe, częściej poważne problemy, które następnie wymagają jeszcze bardziej radykalnych decyzji.

Jednakże Carter opanował wiedzę kancelaryjną stronę działalności prezydenta. Po prostu tonie w papierach, stara się zapamiętać fakty i liczby. Stanowią one dla niego wskaźniki, które prezydent wykorzystuje w dyskusjach z podwładnymi. Zaskakuje ich nieraz, cytując najdrobniejsze szczegóły.

Carter wgląda się w szczegóły każdego nowego problemu, jak gdyby gorączkowo przygotowując się do egzaminów. Ale brak mu umiejętności odrzucenia drobniactw, gdy zachodzi konieczność podjęcia bardzo ważnej decyzji. „Ma dobrą pamięć — powiedział jeden z jego bliskich doradców. — Ale nie jest myślicielem”.

Jest typowe, że Carter odosobnił się w Białym Domu podczas kryzysu z zakładnikami. Zawsze przejawiał dążenie do izolowania się od waszyngtońskiego zgiełku. Prezydent lubi samotność i porządek. „Cenię samotność — powiedział kiedyś. — Po prostu pragnę jej”. Spróbował odizolować się od niepożrebnych burz, spotykając się regularnie tylko z tymi ludźmi, którym dowierza, których twarze i głosy są mu znane. Jakby nałożył na Owalny Gabinet szklany kloz. Cała bieda w tym, że tak burzliwym morzem, jakim jest Ameryka, nie można się uporać sprawując władzę spod szklanego kloza”.

(J)

MIEJSCE NA MAPIE GOSPODARCZEJ ŚWIATA

specyficzne dysproporcje”, „odchylenie od normy”, „sytuacja nietypową”, „ogólny kryzys systemu”. Od czasów „ekonomicznego cudu”, włoskie „społeczeństwo konsumpcyjne”, „społeczeństwo obfitości” — terminy zaczerpnięte ze słownika środków masowej informacji — musiało powrócić do starego słowa „ubóstwo”, które nasuwa tyle gorzkich wspomnień i nieprzyjemnych skojarzeń. „W konsekwencji ubóstwo — czytamy w sprawozdaniu ROSAPS — narastało skrycie, w tajemnicy, niejako w podziemiu”.

Z prac badawczych Ośrodka wynika, iż najbardziej rozpowszechnionym „typem” ubóstwa jest „bieda uzależniona od niskiego poziomu dochodów”. Jej nasilenie ulega zmianie w zależności od tego, w jakiej części Włoch mieszka rodzina i jakie stanowisko służbowe zajmuje głowa rodziny. Rozumie się samo przez się, iż najbardziej niezabezpieczeni socjalnie są emeryci i bezrobotni. „Brak pracy — piszą autorzy badań — jest po dziś dzień główną przyczyną ubóstwa”.

Na południu Włoch, gdzie żyje 32,2 procenta ludności całego kraju skupiło się 43,3 proc ogółu bezrobotnych, a w przeważającej części bezrobotnej młodzieży. „Ogólnie, w kraju — podkreśla się w sprawozdaniu ROSAPS — na każdy tysiąc mieszkańców przypada ponad 65 bezrobotnych w wieku do 29 lat. Ale w południowych rejonach kraju wskaźnik ten przewyższa wszędzie 80 bezrobotnych na tysiąc mieszkańców, a w niektórych prowincjach nawet 100 bezrobotnych na tysiąc mieszkańców”.

Wraz z bezrobociem wśród młodzieży, które szczególnie ostro atakuje absolwentów wyższych uczelni i średnich szkół zawodowo-specjalistycznych, wyłania się inny jeszcze rodzaj tego społecznego dramatu: „bezrobocie wśród ludzi, którzy stracili wszelką nadzieję”. Zalicza się do nich mężczyzn w wieku 50-70 lat, bez wykształcenia i wyspecjalizowanych wyłącznie w pracach budowlanych lub w pracy w przemyśle górniczym. Są ich dziesiątki tysięcy. Tam gdzie nie mogą znaleźć pracy ludzie starsi lub niedołężni, najczęściej spotyka się pracujące dzieci. W warsztatach rzemieślniczych, sklepach, małych przedsiębiorstwach usługowych i innych wykorzystuje się prace około 120 tysięcy dzieci w wieku poniżej 15 lat. Większość tych dzieci nędzy żyje w południowych rejonach kraju.

„Nie należy zapominać — pisze prof. De Rita i jego współpracownicy — o pół miliona robotników — obywateli, którzy w przeważającej większości nielegalnie imigrantów, których warunki życia i pracy, jak również poziom zarobków są trudne do opisania”.

Tak zwane czarne zatrudnienie, to jest nafer robotników z omińcieniem ustaw i bez zgody związków zawodowych, niskie zarobki, bezrobocie, choroby — wszystko to razem wzięte sprzega się na każdym kroku z niestępcie trudnymi warunkami mieszkaniowymi i byto-

ściście domów nie chcą wynajmować mieszkań, natomiast chętnie je sprzedają. Tylko kto je może kupować!...

Ale jest to zaledwie jeden z aspektów trudności życia w mieście, uwarunkowany głównie tym, że wielkie włoskie miasta i ośrodki przemysłowe z dnia na dzień tracą dawną atrakcyjność. Obecnie obserwuje się duży odpływ ludności z dużych miast do mniejszych ośrodków mieszkaniowych, nawet całkiem małych miasteczek, które nie utraciły jeszcze swego wdzięku. „W ostatnich latach, w dziedzinie urbanistyki, podobnie zresztą jak i w wielu innych dziedzinach, społeczeństwo włoskie doznało klęski” — konkludują autorzy sprawozdania ROSAPS.

Kto mało zarabia i mieszka w antysanitarnych warunkach częściej zapada na zdrowiu. Średnia długość życia we Włoszech, na przestrzeni minionych lat, stopniowo rosła, ale dziś zatrzymała się na martwym punkcie. Różne są przyczyny tego zjawiska. W toku omawianych badań naukowych ustalono, iż ani szpitale miejskie, ani też inne instytucje ochrony zdrowia nie wykonują nałożonych na nie zadań. W konsekwencji zwiększa się śmiertelność wśród dzieci, szczególnie na południu Włoch, szerzą się nowe rodzaje chorób zagrażających ludności.

Niezadawalający stan otaczającego środowiska i nieefektywna praca służb publicznych odświeża szczególnie tragiczne piętno na tych warstwach społeczeństwa, którym brak środków na przetrwanie trudnych chwil. Dotyczy to przede wszystkim ludzi starych, niedołężnych, inwalidów oraz kobiet zatrudnionych w produkcji.

Blisko połowa wszystkich ankietowanych specjalistów wyraziła opinię, iż jedną z najbardziej poszkodowanych warstw społecznych obecnych czasów są ludzie w podeszłym wieku. To właśnie oni przeżywają największe dramaty z powodu braku mieszkań, leku przed chorobą i brakiem pomocy lekarskiej w domu. W jeszcze gorszej sytuacji są inwalidzi, w szczególności w kategorii inwalidztwa wrodzonego. Nie mogą się włączyć do pracy i częstokroć są pozabawieni pomocy rodzinnej. Wreszcie kobiety pracujące mają ogromne trudności z umieszczeniem dzieci w przedszkolach, których jest tragicznie mało.

„Nieefektywność pracy służb publicznych najbardziej ostro i dramatycznie godzi w te właśnie, wymienione już kategorie obywateli. Ich trudna sytuacja życiowa — piszą autorzy tej pracy naukowej — jest swego rodzaju sygnałem alarmowym dla całego włoskiego społeczeństwa, który przypomina, że zaspokojenie życiowych potrzeb tych ludzi jest konieczne, chociaż z pewnością bardzo trudne w sytuacji, w jakiej znajdują się dziś Włochy”. Tak brzmi końcowy akord sprawozdania ROSAPS.

JERZY CZECH

już ponad 20 tysięcy osób, dokonując wielu zakupów. Wśród zwiedzających znalazł się także kanclerz Helmut Schmidt.

Pokazaliśmy w Düsseldorfie serię naszych jachtów i spotkały się one z wielkim zainteresowaniem zwiedzającego w dniu 1 maja wystawę kanclerza Schmidta. Wspiał się on na pokład wysoko ustawionego jachtu typu „Carter”. Dlaczego polski jacht nazywa się Carter? — pytał. A chodziło nie o prezydenta, tylko o typ licencyjnego jachtu. Sam Schmidt, będący zapalonym żeglarzem, pragnąc wesprzeć składkę na remont szkolnego żaglowca RFN „Passat”, wystawił na licencję swoją czapkę „szyprowką”. Uzyskano za nią tysiąc marek (500 dolarów). Kiedy więc kanclerz zapytał, ile kosztuje nasz jacht „Orion”, nasi specje z „Navimoru” odpowiedzieli: dwanaście czapek pana kanclerza. Sami zaś przy okazji wystawy sprzedali dwie barki rzeczne po 1500 ton, wszystkie prezentowane jachty i łodzie zawarły kontrakt na budowę czterech barek o nośności 2500 ton każda. Wspomniany „Carter” poszedł za

WIESŁAW MACHEJKO

Tam o mnie także jest mowa”.

Te strofy przełożył Aleksander Kraushar. Zaś sam ich autor, Henryk Heine, nie doczekał się jeszcze w Düsseldorfie swego pomnika. Może dlatego, że był w roku 1816 kupcem marnym, a jego firma — komisyjny sklep z tekstyliami — spłajnowała po roku. W poważnym mieście handlowym, którym Düsseldorf jest niewątpliwie, takim kupcom pomników się nie stawia.



Kanclerz Helmut Schmidt przed galerią „DEPOLMY” w Düsseldorfie. Na prawo ambasador PRL Jan Chyliński i dyr. Ryszard Tobolski

Kiedy po kilku miesiącach nieobecności Józef Z. zjawił się wreszcie w domu, poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia, a przyczyną jego wzruszenia stał się dorastający syn. Chłopak miał kłopoty. Pracował na trzy zmiany w piekarni, co mu poważnie utrudniało kontynuowanie nauki w Technikum Spożywczym dla Pracujących w Łodzi. Uczył się na ciastkarza, a pracował jako piekarz, i to był także kłopot.

— Zalatwicie ci to, Marku — oświadczył rozkliwiony tatuś.
— Naprawdę? A co ty możesz, tata? W tych kwartalnych wagarach dobry jesteś, ale żeby zalatwić sprawę?

— To ty jeszcze nie znasz własnego ojca! Ale to moja wina...

Józef Z. udał się do kierownika firmy, w której pracował Marek i poprosił o przeniesienie syna do ciastkarni. Kierownik, ob. Bronisław T., obejrzawszy sobie wizytówkę Józefa Z. z tytułem „mgr inż.” i usłyszawszy, że gość pracuje w ministerstwie górnictwa, bez oporów zgodził się na przeniesienie. Zadowolony z siebie ojciec, pragnąc okazać wielkoduszność i wdzięczność, zapytał na odchodnym:

— Przepraszam, a pan kierownik ma samochód?

— Mieć nie mam, ale stać mnie.

— Grzeczność za grzeczność, proszę pana. Istnieje możliwość uzyskania przydziału na fiata 125.

Kierownik zatrzymał Józefa Z., sprowadził swego zastępcę i na siłę wręczył Józefowi Z. 10 tys. złotych, chociaż ten strasznie się przed tym bronił. Ale wziął. Potem nadesłał do kierownika pismo, że przedpłata wyniosła 35 tys. zł plus koszty manipulacyjne. W grudniu kierownik otrzymał telegram, że samochód zaraz będzie, reszta pieniędzy po odbiorze. Drugi telegram, w styczniu, mówił, że auto będzie można odebrać w pierwszym kwartale. Trzeci telegram zawiadamiał kierownika T., że na posiedzeniu komisji pomyślnie załatwiono sprawę przydziału.

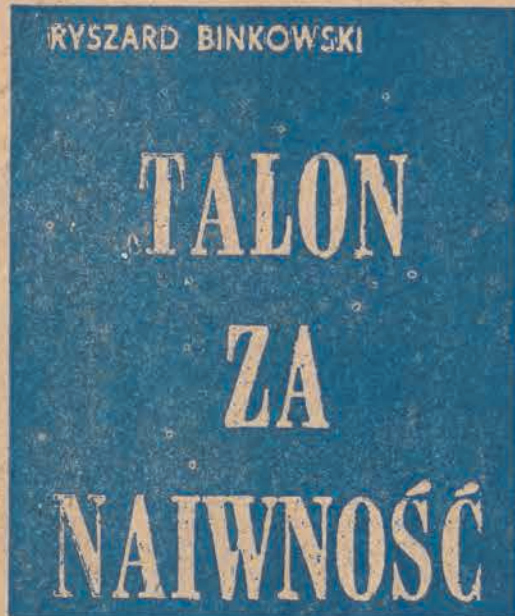
I w ten oto sposób Józef Z., kierując się odrochem serca i miłością do syna, poczuł uszczęśliwiać także innych ludzi. Po kilku miesiącach przybył do Katowic do rodzinnego miasta P. i gdy zaszedł do zakładu elektromechanicznego, usłyszał, jak szef zakładu ziorzeć i biadoli, bo rozbił w wypadku samochód i teraz ani naprawić, ani kupić nowy.

— Wie pan co? — powiedział Józef Z. — Pan się marnuje w tym warsztacie. Pan powinien się przenieść do mnie, do ministerstwa górnictwa.

— Tak? I co bym z tego miał?
— Samochód, człowieku.
— Pan by zalatwił?
— Tego nie obiecuję. Ale gdyby pan się prze-

niósł do ministerstwa, to kto wie? Ja, proszę pana, jestem z zawodu elektronikiem — oświadczył Józef Z., wręczając szefowi warsztatu wizytówkę. — Pracuję w ministerstwie, w Instytucie Elektroniki. Wie pan, łączność bezprzewodowa...

— To co mam zrobić? — zapalił się nagle szef warsztatu, z zawodu technik energetyk.



— Napisać podanie o przyjęcie do pracy.
— A co potem?
— Potem masz pan aucisko.
— Tak od razu?

— No, nie! — roześmiał się z pobłażliwością Józef Z. — To znaczy tak, ale okreśną drogą. Najpierw otrzymamy talon na moje nazwisko, ale samochód będzie pana, bo mnie na razie niepotrzebny. Po trzech latach nienagannej pracy otrzyma pan talon na własne nazwisko i obaj na tym zarobimy.

— Pan inżynier to ma komputer w głowie! — oświadczył z zapalem Edward P. — Da się zalatwić wartburga?

— No, to jest sto sześćdziesiąt, panie Edku...
— Faktycznie — opadł z entuzjazmu Edek.

— Tyle nie mam...

— Bo nie zna pan problemu! Wpłaca się osiemdziesiąt, a drugą połowę pokryje ministerstwo, w którym pan będzie pracował.

Edward P. natychmiast napisał podanie o przyjęcie do pracy w ministerstwie oraz wręczył Józefowi Z. osiemdziesiąt tysięcy na wartburga.

Jednakże przydział samochodu przedłużył się, ponieważ były trudności z przyjęciem pana Edeka do pracy w ministerstwie. Później wstrzymano dostawy wartburgów z NRD. Ale okazało się, że Edward P. otrzyma ten samochód, choćby nawet nie pracował w Katowicach. Edward P. zwinął warsztat i przeniósł się do instytucji związanej z inwestycjami rolniczymi, zlokalizowanej w jednym z podlódzkich miasteczek.

Józef Z., mężczyzna stateczny i rozważny, po czterdziestce, budził zaufanie i szacunek. Odwiedzał Edwarda w nowym miejscu pracy, pocieszał, nawiązywał przyjacielskie stosunki z jego szefami: dyrektorem technicznym i naczelnym. Nie nalegając, ba, nawet wzbraniając się, wziął w końcu od dyrektora technicznego 25 tys. złotych przedpłaty na fiata. Aby przyspieszyć przydział samochodu, dyrektorów dwukrotnie wysyłał pana Edeka „okazyjnie” w delegację do Katowic. Pan Edek spotykał się z Józefem Z. w gmachu ministerstwa przy ulicy Powstańców 30. Inżynier wprowadzał go do jednego z pokoiów, gdzie siedziały dwie urzędniczki, oznajmiając, że jest to jego przyjaciel oraz przysięły współpracownik, po czym stempelował delegację i żegnał czule, z wylewnością.

Gdy samochodów nadal nie było, Józef Z. przyjeżdżał do Łodzi coraz rzadziej, później w ogóle nie przybywał na umówione spotkania. W zamian przysyłał do dyrektorów przedsiębiorstwa pod Łodzią telexy. Często były one podpisane przez inżyniera Frackowiaka. Treść nie budziła zastrzeżeń: „...uprzejmie zawiadamiam, że decyzyjną resortową komisję kwalifikacyjną (...) na zasadzie uzgodnionej z inżynierem Józefem Z. otrzymuje pan talon na przydział samochodu...”.

Samochodu nadal jednak nie było. Edward P. udał się do Katowic, znalazł bowiem adres konkubiny Józefa Z., ale nikogo nie zastał. Wtedy sam zatelefonował do ministerstwa i dowiedział się, że tam żaden facet o podobnym nazwisku nie pracuje.

Komenda MO w P. najpierw ustaliła, że Józef Z. nie utrzymuje kontaktów osobistych ani listownych z żoną i synem i że nie przebywa aktualnie w żadnym zakładzie karnym, ale za to prokuratura w Krakowie puszczala kiedyś za nim list gończy. Nie był zarejestrowany w Centralnej Registraturze Daktyloskopijnej. Z danych Wojskowej Komendy Uzupelnień wynika-

ło, że jest skreślony z ewidencji. W Katowicach nie figurował w kartotekach ewidencji ludności jako mieszkaniec tego miasta.

Milicja wystąpiła do MSW o publiczne, ogólnokrajowe poszukiwanie Józefa Z. Wywiadowcy „zdjęli go” jak w filmie kryminalnym, gdy nocą usiłował dostać się przez balkon do mieszkania konkubiny.

Józef Z. stwierdził stanowczo, że od nikogo nie brał pieniędzy, a w ogóle to pierwszy raz słyszy o talonach na samochody. Przeciśnięty do muru oświadczył:

— Zarabiałem dwadzieścia tysięcy miesięcznie, po co więc miałem brać od ludzi pieniądze?

— W ministerstwie?

— Co w ministerstwie?

— Czy tam otrzymywał pan taką wysoką pensję?

— Nie! Pracowałem jako sztygar w kopalni Siemianowice.

— Przecież twierdzi pan, że jest chory na padaczkę.

— Ukręłem chorobę przed lekarzem.

— Są świadkowie, którzy widzieli, jak pan brał pieniądze na talony.

— To są insynuacje! To jest zemsta ze strony Edwarda P.!

Na pytanie, dlaczego pan Edek miałby się na nim mścić, Józef Z. strzelił z grubej rury: — Edward P. chciał wyciągnąć ode mnie dokumentację na nowe wynalazki związane z łącznością bezprzewodową. Gdy odmówiłem, zagroził, że go popamiętam.

Przytoczony dowodami Józef Z. oświadczył z desperacją:

— Żadam dołączenia do akt dowodu mojej całkowitej niepoczytalności. Takie orzeczenie znajduje się w klinice w Ł.

Prawowita małżonka Józefa Z. powiedziała: — Ten człowiek jest moim mężem od dwudziestu lat. Cierpił na zaburzenia psychiczne, najpierw więc dbałem o niego, leczylam go. Potem on przestał dbać o mnie, zapomniał o synu, przez wiele lat całymi miesiącami przebywał poza domem. Nie wiedziałam, gdzie pracował, nigdy nie pokazał mi dyplomu ukończenia studiów. Jestem przekonana, że wszystko, co ukończył, to szkołę podstawową.

Telexy przekazywał z poczty w Katowicach. Edward P., technik energetyk, stwierdził z rozbrajającą szczerością:

— Jakże nie wierzyć człowiekowi z taką wizytówką, stemplującemu mi delegację w gmachu ministerstwa? Powiedział mi: „Człowieku, łączność bezprzewodowa to przyszłość! Będziesz miał w długopisie urządzenie, za pomocą którego porozumiesz się ze mną w każdej chwili”.

I komu tu wydać świadectwo całkowitej niepoczytalności?

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

Prasa to potęga ponoć, ale jej ogromna słabość stanowi ulotność publikowanego słowa, które czytane jest przez dzień, może tydzień, po czym ulega zapomnieniu. Należy więc powtarzać to, co zasługuje na dłuższy żywot. Do takich nie tracących blasku i wartych powtarzania należą niektóre prawdy z felietonów, poruszających nie sprawy chwili bieżącej, lecz tematy ogólniejsze: z felietonów, które z odrobiną filozoficznej zadumy i wyrozumiałością traktują o bodźcach napędowych ludzkich działań, a zwłaszcza o pobudkach decyzji młodej

Poza tym, literaturę traktuje się najpierw jako szlachetne hobby, nie rzucając dla niej szkół i zamierzeń zdobyć konkretnego zawodu. W nauce podejmuje się pracę dopiero po studiach, przy czym pierwsze lata to „rozglądanie się”, terminowanie i praca pod kierunkiem profesora, praca bardziej manualna niż koncepcyjna, raczej odtwarzanie niż tworzenie. To również jakże często okres macierzyństwa, kiedy to trudno skupić myśl na abstrakcjach naukowych, a jeszcze trudniej „sprawdzić się”. Następne lata to wykonywanie doktoratu —

to, aby budować nowe. Nie robi się tego wszystkiego w godzinach od 8 do 15. Trzeba też pracę nie tylko lubić, ale i mieć do niej talent, bo tylko ten ostatni może wykrzesać niezbędne do osiągnięcia sukcesu samozaparcie, wytrwałość oraz kilka innych nie mniej ważnych cech charakteru. Tylko szczery talent usprawni niezbędne zaniechania życia rodzinnego i towarzyskiego. Tylko szczeremu talentowi wybaczone zostanie — lecz dopiero po latach! — ciągła postawa nonkonformistyczna, która stanowi warunek sine qua non

przy braku poważniejszych odkryć, zdolnych przemienić się w wypalające ulatniające życie: szara dżubapina, przyczyniarstwo; oraz trudności z zatrudnieniem młodego talentu, jeżeli taki pojawi się na horyzoncie (a pojawia się raz na 5—10 lat). Trudno bowiem, i to nie tylko ze względów formalnych, rozwiązać umowę o pracę z naukowcem o wieloletnim stażu, który chociaż nie sprawdził się, to jednak swoje najlepsze lata poświęcił na owo „sprawdzanie się”.

Zacytowane na wstępie zdanie redaktora Widoka należałoby więc powtórzyć kandydatom na uczonych aż do znużenia, z gorącym apelem o większą rozwagę i obiektywizm przy ocenie własnych możliwości. Bo zawód naukowca, jak żaden inny, grozi bankrutem życiowym. By najlepsze chęci na niewiele w nim się zdadzą. Trzeba mieć autentyczny talent twórczy. Ale i on jeszcze nie chroni przed fiaskiem. Trzeba umieć pracować z żelazną konsekwencją bez oglądania się na profity (które nie nadchodzą!), i do tego mieć jeszcze tę odrobinę szczęśliwości, aby szukać we właściwym kierunku, aby trafić do właściwego zespołu, w odpowiednim momencie mieć dostęp do odpowiednich pracowni i urządzeń.

Pisarz zawsze kogoś drażni, gorszy, oburza, zawsze kogoś zawadza, przeszkadza, zawsze kogoś jego cień przesłania i kogoś nie pozwala urosnąć, zawsze są nagłe problemy, o których się jutro zapomni, które dziś jednak wymagają natychmiastowych rozstrzygnięć i sojuszu. Również i te słowa Widoka bez najmniejszych zmian pasują do sytuacji naukowca, znów z położeniem nacisku na przeszkadzaniu i przesłanianiu, na nagłych problemach do zapomnienia, na potrzebie sojuszy. Czy każdy jest w stanie oprzeć się takim presjom? Właściwie, iż trzeba w dodatku uczestniczyć w nieustającym wysiłku: pracować trzeba tak, aby przed innymi dotrzeć do celu. Trzeba rywalizować i trzeba czynić to w sposób szlachetny, po olimpijsku; i trzeba zgodzić się, że z rywalizacji takiej rzadko wychodzi się z laurem pierwszeństwa. Bo tu, jak widzisz, trzeba biec tak szybko, jak się potrafi, żeby zostać w tym samym miejscu. Jeżeli chce się znaleźć w innym miejscu, trzeba biec co najmniej dwa razy szybciej (Królowa do Alicji w świecie po drugiej stronie lustra, w tłum. Macieja Słomczyńskiego). Czy każdego absolwenta wyższej uczelni stać na to wszystko, stać na bieg dwa razy szybszy niż się potrafi?

Znamy literatów zdolnych, którzy z trudnością zdają zarobić na kawałek chleba, znamy także innych, którzy pod płaszczykiem blagi kryją pływacką umysłowość, a mimo to robią dobre interesy. To stwierdzenie sprzed

90 lat, przypomniane przez Widoka, również pasuje — tu i ówdzie — do współczesnego świata naukowego. Jednak wśród młodych adeptów na uczonych na pewno nie ma takiego, który by świadomie planował dla siebie karierę hochsztaplera. Tym zostaje się później, gdy konfrontacja aspiracji i możliwości daje wynik ujemny, i gdy brakuje odwagi na zmianę drogi życiowej. Wiedzieć jednak trzeba, że blagierstwo naukowe nieuchronnie mści się; słono ono kosztuje i blagiera i społeczeństwo, choć na krótką metę może się blagierem naćleć mleka konwiami.

350 lat temu pisał Girolamo Cardano: Wynika z tego, o Teofilu, że doktorzy są dziś cenieni tak samo jak sardyńki; mało trudu zużyto na ich wychowanie, znaleźć ich i złowienie, można więc je kupić za niską cenę. Od czasów Renesansu cena sardyńki zdecydowanie wzrosła, m.in. dzięki pracy rzesz doktorów, niezbyt uczonych w prawach ekologii, nie uświadamiających sobie dalekosiężnych skutków działalności technicznej, właśnie wskutek braku wyobraźni oraz nastawienia konformistycznego. Czy wzrosła również i cena doktorów, zaletę będzie w dużej mierze od kandydatów na doktorów. Zależać też będzie od hodowców, którzy mimo wszystkie presje i palące problemy dnia — domagające się natychmiastowych rozwiązań — powinni bardziej przykładąć się do znachodzenia i łowienia najszlachetniejszego narybku, czyniąc to z namysłem i mądrze.

Potrzebna jest więc rozwaga „hodowców”. Lecz jeszcze bardziej pożądana jest namysł i rozwaga ze strony adeptów na uczonych. Prawda jest, że nauka wchłonie każdego, i każdy w niej się przyda. Jednak do gry naukowej zasiadać powinni raczej ci, którzy nie tylko subiektywnie czują, ale i mają ku temu obiektywne podstawy, iż w grze tej nie zostaną bezapelacyjnie zatamowani; że mają realną szansę aby szachować i matawać. Takich graczy nauce potrzeba, bo tylko tacy są w stanie tworzyć postęp.

Warto tysiącom corocznych kandydatów na uczonych jasno przedstawić trudności, śliskości i niebezpieczeństwa zawodu naukowca. Gdy mimo to podejmą decyzję na „tak” to będzie to decyzja świadoma, a więc dyktowana prawdziwą wewnętrzną potrzebą. Takim należy zapewnić godziwe warunki rozwoju. Mniej będzie naukowców z nazwy, za to więcej twórców nauki i uczonych w nauce. I co najważniejsze, mniej będzie ciężkich rozczarowań i frustracji.

UCZONYM IN SPE KU PRZESTRODZE...

co do wyboru drogi rozwoju zawodowego.

Pisze redaktor Widok w 18 (1169) numerze „Odgłosów”: Na dobrą sprawę należałoby młodym adeptom literatury bez ustanku tłumaczyć jedno — że jest to droga śliska, zawodna, niosąca niepokój i frustrację, których ciężaru niektórzy po prostu nie są w stanie wytrzymać. Słowa te bez zmian — a jedynie z położeniem szczególnego nacisku na niepokójach i frustracjach i z wypunktowaniem zawodności — można odnieść do tych wszystkich, którzy zamierzają poświęcić się nauce. A kandydatów na naukowców jest niepomniernie więcej niż kandydatów na literatów — przeto i ranga problemu nabiera okazalszego znaczenia.

Miraż pozycji uczonego jest tak pociągający, że parcie na pracę w nauce jest ogromne: bez głębszego namysłu, bez samokrytycznej oceny zdolności i predyspozycji — byłoby tylko „zaczepek się” o etat naukowy, zyskać status naukowca. Chyba słusznie powołanie — uczony, zamieniono na zawód — naukowca. Jednak zawód ten jest szczególnie zawodny ze względu na fakt, iż okres tzw. sprawdzania się jest długi, a konkluzja: „nie nadaje się” zapada wówczas, gdy już trudno zaczynać życie zawodowe od nowa.

Na niwie literackiej startować można dość wcześnie, nawet przed maturą. A po 2—3 wierszach, opowiadaniach czy nawet po pierwszej powieści wiadomo, że z grafomanem czy z talentem sprawa. Diagnozę postawić więc można dość wcześniej.

znów pod naciskiem promotora oraz pod naciskiem widma rotacji i planów produkcyjnych uczelni. Ostre to bicz — aby więc je złagodzić, powołano studia doktoranckie, z istoty swojej zakładające raczej bierną niż twórczą drogę do doktoratu.

Powiedzmy, iż udało się zrobić doktorat w przepisany okres 2+6 lat asystentury, lub w ciągu 4—5 lat studiów doktoranckich, po uprzednim kilkuletnim stażu zawodowym. Metrykalna trzydziestka co prawda minęła, za to można przed nazwiskiem postawić magiczne „dr”. I co? Produkcyjne zakłady pracy na doktorów w praktyce nie reflektują. Pozostaje nauka. A tu trzeba zacząć myśleć za siebie i innych. Myśleć to znaczy (1) przede wszystkim stawiać rozsądne pytania w wybranej dziedzinie wiedzy oraz znajdować sposoby uzyskania odpowiedzi na te pytania — a do tego trzeba mieć właściwy talent. Myśleć, dalej, to (2) zdobywać współpracowników oraz (3) niezbędne materiały i wyposażenie laboratoryjne; to (4) zdobywać wcale nie małe fundusze na planowane badania, ponieważ bezpowrotnie skończyła się era budżetowego garnuszka, zastąpiona przez erę samofinansowania. Myśleć, to (5) umieć przedstawić swoje wyniki światu naukowemu; a dodatkowo — przy pracy w uczelni — (6) poradzić sobie z dydaktyką (tj. z wykładami, seminariami i dziesiątkami innych obowiązków). Dochodzi do tego potrzeba (7) systematycznego przyswajania sobie treści setek wieloletnich artykułów specjalistycznych oraz (8) ciągłego wprowadzania innowacji, burzenia już zbudowanego po-

rozwoju nauki i postępu. A czy łatwo być nonkonformistą?

W nauce talent to przede wszystkim ciekawość oraz zdolność do oryginalnego spostrzegania i do oryginalnego konceptowania, przejawiające się dopiero po włożeniu wieloletniej pracy w opanowanie podstaw danej dziedziny wiedzy. A właśnie oryginalność skojarzeń i ciekawość — przyrodzone każdemu dziecku — nieubłągalnie zanikają z wiekiem, przy czym tempo zaniku przyspiesza zarówno szkoła, jak i uczelnia. Mało pociągająca to prawda, ale prawdziwa! Gdy minie euforia związana z uzyskaniem doktoratu, okazać się może, że daleko w tyle pozostała ciekawość i oryginalność. Co wówczas? Pozostaje rutyna, postępowanie koleinami dawno opuszczonymi przez innych; praca bezpłodna, a więc bezsensowna i dla nauki i dla naukowca — czyli klasyczna sytuacja stresogenna, pełna napięć, frustracyjna. Pozostaje gorzkie stwierdzenie, że doktorów w nauce liczy się na pęczki, i że pierwszy formalny stopień samodzielności naukowej, tj. habilitację, uzyskuje się średnio około pięćdziesiąt lat w metryce. To po stronie zawiedzionych ambicji i niespełnionych nadziei.

Po drugiej zaś stronie — formalnej — wraz z doktoratem przychodzi pełna stabilizacja czyli pewność zajmowania etatu aż do emerytury. Czyli około trzydziestu lat markowania nauki, robienia przy nauce, ale nie jej tworzenia. Skutki? Z jednej strony — wyjątkowo wysoka zapadalność na psychozy w zawodzie naukowca. Z drugiej zaś — niewydajność badań naukowych; przeludnienie pracowni

Cztery lata temu udało mi się kupić dwa pierwsze tomy dzieł prasy polskiej — opracowane pod redakcją prof. Jerzego Łojka przez Pracownię Historii Czołpismnictwa Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, a wydane przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe.

Bardzo tasemcowa nazwa, ale cóż robić. Celowo podaje te wszystkie dane, żeby zarówno pochwalić jak i pretensje miały precyzyjny adres. Niestety, radość z ówczesnego nabytku zaczęła nieco przysięgać, gdy rozpocząłem lekturę. Nie uważam siebie za znawcę dzieł prasy polskiej, ale na temat prasy łódzkiej coś niecoś wiem. Z irytacją zatem czytałem tom drugi obejmujący lata 1864—1918, w którym o prasie Łodzi znalazło się parę całkowicie bałamutnych informacji.

Przed wszystkim nie odnotowano tam w ogóle pierwszej polskiej gazety codziennej „Dziennika Łódzkiego”, wydawanego w latach 1884—1892, a więc dość długo jak na ówczesne warunki. Odnotowano natomiast zupełnie inny „Dziennik Łódzki” — nie nie znaczącą efemerydę, której parę numerów ukazało się w roku 1907.

Przekreślono nazwisko Stanisława Książka, zasłużonego dla kultury wydawcy i drukarza,

uwiecznionego przez Jullana Tuwima w jednym z wierszy. Zresztą cały ród Książków wielce się kulturze zasłużył, także i współcześnie.

Wprowadzono też do dzieł prasy bałamutną informację, że z inicjatywy redakcji pisma „Śmiech” powstał w Łodzi pierwszy teatrzyk satyryczno-humorystyczny... Otóż

stał osad niewiary, także w pozostałe informacje autorów opracowania. Jeśli bowiem roi się o błędów i przeoczeń w sprawie łódzkiej prasy, skąd mam mieć pewność, że podobnych przeoczeń i błędów nie ma na pozostałych stronach dzieła?

Wiosną tego roku ukazał się trzeci tom dzieł prasy, obejmujący lata 1918—1939. Brałem

DZIEJE PRASY

„Śmiech” powstał w końcu roku 1912, a już rok wcześniej działał w Łodzi aż trzy teatrzyki. Na temat gazety Wiktora Czajewskiego, „Rozwój” nie ma słowa informacji, poza wymienieniem tytułu — nawet nazwiska wydawcy nie ma w indeksie. Przeoczenie dość istotne, bowiem „Rozwój” był gazetą badającą najbardziej zasłużoną dla kultury Łodzi. Czajewski wydawał także książki dla swoich prenumeratorów — m.in. „Historię Polski” i „Pana Tadeusza” — czyli prawie pół wieku wyprzedził podobne inicjatywy wydawnicze, które podjęto po roku 1945.

Słowem — po lekturze pozo-

go do ręki ze zrozumiałą nieufnością. I oto — miła niespodzianka! Wszystkie gra, poza pomyłką w nazwisku Heleny Kokorzyckiej, która wydawała w Łodzi oświatową „Wolną Mysl — Wolne Zarty”.

Tym razem autorem całego tomu jest jeden tylko historyk, ale za to specjalista dużej klasy — Andrzej Paczkowski, autor m.in. „Czwartej władzy” — syntezę historii prasy oraz cennego opracowania „Prasa Drugiej Rzeczypospolitej”. Jako lokalny patriota jestem całkowicie usatysfakcjonowany obrazem prasy łódzkiej w trzecim tomie tego monumentalnego dzieła.

Kłopot jest tylko z tomem pierwszym, w którego tytule widnieją lata: 1661—1864. Ta pierwsza data to rok wydania „Merkurysa Polskiego”, pierwszej polskiej gazety. Tak w każdym razie myślałem do niedawna.

Historia jednak płata figle. Najnowsze badania docenta dr Konrada Zawadzkiego doprowadziły do odkrycia gazety starszej o... sto lat od „Merkurysa”. Były to „Nowiny” wydawane od 1557 roku, całkowicie zaginione, nie widział ich nawet Estreicher, który w swojej bibliografii odnotował je jako druk znany wyłącznie z przekazów. Okazało się jednak, że „Nowiny” istnieją realnie. Obecnie odnaleziono je w zbiorach Józefa Łukaszczyka w Oksfordzie. Ale jeszcze przed „Nowinami” ukazywały się w Polsce druki ulotne o charakterze gazety. Wydawano je z inspiracji dworu królewskiego na Wawelu już od roku 1514, czyli ponad 150 lat przed „Merkuryszem”.

W ten sposób pierwszy tom „Prasy Polskiej” okazał się nieaktualny i dzieło czołpismnictwa trzeba pisać od nowa. Miejmy nadzieję, że przy okazji naprawione zostaną przeoczenia i błędy dotyczące lat późniejszych.

WIDOK

HALINA PAWŁOWICZ MIROSLAW SZONERT



Pasje tej pary?
Gra i zegary!

Rys Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

NIEODWZAJEMNIONY UŚMIECH

Władysław Kozakiewicz z uporem atakował rekord świata w skoku o tyczce, a ja — i zapewne wielu innych kibiców — coraz bardziej wątpiłem w jego sukces. A jednak Władysław Kozakiewicz jest dziś rekordzistą świata. Dowiódł, że upór i wytrwałość mogą w końcu doprowadzić do upragnionego rezultatu. Chcieć, to móc.

Inaczej to wygląda u piłkarzy. Grając z drużyną FRN bardzo chcieli wygrać, ale niestety nie mogli. Okazało się, że nie zawsze chcieć to móc.

Piłkarze nas nie rozpieszczają. Jeśli nawet wynik może nas usatysfakcjonować, bo spodziewaliśmy się, że będzie gorzej, a tu tak nie jest, to sposób, w jaki ten pocieszający wynik osiąga się, pozostawia wiele do życzenia i wiele niesmaku u nas, kibiców. Mecz z RFN pokazał aż nadto wyraźnie wszystkie plusy i minusy naszej budującej się reprezentacji. Tylko, że plusów było mało, a minusów całe morze.

Ryszard Kulesza był po meczu zadowolony. Powiedział, że „było to bardzo interesujące i dobre spotkanie”. I dodał, że „mecz mógł być bardziej wyrównany, jeśli chodzi o wynik, o którym zdecydowały właściwie dwa błędy”. Jeden błąd popełnił Roman Wójcicki, kiedy wyłożył piłkę przeciwnikowi, drugi — Zbigniew Boniek, któremu przeciwnik odebrał piłkę. Ale kibice nie byli zadowoleni. Myślę, że piłkarze również.

Lesław Cwikiewicz, komentując ten mecz na gorąco, przypominał powszechnie znaną prawdę, że taką mamy reprezentację, jaką mamy ligę. A jaką mamy ligę — wszyscy wiemy. Drużyna RFN obnażyła wszystkie braki naszej reprezentacji, słabe wyszkolenie techniczne, brak umiejętności celnego strzelania, słabość w podejmowaniu kontrataków, nieumiejętność szybkiego biegnięcia, niecelność podań. To wszystko znamy z ligowych boisk. Ale nie może to być usprawiedliwieniem dla słabości budowanej reprezentacji. A argument ten brzmi często jak usprawiedliwienie, co jak przysłowie, że z pustego i Salomon nie naleje. Niepowodzenia naszej reprezentacji rodzą nieoczekiwane tęsknoty. Słyszysz się ciepłe słowa pod adresem Kazimierza Górskiego, który potrafił zbudować reprezentację w szybkim tempie, a liga wtedy też nie była najlepsza. Objął on kadre w 1971 roku, w 1972 roku zdobył złoty medal olimpijski, a w 1974 — pozbierany na mistrzostwach świata. Tylko że były to inne zupełnie czasy, inne uwarunkowania, inny przeciwnik. Ale małuczkę, a niektórzy kibice zaczęli tęsknić za Jackiem Gmochem, na którym jeszcze tak niedawno powszechnie psy wieszano. Skąd się biorą te tęsknoty?

Za nami ciąg niepowodzeń naszej piłkarskiej reprezentacji, przed nami szybko zbliżające się eliminacje do kolejnych mistrzostw świata. Jak stan drużyny będzie nadal taki, to możemy przegrać również z Maltą. Kibice się tego boi i chciałby już widzieć naszych piłkarzy strzelających celnie do bramki przeciwnika. I to silnego przeciwnika. A tu ciągle nic. Rodzi się więc obawa, że Ryszard Kulesza nie poradzi sobie z czekającym go zadaniem, że brak postępów w budowie reprezentacji może mieć głębsze podłoże, może wynikać z braku koncepcji. Skoro zakładamy, że poziom wyszkolenia w lidze decyduje o poziomie reprezentacji, to coś z tym wyszkoleniem najlepszych trzeba zrobić. Kluby nie mają w tym żadnego interesu. Ryszard Kulesza jest zachwycony współpracą z klubami, kibice widzi, że w decydującym momencie dobrze wyszkolony przeciwnik traktuje naszego dobrego piłkarza jak chłopaczka od juniorów, albo i jeszcze gorzej. I zapewnienia R. Kuleszy tracą wszelkie znaczenie.

Kibice też widzi, że w reprezentacji pojawiają się ciągle ci sami piłkarze, w stosunku do których można mieć takie czy inne zastrzeżenia, jak choćby Andrzej Szarmach, czy wspomniany już R. Wójcicki. Kibice zastanawia się, dlaczego bierze się tych, a nie innych? Czyżby rzeczywistość nie było już dobrych graczy w klubowych zespołach? Dlaczego na przykład nie gra w kadrze król strzelców ligi, a gra zupełnie nieporadny Andrzej Szarmach? Skoro już powołujemy weteranów, to jeszcze kilka innych nazwisk można byłoby przypomnieć.

Ryszard Kulesza uśmiecha się do nas mile i sympatycznie. Chcielibyśmy ten uśmiech odwzajemnić, ale jak do tej pory nie możemy.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

75 lat temu, 2 maja 1905 roku, „Rozwój” — dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny, literacki, ilustrowany, posiadający kantory własne w Warszawie, Pabianicach i Zgierz, a ukazujący się w Łodzi, opublikował następującą wiadomość: „Z kolei. Wczoraj pocigiem bezpośrednim komunikacji Warszawa — Łódź, o godz. 11 przed północą, przybyło do Łodzi 147 pasażerów i jedna sztuka bagażu. Od czasu istnienia drogi łódzkiej nie było jeszcze wypadku, aby pocigiem osobowym przybyła tylko jedna sztuka bagażu”.

Ot, i sensacja. W tym czasie Łódź miała dwa bezpośrednie podłogi do Warszawy. Pierwszy odchodził o 7.10, a drugi o 18.10. Z Warszawy też przychodziły dwa bezpośrednie podłogi. Pierwszy o godzinie 10.15, a drugi o 23.00. To właśnie był ten, którym 1 maja 1905 roku przybyła do Łodzi jedna sztuka bagażu. Mieli ludzie wówczas zmartwienia. Z komunikacji oczywiście, bo innych im nie bardzo jest co zazdrościć.

Tenże sam „Rozwój” donosi 10 maja 1905 roku:

„Wagon bezpośredniej komunikacji. Dla wygod publiczności w pociągu nocnym, który odchodzi z Warszawy o godzinie 12-tej min. 15 po północy, a przychodzi do Łodzi o godzinie 4 min. 35 w nocy, będzie kursował wagon I i II klasy bezpośredniej komunikacji z Łodzią”.

Dbało o to tego pasażera.

Alie też i tych pasażerów było mało. Ludzie nie wiozli się zbytnio po świecie. Nie każdego na to było stać. Interesy raczej trzymały na miejscu. A i kolej dopiero rozwijała się. Wśród tysięcy żądań, jakie wówczas wysuwały pracujący pod ad-

resem pracodawców, był to przecież rok narastającej rewolucji, znalazły się też żądania kolejarzy. Domagali się oni na przykład połączeń telefonicznych pomiędzy różnymi posterunkami, pomocnika dla kasjera na stacji Łódź Fabryczna, pomocnika dla zawiadowcy oraz wysuwali inne żądania związane z placami i opieką lekarską. Dziś koleją jest już potężna organizacja. Ziośliwi twierdzą, że gdyby tak ludzie przestali nagle interesować się koleją, gdyby zaprzestano podróżowania i przewożenia bagażu oraz towarów, to kolej jeszcze przez długie miesiące miałaby co robić nim by się sporażono, że właściwie ten rodzaj transportu stał się bezużyteczny. Ale ziośliwi nie mają racji.

DAWNIEJ I DZIŚ

Inna rzecz, że faktycznie działanie PKP sprawia takie wrażenie, jakby tam nikomu nie chodziło o pasażera. Niedługo wejdzie w życie nowy rozkład jazdy. Z nadchodzącymi zmianami można się już zorientować, że nie przyniesie on dla podróżnych nic nowego. Podróżowanie nie stanie się przyjemnością, a tylko udręką. Linia do Kutna jest remontowana. Do Kozłuszek pociąg chodzą jak chcą. Na ogół nie widać, kiedy jest największy tłok na tej linii. A wiadomo, że jest to linia latem szczególnie wykorzystywana, jako że łączy miasto z lotniskowymi miejscowościami.

Fatalne mamy też połączenia z miejscowościami uzdrowiskowymi, jak Kozłobrzeg, Ustka, Hel i Iława. A ludzie muszą jeździć na odpoczynek. I muszą jeździć nad morze. Jest to potrzebne dla naszego zdrowia.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Już następnego dnia po przyjeździe na wczasy pani kierowniczka uciściła nas przy zabranie i zarządziła „małe zebranie”. Najpierw zawiadomiła, że wody w kranach nie ma i nie będzie, bo remont, więc żeby nie brudzić, zwłaszcza w toaletach. Nikt jakoś nie zapytał, gdzie wódecz, tego brudzić. W każdym pokoju jest wiadereko i rano należy sobie nalapać wody w piwnicy.

Potem wstała młoda pani, przedstawiła się jako instruktor kulturalno-oświatowy i zapowiedziała mnóstwo imprez, a przede wszystkim: spacer wokół miejscowości, występy „Estrady” po pięćdziesiąt złotych w bardzo ciekawym programie skróconej „Hrabiny Maricy” i wieczory klubowe w klubie. Tak powiedziała: klubowe w klubie. Poinformowała też, że obraz w telewizorze jest zły, albo go wcale nie ma, ale to wina przekątnika i absolutnie nie wolno kręcić galkami. I jeszcze — żeby nie kraść noży, bo to dobro społeczne, i nie wyrzucać butelek przez okno, bo się potem sami pokaleczymy.

Zebranie zakończyliśmy wyborem starosty, starościny, kierownika sportowego i kulturalnego. Wyhory były łatwe, bo nikt nikogo nie znał i każdemu było wszystko jedno. Podnieśliśmy parę razy ręce i spokój.

Spokój był prawie idealny: przez całe dwa tygodnie kierownik sportowy i kulturalny

ani razu nie obciążyli nas żadnym zajęciem ani sportowym, ani kulturalnym, wzorując się zresztą na etatowej pani instruktorki, która skoncentrowała się na ciulaniu skondekadek pod sprawozdanie ze swej działalności: wywieszała co parę dni programy imprez, które następne wcale się nie odbywały. Najczęściej były to owe sławetne wieczory klubowe w klubie. Ich klubowość polegała na tym, że w pustym i nudnym pomieszczeniu można było się napić herbaty, nalewanej z wielkiego czajnika. W związku z brakiem wody w kranach, herbatę ta miała pewne znaczenie: poma-

Spokój jednak nie był zupełnie idealny, a tylko prawie idealny. Bo oto starosta ze starością, dopingowany przez najbardziej uspołecznione elementy naszego turnusu, postanowił spełnić zadanie, do którego zostali wybrani i powołani, mianowicie zorganizować składkę na upominki dla personelu. Zabrali się do tego w godzinę po wyborach. Upominek jest jak wiadomo podziękowaniem za szczególnie miłą, życzliwą, sympatyczną obsługę. Nie mieliśmy pojęcia, jaka ta obsługa będzie, a już z góry mieliśmy za nią dziękować — i to, zgodnie z uchwałą najgłośniejszych

może się nie odbyć. Podział kwoty i ustalenie, co za nią kupić, były przedmiotem wielkośći rozmów przez dwa tygodnie wczoraj. Rozmowy uzupełniło kilka anonimowych, złożonych staroście pod drzwiami, a posadających ją o obrócenie części zebranych pieniędzy na własny użytek. Starościna przeczytała anonimowo głośno przy obojętności i skłóciła nas do reszty. Kelnerki stały nam nad głowami i pewnie liczyły, na ile skrzywdziła je starościna. W nieznośnej, pełnej podejrzeń atmosferze kończyliśmy urlop. Księgowy, który odważył się zakwestionować wysokość składek, uznany został za wstępnego skapca i nikt nie chodził z nim na spacer. Pani z kolą dostawała podobno podwójne porcje wędliny. Sprzątaczkę wymyślały nam za źle posłane łóżko i pełne niedopałków popielniczki. Pani instruktor kulturalny poprosiła o wpis do księgi pamiątkowej, więc wpisaliśmy, że jeszcze nigdzie nie było nam tak przyjemnie i że kochamy naszą panią Celinkę (szefową kuchni) i panią Zosię (kierowniczkę).

Wieczoru pożegnaliśmy nie było, bo wszyscy rozjechali się przed czasem, zostawiając nie wykorzystane bony stołowe. I to był jeszcze jeden konkretny, wymierny upominek dla dzielnego personelu.

ĆWIEK

Skrócona hrabina

gała tykać pigułki, przywiezione z domu. Nie starczało to jednak za kulturalne spędzenie wieczoru. Skrócona hrabina odbyła się zgodnie z planem, jak również spacer dookoła miasteczka, z odpowiednimi dowcipami w odpowiednich miejscach. Na spacerze uroczy pan Micio — właściciel zakładu fotograficznego — narażił zdjęć z psem i z kucykiem, a także w różnych rozemnianych konfiguracjach, więc mieliśmy już z czym wracać do domu: byliśmy pamiątki.

pani i panów, po setce od głowy. — To jest przeszło siedem tysięcy złotych! — obliczył szybko jeden księgowy. — A cóż to jest siedem tysięcy? — zachnęła się tęga pani z burzystynową kolą na szyi. — W dzisiejszych czasach?

Okazało się, że to faktycznie niewielka suma, jako że uznano za konieczne podziękować: kierownicze, trzem kucharkom, czterem kelnerkom, sześciu sprzątaczkom i czterem członkom orkiestry z wieczorku zapoznawczego, który bez tego

Załącznik nr. 70/.../80

HASŁO NUMERU: Zbliża się lato. Czy zaopatrzyłeś się już w ciepłą odzież?

Przestępstwo przedszkolaka

Trzyletni Marcin zabrał z przedszkola do domu klucz leżący na parapecie. Kiedy trzeba było przedszkole zamknąć, okazało się, że nie ma czym.

Następnego przedszkolnego dnia Pani Dyrektor Przedszkola przeprowadziła dochodzenie w sprawie klucza. Marcin przyznał się. Na jego usprawiedliwienie w sprawie tego czynu (przyniesienia klucza) trzeba przyjąć młodość wiek i wynikające z niego niedoświadczenie życiowe.

Kiedy przyszła pora odnawiania wpisów do przedszkola, Pani Dyrektor Przedszkola odmówiła wydania klucza. Marcin po prostu został relegowany — pisze w „Głosie Robotniczym” Gustaw Romanowski.

Fakty same się niby komentują. Ale coś nam się zdaje, że

zaszła tu jeszcze jedna okoliczność obciążająca. Rodzice Marcina nie kłaniali się chyba zbyt nisko Pani Dyrektor Przedszkola.

Stopa rośnie

Fabryka Zapalek z Bystrzycy

TO I TAMTO

odpowiedziała na podwyżkę cen swoich wyrobów stopniowym, lecz skutecznym pogarszaniem ich jakości. Jeszcze do niedawna siarka — chociaż tyle jej było, co kot napłakał — dawała się od czasu do czasu zapalić. Potem — zielona farba, imitująca siarkę, nie dawała się zapalić.

lic, nawet mimo intensywnego pocierania o brzeg pudełka. Ostatnio zaś nie ma już co palić, bo z zapalek producent pozostawia coraz częściej w pudełku same drewnienki.

Świat jednak idzie w przód, bo przed wojną dzielono się przed użyciem jedną zapalniczką na czworo, teraz w ciągu jednego dnia zużywa się

cztery pudełka zapalek. Statystyka potęgą jest i basta!

Długi czasokres

Cytat z artykułu pt. „Kultura

to... dialog”, zamieszczonego w „Tygodniku Piotrkowskim” z 14 maja 1980 roku.

„Na pewno, subiektywnie rzecz biorąc, czyli z punktu widzenia wspomnianych kierowników ZDK, długość czasokresu ich pracy na kierowniczym stanowisku wynika z jakości harmonii, ze środowiskiem, mecenasami, co się z tym wiąże, z daniem sobie rady i osobistym widzeniem siebie w tej robocie”. Aczkolwiek, oczywiście, niestety, naturalnie.

S.Z.Peracz

Rekordzista przez dwie sekundy

37-letni Brazylijczyk założył się z kompanami w barze „Italia” w Rio de Janeiro, że w ciągu dwu minut wypije litr wódki, nie odrywając butelki od ust.

Wygrał zakład. Rekordzista był przez dalsze dwie sekundy, po czym zmarł.

(k)



Pogoda dla bogaczy.

Rys. Jan Zieliński

Z poczty

„Załącznika”

Z satysfakcją przeczytałem w „Załączniku” kpinę pt. „Pogratulować”. Dotyczyła odległych terminów przesłania listów i dwunastu dni w placówkach ZOZ Łódź-Górna. Satysfakcja to zresztą smutna, gdyż sam jestem pacjentem, któremu swego czasu w pracowni rtg powiedziano, że nie mogę szybko zrobić prześwietlenia z względu na brak tzw. kontrastu, bez którego o zdjęciu nie ma mowy. Co innego, gdybym przyszedł z własnym kontrastem.

Jestem już po prześwietleniu. Kontrast kupiłem! Gdzieś na łódzkich baszrach.

Próbowałem zainteresować tym problemem funkcjonariuszy MO, korzystając z okazji, że trzeci już — tego samego dnia — patrol kontrolował stan techniczny mojego samochodu. Spojrzał na mnie, jak na wariata, że tylko jak na wariata!

Aleksander J.

Ze sportu

Jak zwykle

Jak zwykle wszystko skupiło się na trenerze. Hokeiści Podhala z Nowego Targu w tym sezonie nie zdobyli mistrzostwa Polski, a jedynie wicemistrzostwo. Nie odpowiadało im ambicjom działaczy. Zwolnili więc trenera, Stanisława Frylewicza, przenosząc go do pracy z młodzieżą. Nowym trenerem został Wiktor Pysz.

Jak z tego widać, wśród działaczy sportowych nie dzieje się nic nowego.

Trafny tytuł

Korespondent „Sztandaru Młodych” relację z meczu pił-

karskiego ŁKS — Odra Opole zatyłował „SZKARADA”.

Dlaczego?

Na łamach „Sztandaru Młodych” ukazał się list byłego trenera siatkarek ŁKS — Ryszarda Felisiaka, zwolnionego z obowiązków trenera po awansie drużyny siatkarek do II ligi. Każdy ma prawo pisać do jakiej chce gazety. Mimo wszystko pytamy retorycznie: dlaczego Felisiakowi nie chciało się napisać do żadnej z łódzkich gazet?

K.I. BIC

PYTANIE DO...

Od dłuższego czasu deliberujemy sobie nad taką zagadką techniczną. Dlaczego na przykład przy różnych pracach remontowych, przebiegających w różnych rejonach miasta, woda ciepła przestaje być wodą ciepłą, choć takiej nazwy nikt jej nie odbiera. Odkryć się kurek, w którym — sądząc z nazwy — powinna być ciepła woda, a ona nie jest nawet letnia.

Deliberował nad tym cały zespół „Załącznika”, bo właśnie po wyłączeniu ogrzewania w rejonie Czerwonego Rynku woda ciepła nagle gwałtownie ostygła i jak do tej pory z trudem odzyskuje swoją ciepłość i to tylko w niektórych porach dnia. Dlaczego tak się dzieje?

Pytanie to kierujemy do... Władze do kogo. Chyba do Zakładu Sieci Ciepłej? Sądząc z nazwy, oczywiście...

P.Zimny

„Hot-Dogi” schodzą na psy

Po pierwsze — nie są już wcale takie gorące. Po drugie — wsad mięsny, tj. parówka, ulega coraz dalej idącemu odstępstwu od licencyjnych parametrów.

Exemplifikację tej tezy znaleźć można — na przykład, bo najbliższe redakcji „Załącznika” — na łódzkiej „ścianie wschodniej”, pod „Juventusem”, gdzie panienki z delikatesowego okienka sprzedają coraz to krótsze parówki w coraz to chłodniejszych bułkach, coraz też częściej zastępując licencyjny keczup swoją musztardą. A ludzie? Ludzie i to kupią, bo ciągle nad jakość wyrobu przedkładają obcojęzyczną — chociażby licencyjną — metkę czy nazwę. Do czasu jednak, a czas — najwyższy.

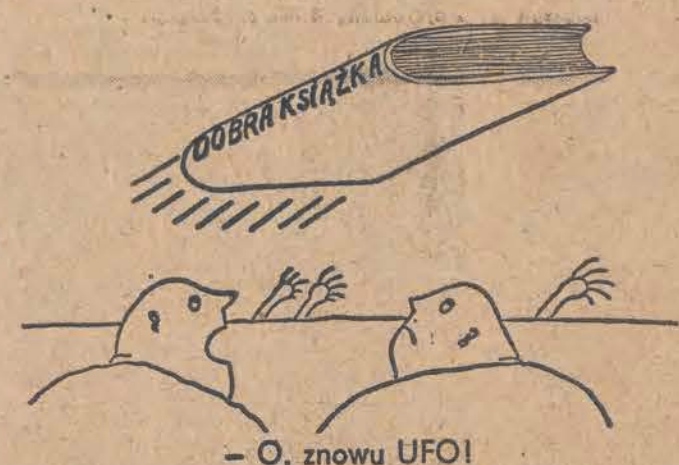
odpocznikiem postanowił odwiedzić toaletę, w myśl zasady: siusiu, paciorek i spać.

Chwilejnym krokiem, trudno powiedzieć w negliżu, ale coś koło tego, wkroczył dumnie na salę konferencyjną, gdy rozległ się przeokropny krzyk i pisk. Radziły tu bowiem panie z Towarzystwa Pań Dostojskich. Wezwano milicję. Sprawą zajęły się Wysokie Władze Zwierzchnie. Podjęto decyzję.

Postanowiono miłanowicie przydzielić panu Zet kuratora, który będzie dbał jedynie o to, aby pan Zet zbyt mocno nie wzmacniał swego organizmu czymś mocnym, a pobudzającym.

PS. Wszelkie podobieństwo do jakiegokolwiek osób czy zdarzeń jest zupełnie przypadkowe.

Zyg.



— O, znowu UFO!

Rys. Walerian Domański

Z PRASY

DE GUSTIBUS

„Karuzela” w „Rozmowie z architektami” — prezentuje słynną już willę przy ulicy Krakowskiej w Łodzi — oraz właściciela tej willi — Henryka Korte.

Pamiętamy, o czym przestrzegali starożytni Rzymianie: de gustibus non est disputandum, co tłumaczy się, że gusty nie podlegają dyskusji.

Z kronikarskiego obowiązku warto przypomnieć, że o tej willi w sposób bardzo krytyczny pisał znakomity, już nieżyjący artysta-plastyk Wacław Kondke. Sprawa skończyła się procesem, w wyniku którego sąd odmówił artyście prawa do publicznego krytykowania czyichś prywatnych, acz wystawionych na widok publiczny, upodobań i gustów...

Tyle gwoździ uzupełnienia „Karuzeli” — rozmowy i osadzenia jej w nieco szerszym kontekście.

K.R. Onikar

LABIRYNT NUDY

Do labiryntu nudy skierował Jerzy Tomaszewicz ze „Sztandaru Młodych” dwie kryminalne powieści z serii „Labirynt” wydawanej przez Wydawnictwo MON. Tego wątpliwego zaszczytu doznały książki: Piotra Tolskiego „Kustosz Karpinowa” i Andrzeja K. Bogusławskiego „Czerwony alarm”.

Bardzo lubimy kryminały i nie mamy nic przeciw tego rodzaju dobrej literaturze, ale proponujemy nieśmiało, żeby w trudnym okresie, kiedy brakuje papieru, dokonywać jednak ostrzejszej selekcji.

Oz. Y. Teinik

TYLKO NA SŁODKO

Mamy smutną wiadomość dla smakoszy wytrawnych win. Na pytanie „Expressu Wieczornego” dlaczego w Warszawie od kilku miesięcy brakuje wytrawnych win, dyrektor Centralnych Piwnic Win Importowanych — Jacek Fraczak odpowiedział, że nie może obiecać, iż sytuacja ta zmieni się, bo dostawy win wytrawnych pokrywają zaledwie 10-20 proc. zapotrzebowania.

Win słodkich jest natomiast pod dostatkiem.

Jest jeszcze piwko. Jest wódka.

Dry

PRZTYCZKI

W sprawie kaco

Czyn pierwszomajowy

Sprawozdawca „Expressu Ilustrowanego” relacjonując przebieg meczu ŁKS — Lech Poznań zakończony słomną porażką gospodarzy stwierdził, że kibice opuszczający stadion przy al. Unii mieli sportowego kaco. Znalazimy do tej pory kaco fizjologiczne (po przebiegu), a także moralnego (kiedy człowiek brzydzi się sam sobą). Kaco sportowy stanowi pewne nowum, zwłaszcza u kibiców. Ciekawe jednak jakiego kaco mieli zawodnicy pokonanej drużyny?

W swolsty sposób podjął zobowiązania pierwszomajowe kierownictwo wywrotki nr 518 (tablica rejestracyjna LDA 654E) należącej do Przedsiębiorstwa Transportu Handlu Wewnętrznego z ul. Siewnej 5. W przeddzień Święta Pracy pozbliżył się śmieci wysypując je na wolnym placu przy ul. Wroblewskiej, pod oknami lokatorów bloków w rejonie Inowrocławskiej i al. Włókniarzy. Warto sprawdzić jaki kurs wolał tego dnia w karcie wozu i czy dostał pochwałę za uprzątnięcie terenu macierzystego przedsiębiorstwa.

K.F.

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

FRASZKI SZEKSPIROWSKIE

KRÓL JAN

Zwykle przykry bywa finał przedsięwzięcia, gdy Jana bez Ziemi zagrasz bez pojęcia.

DWAJ PANOWIE Z WERONY

Wprawdzie dwóch ich było, lecz z treści wynika, że rwali nie gorzej, niż niejedna klika.

HENRYK V

Z wszystkich moich fraszek ta będzie wyjątkiem: Ja też byłbym królem... Gdybym trafił piątkę!

WIELE HAŁASU O NIC

Unikał kurtyny w szekspirowskich dziełach; przewidując z góry, żeby nie zgryznięł!

RAFAŁ ORLEWSKI

KIBIC TRUNKOWY

Jeszcze nie wie, kto będzie kopał a już za wynik litra wyłopał.



Rys. Andrzej Adamowicz

OPOWIADANKO

KOŃ

Mam gospodarstwo. Małe. Ale z koniem. Koń mieszka w stajni. Przyjechał do mnie przyjaciel Mirek mu. Powiedział, że zamieszka w stajni. Z koniem. Niech mieszka.

Ale ciekawie mnie, co on tam robi z koniem. Podejrzalem. On go gaskał po grzbiecie, czymś smarował, coś do niego mówił. Raz nawet podsiadłem — O, już jakby różnie — zepsał do konia — Zostaniesz pegazem.

Nie został. Któregoś dnia kopnął Mirka. Złamał mu nogę. Zabrał do szpitala i w gips włożył.

Pojechałem z wizytą do przyjaciela. A on wierszem gada. I pyta, czy koniowi skrzydła urosły. — Nie wiem — mówię, bo się nie przyglądałem. — Ale sprawdź. Mirek kawał konia strzec, jak żreńców oka.

Inni się o moim koniu jakos tam zwiedzieli. Najechało do mnie różnych młodzieńców. Panienki też. Nawet fajne. Ale koń nikogo już więcej nie kopnął, choć go wszyscy o to prosili. W kolejkę się ustawiali. Modlili się do niego. Cukier mu dawali. Nie, i już. Ma ten koń charakter.

Teraz ja mu grzebię smaruję Mirkowymi maściami.

Zygmunt Staryk

MAGAZYN KULTURALNY